

Dodatek na majówkę

SIECI



**KARINA BOSAK
W PORUSZAJĄCEJ
ROZMOWIE
O OCHRONIE ŻYCIA**



**KACPER
PŁAŻYŃSKI:
W GDAŃSKU
MOGLISMY
ZDOBYĆ WIĘCEJ**



**MORD NA POLAKU W SZWECJI I UKRYWANA
PRAWDA O SKUTKACH MASOWEJ MIGRACJI**

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

17-18 (595-596) 2024
22 kwietnia - 5 maja 2024

CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

SIECI

TYLKO U NAS

MAREK BUDZISZ:

CZY

WYBUCHNIE

NOWA WOJNA

ŚWIATOWA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



JAK MOŻNA JEJ UNIKNĄĆ?

I JAKI BYŁBY LOS POLSKI, GDYBY JEDNAK DO NIEJ DOSZŁO?

Majówka z e-bookami

**Już teraz sprawdź przepisy na dania z grilla
i zaplanuj wycieczki blisko natury**
– to wszystko znajdziesz w świetnych e-bookach Sieci Extra



Smaczne Wakacje. 60 przepisów na całe lato

Aż 60 przepisów na dania grillowane i zapiekane, warzywne i mięsne, ciepłe i na zimno. Tradycyjne receptury i potrawy w nowoczesnym wydaniu, które łączy jedno: wszystkie smakują znakomicie! Wystarczy kilka ciepłych wiosennych dni i można zaczynać wielkie grillowanie.



Wędrówki blisko natury. Wakacje z przyrodą

18 pasjonujących opowieści, dzięki którym dowiecie się m.in.: jak obserwować przyrodę, jak ratować pisklęta i ranne ptaki, co potrafią pająki, jak korzystać z alpakoterapii, czy walenie to szpieczy Rosji, gdzie mieszkają nietoperze, które góry są nadal dzikie, gdzie można spotkać 100 tys. gęsi.

JAK ZDOBYĆ E-BOOKI NA MAJÓWKĘ?

**Wystarczy wykupić cyfrową prenumeratę
tygodnika Sieci już od 5,90 zł**

Zamów na:

siec.wpolityce.pl/oferta



Każdy nowy subskrybent znajdzie e-booki w zakładce Moje wydania/Sieci Extra

Dużo jej zasługi w tym, co w Polsce udało się zmienić na lepsze

Zmarła wybitna socjolog i analityk polityczny prof. Jadwiga Staniszkis. 26 kwietnia ukończyłaby 82 lata. Choć chorowała od kilku lat i nie zabierała już głosu publicznie, jej tezy, poglądy, analizy nadal współtworzą naszą rzeczywistość. Wiadomość o śmierci Pani Profesor przyjęliśmy w redakcji „Sieci” z ogromnym smutkiem.

Była wybitnym naukowcem, który bez kompleksów uczestniczył w światowych debatach intelektualnych. Świetny angielski, znajomość najnowszej literatury, ciężka praca i błyskotliwy umysł czyniły z niej postać wyjątkową w polskiej humanistyce. Jej praca z lat 80. o Solidarności jako samoograniczającej się rewolucji warta jest lektury i dzisiaj.

Uczestniczyła w najważniejszych wydarzeniach politycznych epoki, aktywnie walcząc z komunizmem. W marcu 1968 r. protestowała jako studentka, w sierpniu 1981 r. pomagała dobrą radą robotnikom. Powstała z tamtego zrywu Solidarności, jej rozkwit i zdławienie przez komunistów, a potem zgnili kompromis z nimi położyły się cieniem na całym jej pokoleniu.

Jako młody dziennikarz w drugiej połowie lat 90. patrzyłem na nią jak na wielką gwiazdę. Staniszkis się czytało, o wywiadach ze Staniszkis się mówiło. Ale czy zwykły, młody dziennikarz może rozmawiać z tak wybitną postacią? Szybko okazało się, że tak. Był jeden warunek – trzeba było szukać prawdy. Akceptowała rozmówców z lewa i prawa, pod warunkiem, że wyczuwała w nich autentyzm. Brzydziła się, tak oceniałem, pozorami i mową-trawą. Szkoda jej było na to czasu, życie publiczne uważała za zbyt poważną sprawę.

Nazywała rzeczy po imieniu, twardo, czasami nieprzyjemnie dla recenzowanych. Kontrowersje, jakie to wywoływało, przechodziły jednak obok niej, nigdy ich nie komentowała. Ale potrafiła też zachwycać się postaciami życia publicznego, wychwalać i promować. Czasem to szybko mijało, a rozczarowanie wyrażała bez ogródek.

Czym się kierowała w swoich opiniach? Uparcie szukała prawdy o sytuacji Polski. Odrzucała dominujące w III RP samozadowolenie, wskazując na słabości rozwoju, nierówność w podziale dochodu narodowego, wyrzucone na margines całe miasta, regiony, grupy społeczne. Niewiele miało taką odwagę. Nie miała jednocześnie wyidealizowanej wizji Polaków, także tych pokrzywdzonych w procesie transformacji. Ale twardo i odważnie walczyła o Polskę, w której elity skutecznie budują zamożność całego społeczeństwa.

W styczniu 2013 r. mówiła tygodnikowi „wSieci” w rozmowie ze mną i Jackiem Karnowskim: „W wielu regionach jest straszna bieda i bezrobocie. Ostatnio unijne statystyki przypomniały nam, że jesteśmy trzecim najbiedniejszym krajem UE od końca, wyprzedziła nas Litwa”. We wrześniu tamtego

roku w kolejnym wywiadzie dodawała: „To się zaczęło od razu po roku 1989, kiedy dziedziny takie jak elektronika, przemysł maszynowy, optyka, wtedy w miarę nowoczesne, doprowadzono świadomie do bankructwa. Zawsze wskazywałam, że o pozycji kraju decyduje realna gospodarka, a nie wymiar czysto finansowy. Niestety, w Polsce realna gospodarka została zdemontowana”.

Wtedy nie były to poglądy popularne, ale odważnie, logicznie wyłożone wielu otwierały oczy. Ukształtowały myślenie wielu Polaków, budując zaplecze intelektualne dla ambitnej próby odejścia od narodowej mikromanii podjętej w 2015 r. Bardzo do niej namawiała.

Umiała dostrzec prawdę przez propagandę i dekoracje. Jej, braci Kaczyńskich i jeszcze garstki intelektualistów nie uwiodła nawet na chwilę naiwna opowieść o kraju, który jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, dzięki Michnikowi i Kwaśniewskiemu, wyszedł z komunizmu i zbudował sprawną demokrację. Wprowadziła i naukowo opisała pojęcie „postkomunizmu”, definiując go nie jako po prostu stan po komunizmie, ale trwały i stabilny, choć zasadniczo niewydolny i niesprawiedliwy, osobny system. Opisywała tę hybrydę z ciekawością, ale i z obrzydzeniem – zwłaszcza w odniesieniu do ślepych na jej patologię uczestników gry politycznej i jej kronikarzy.

Chciała Polski ambitnej, intelektualnie żywej i organizacyjnie sprawnej, zdolnej do realizacji projektów przełamujących niemożności i bariery. To ją przyciągało do obozu braci Kaczyńskich. Była jednak sojusznikiem kapryśnym, ostro recenzującym. W chwilach naprawdę ważnych dla obozu polskiego zawsze jednak stawiała po jego stronie, jak po tragedii smoleńskiej.

Zapamiętamy prof. Staniszkis jako odważnego człowieka i naukowca. Dużo jej zasługi w tym, co w Polsce udało się zmienić na lepsze. Jej publicystyczny testament to wezwanie do ambitnej polityki, jasnych reguł w życiu publicznym, szukania szans rozwojowych, sięgania po mądrych i pełnych energii ludzi.

Zostanie też w naszych sercach jako wspaniała rozmówczyni, od czasów Radia Plus przez dawny „Newsweek” i „Uważam Rze” po „Sieci”, zwykle gdzieś w malutkim gabinecie w siedzibie PAN w Pałacu Staszica w Warszawie, w instytucie przy Polnej czy w kawiarence dla podróżnych na Dworcu Centralnym. Zazwyczaj tam przed powrotem do domu czy ruszeniem w dłuższą trasę umawiała się ze mną na autoryzację wywiadu.

Uwielbiała zresztą podróże, zwłaszcza kolejowe. Teraz wyruszyła w tę ostatnią.

Michał Karnowski




31

**Anatomia
nienawiści**
Piotr Gursztyn


37

**Z Aleksiejem Baranowskim
z Legionu Wolność Rosji**
*rozmawia Jakub
Augustyn Maciejewski*


**45-
-64**

Na majówkę
*Dodatek
specjalny*

NA POCZĄTEK

- 5 SERDUSZKA
NIENAWIŚCIĄ WYPEŁNIONE**
Bronisław Wildstein
- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 KARMA DO ŁÓŻKA**
Krzysztof Feusette
- 9 POTRZEBA PATRIOTYCZNYCH WIĘZI**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 WOJNA DRONÓW I JOYSTICKÓW**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 JACEK I DARIA**
Dorota Łosiewicz
- 14 WALIZKA MALWINY KUSIOR**
Michał Korsun
- 16 NIEMIEC PRZEJMUJE
ODPOWIEDZIALNOŚĆ**
Samuel Pereira
- 17 KRÓL X**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

- 18 IDZIE WOJNA**
Marek Budzisz

KRAJ

- 22 WYROK NA LEWICĘ**
Stanisław Janeczek
- 24 Z KACPREM PŁAŻYŃSKIM,
POSŁEM PRAWA
I SPRAWIEDLIWOŚCI,**
rozmawia Michał Karnowski
- 28 OSIEM GWIAZDEK TRACI MOC**
Konrad Kołodziejski
- 31 ANATOMIA NIENAWIŚCI**
Piotr Gursztyn
- 34 Z KARINĄ BOSAK, POSŁANKĄ
KONFEDERACJI,**
rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

- 37 Z ALEKSIEJEM BARANOWSKIM
Z LEGIONU WOLNOŚĆ ROSJI**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski
- 40 KONIEC BAJKI W BULLERBYN**
Aleksandra Rybińska
- 42 PERSKI NAŁOT**
Jan Rokita

NA MAJÓWKĘ

- 46 Z PROF. ALEKSANDRĄ SKRZYPIETZ
O RZECZYPOSPOLITEJ PRZED
KONSTYTUCJĄ 3 MAJA**
rozmawia Piotr Ślabek
- 50 ŻŁOTY DLA ZUCHWAŁYCH**
Wojciech Łada
- 53 KIM NAPRAWDĘ BYŁA
FRIDA KHALO**
Małgorzata Wołoczyk
- 56 GOTOWA NA ZMIANY**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 58 FILMOWE PODRÓŻE**
Grzegorz Górny
- 62 CHIŃSKO-AMERYKAŃSKA
WOJNA POD
BIAŁO-CZERWONĄ FLAGĄ**
Artur Ceyrowski
- 70 TRYPTYK O UTOPIACH**
Maciej Walaszczyk
- 72 JO SEM TWOJ TATINEK**
Robert Tekieli
- 73 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 74 KOKTAJL
KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

KUCHNIA

- 76 MOJE SMAKI:
PIOTR CIEMNY**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 77 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszczyk

NA KONIEC

- 78 TYLKO ZEMSTA**
Wojciech Reszczyński
- 79 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 80 CI NAJMNIEJSI**
Aleksander Nalaskowski
- 81 SIATKARZE, KOSZYKARZE,
„RĘCZNI” MOGĄ – PIŁKARZE NIE?**
Ryszard Czarnecki
- 82 SYMULACJA
CZY PAN JEZUS?**
Andrzej Zybortowicz

BRONISŁAW WILDSTEIN

Serduszka nienawiścią wypełnione

Dwa tygodnie temu „Sieci” opublikowały wstrząsający wywiad ze Zbigniewem Ziobrą. Dewastacja jego domu, wybijanie szyb i ukrywanie działań służb poprzez zaklejenie kamer było ostentacyjnym aktem państwowego terroru i powinno oburzać każdego zwolennika demokracji oraz porządku prawnego.

„Żarty się skończyły i zrozumieli to już nawet politycy Zachlanej Prawicy, którzy po wyborczej porażce zapewne po cichu liczyli, że akurat w tej sprawie Donald Tusk słowa nie dotrzyma. Tymczasem działania prokuratury i ABW wskazują na to, że obiecany przez premiera rok temu program »cela plus« właśnie ruszył. A lista jego beneficjentów z każdym dniem będzie się wydłużać. Stąd zapewne strach, który złapał za gardła czterech tenorów Suwerennej Polski – Jakiego, Ozdobę, Kaletę, Goska – i sprawił, że na konferencji w obronie czci i cnoty Zbigniewa Ziobry brzmiali jak chór kastratów, popisując niczym nastolatki przechodzące mutację. »Bodnarowcy napadli na dom ministra Zbigniewa Ziobry w trakcie jego poważnej choroby. Zakleili kamery, zniszczyli dom i zabrali tablety jego dzieciom. Czy to jest państwo prawa? Czy to jest europejskie, uśmiechnięte państwo?« – piał do mikrofonów Sebastian Kaleta, potwierdzając starą jak świat prawdę, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia tudzież odsiadki”.

To wymowny, choć tylko jeden z głosów medialnego stada, które zdominowało przestrzeń publiczną III RP. Tak ująda (w felietonie będę stosował jego poetykę) Tomasz Sekielski, który stanowisko naczelnego „Newsweeka” dostał (najprawdopodobniej) za wymierzoną w Kościół, a wyprodukowaną przez TVN propagandówkę „Tylko nie mów nikomu”.

Kończą się choćby pozory demokracji czy prawa. Doróżnąc watahę! – wyje zgodny chór.

Nie akceptowałem polityki Zbigniewa Ziobry, przyznać muszę, że osobiście go nie znosiłem, a więc nie wykluczam, że formułowane przeciw niemu oskarżenia mają jakieś uzasadnienie, w ogóle jednak nie usprawiedliwia to zastosowanych wobec niego metod, które naruszają przyzwoitość i normy prawa. Stosowane są one dodatkowo wobec człowieka ciężko chorego, którego życie jest zagrożone, co powinno potęgować oburzenie – napisaliby skrajny przeciwnik byłego ministra, gdyby miał elementarny szacunek dla reguł cywilizowanej polityki.

Nie uswiadczymy tego w szczujni dominujących w III RP mediów, która ślini się i szczeka o więcej. Sekielski et consortes nie rozumują, usiłują dezawuować przeciwników epitetami i szyderstwem. W ten sposób unieważnione zostają wszelkie normy i argumenty, które się do nich odwołują. Polityczny przeciwnik

zmienia się w odczłowieczonego wroga, dla zniszczenia którego każda metoda jest dobra. Sekielscy liczą – piszą to wprost – że ich przeciwników sparaliżuje strach, że pozbawi on społeczeństwo woli oporu.

W wywiadzie Ziobro wyjaśnia, że zdecydował się na niezbędną dla uratowania życia operację za granicą, aby nie prowokować zagrożenia wobec ośrodka i lekarzy, które zdecydowałyby się tego dokonać w Polsce. Decyzję podjął, kiedy dyrektor szpitala w Lublinie opowiedziała mu o mailach z pogrózkami wobec siebie i placówki, którą kierowała.

Kampania, którą władze i establishment organizują przeciwko opozycji nie pozwala wątpić w słowa byłego ministra. Nie wywołały one poruszenia, co świadczy o tym, jak daleko posunęła się barbaryzacja obyczajów w III RP. Nawet gdyby antagoniści Ziobry nie chcieli mu wierzyć powinni sprawdzić jego wersję, ale wyraźnie nie mają oni z nią kłopotów. Stan zdrowia byłego ministra nie zmienił zachowania ani obecnych władz, ani wspierającego je frontu. Ich przedstawiciele niekiedy wprost okazują satysfakcję z powodu życiowych problemów przeciwnika. W nie do końca anonimowym internecie życzenia śmierci dla Ziobry są na porządku dziennym.

Najbardziej uznana w Polsce galeria uczciła usunięcie wcześniejszej („pisowskiej!”) dyrekcji „performansem” „Czyszczenie Zachęty”. Było to coś pomiędzy deratyzacją a egzorcyzmami.

Wprawdzie *reductio ad Hitlerum* jest jedną z najgłębszych technik propagandowych, ale nie znaczy to, że mamy zamykać oczy na fakt, iż w tego typu symbolicznych przedsięwzięciach lubowali się hitlerowcy, którzy nagminnie „oczyszczali” przestrzeń publiczną z „obcych miazmatów”. Nie powinno dziwić, że postawy tych, którzy swoich przeciwników politycznych zwykli nazywać faszystami, są bliskie faszystom właśnie. Ideologiczna mentalność: nazistowska, komunistyczna czy odwołująca się do innej wersji doktryny emancypacji są do siebie podobne. Doskonała przyszłość, do której dąży jako coś nam nieznanego, z zasady musi być niejasna. Konkretem jest niszczenie przeciwników, tych którzy przeszkadzają w osiągnięciu zamierzeń emancypatorów, a więc w pierwszym rzędzie przejściu przez nich pełni władzy. Również liberalowie powielają ten schemat na naszym gruncie, maszerując pod szyldem pułstego serduszka.



Sygnalista nadaaje

 Tytuł bohatera tygodnia zdobył były już wicewojewoda śląski **Jacek Protasiewicz**. W serii wpisów w mediach społecznościowych brutalnie atakował inne osoby, pochwalił się także, że miło spędza czas z Darią Brzezicką, młodą działaczką Trzeciej Drogi, która zasnęła głównie donoszeniem do władz Uniwersytetu Warszawskiego na kolegę ze studiów Oskara Szafarowicza. Z samego rana polityk poinformował, że Daria „leży jeszcze w łóżeczku, a ja przygotowuję jej kanapki i kawusień”. I dodał pod adresem jednej z pań komentujących: „Proszę nie zazdrościć, bo nie nasza wina, że się w życiu nie poukładało... a z tej zazdrości tylko głupie tweety pani wychodzą spod klawiatury”. Komu się w życiu nie poukładało, jest w tej sytuacji rzeczywiście jasne.

 PSL, które formalnie reprezentował Protasiewicz, odcięło się od jego wpisów i zapowiedziało podjęcie kroków w sprawie tego polityka. „Nie ma naszej zgody na działania niezgodne ze standardami etycznymi, jakie stawiamy naszym przedstawicielom w życiu publicznym. W tej sprawie zostaną podjęte odpowiednie kroki” – zapowiedzieli ludowcy. Protasiewicz odparował: „Szanuję zdanie kolegów, ale ja w PSL nie jestem! Robię to, co robię na własny rachunek”. Długo nie porobił, parę godzin później stracił stanowisko. „Każdy ma swoje problemy, także zdrowotne. Ja też. Moja aktywność w ostatnich dniach w internecie była tego przejawem” – komentował. Historia w sumie smutna, ale i symboliczna. To wszystko tak właśnie się skończy.

 Jakość kadr tej ekipy i jej niezdolność do mierzenia się z wyzwaniami już zaczyna wybrzmiewać. Dzie-

siatki firm ogłosiły plany zwolnień grupowych, duże zachodnie koncerny związają całe zakłady (Levis, Magneti Marelli, Neonet, Michelin). „Grozi nam powrót do niedobrych czasów. Powrót do zmy III RP, czyli BEZROBOCIA. Brak tarcz ochronnych, podwyżki cen energii – na te procesy polski rząd ma realny wpływ” – alarmuje były premier Mateusz Morawiecki i deklaruje swoją pomoc. Chyba na próżno, to wszystko część planu. Polska ma zaakceptować swoje miejsce w niemieckiej Europie i przestać gonić czołówkę w tempie, które zapiera dech w piersiach. Jedyna nadzieja w Polakach, że jednak wybiorą ambicję, rozwój i niepodległość.

 Niemcy coraz jaśniej mówią Polsce, kto tu rządzi, a kto wykonuje. Gen. Carsten Breuer, szef Bundeswehry, tak podsumował rozmowę ze swoim polskim odpowiednikiem gen. Kukulą „na temat trzech jasnych priorytetów”: „Konkretne projekty współpracy wojskowej; Niemcy przejmują odpowiedzialność za wschodnią flankę NATO; szkolenie wojskowe i materiały dla Ukrainy”. Punkt drugi szokuje. Kto upoważnił Berlin do przejmowania odpowiedzialności za flankę wschodnią Sojuszu? Kto dał na to zgodę? Na pewno nie leży to w polskim interesie. Niemcy nie zapewnią nam bezpieczeństwa z prostego powodu: nie są w stanie realnie przeciwstawić się Rosji. Im więcej niemieckiej obecności na Wschodzie, tym większe ryzyko, że w razie zderzenia z Moskwą przybędzie nam potężnych problemów.

 W odpowiedzi na porażkę w wyborach samorządowych koalicja 13 grudnia nasila represje. Posłowie

Mariusz Kamiński i **Maciej Wąsik** dostali zarzuty udziału w głosowaniach w Sejmie oraz na posiedzeniu komisji sejmowej w grudniu ub.r. „Przypomnę, że byliśmy na sali sejmowej oficjalnie, jawnie, marszałek Hołownia apelował jedynie, byśmy do czasu rozstrzygnięcia przez Sąd Najwyższy powstrzymali się od wykonywania naszych mandatów. My nie mogliśmy przyjąć tej prośby z uwagi na nasze zobowiązania wobec wyborców i na to, że złożyliśmy odwołanie i procedura wygaszenia naszych mandatów nie została zakończona” – tłumaczył były szef MSWiA. Tak wygląda państwo prawa „uśmiechniętej koalicji”: Tusk obiecał, że byli szefowie MSWiA będą ścigani i tak się dzieje. Peerelizacja Polski postępuje.

🔊 Również w sferze języka. Wobec Romy Wąsik, która pracuje w instytucji publicznej, wszczęto postępowanie dyscyplinarne. „Chyba nadgorliwy urzędnik stwierdził, że nawoływała ona do »demonstracji antypaństwowych«. To język jak ze stanu wojennego!” – mówił poseł Wąsik. Na tym nie koniec absurdów. Urzędnik sformułował dość osobliwy zarzut posła Wąsika. Oznajmił bowiem, że „okazywała zażyłość z posłem na Sejm”, czyli ze swoim mężem! A to wszystko w czasie, gdy mąż siedział w więzieniu z powodów politycznych, a żona walczyła o jego uwolnienie. Ta władza nie umie się zatrzymać, brnie w przemoc i okrucieństwo. I na tym się poślizgnie szybciej, niż sama sądzi.

🔊 Zarzuty dostał także **Robert Bąkiewicz**, działacz środowisk narodowych. Za to, że w styczniu namalował na budynku Ministerstwa Klimatu i Środowiska symbol Polski Walczącej. Była to odpowiedź na brutalne usunięcie z gmachu tablicy upamiętniającej żołnierzy wyklętych i powstańczej kotwicy. Był to oczywisty gest obrony prawdy historycznej i pamięci o bohaterach. Tymczasem zdaniem neoprokuratury Bąkiewicz dokonał „aktu wandalizmu”. Grozi mu więc osiem lat pozbawienia wolności za publiczny wyraz sprzeciwu wobec niszczenia pamięci o polskich patriotach. To też już było. Komuniści stosunkowo rzadko, zwłaszcza w późniejszym okresie, otwarcie skazywali za poglądy polityczne. To naprawdę jest „grupa rekonstrukcyjna PRL”.

🔊 Poseł PiS Paweł Jabłoński został zaproszony do neoTVP. Okazało się, że w telewizorze w siedzibie przejętej przez koalicję Donalda Tuska Telewizji Publicznej włączony był TVN. „To ciekawe doświadczenie – nawet oni sami siebie nie oglądają... W TVP leci sygnał TVN – a w tym programie akurat ciekawa pozycja” – komentował były wiceminister spraw zagranicznych, zamieszczając także zdjęcie. Ową ciekawą propozycją był nowy odcinek serialu „Zdrajcy”. W sumie wszystko na swoim miejscu. Po

co Polsce telewizja publiczna, która jest dużo gorsza kopią prywatnych stacji prorządowych? Nawet sami pracownicy czują, że to bez sensu.

🔊 Na prawicy trwa dyskusja o TVP pod rządami Zjednoczonej Prawicy. Prof. Przemysław Czarnek ma dobrą ocenę pracy Jacka Kurskiego. „Nie mam nic przeciwko kolejnemu prezesowi, natomiast wydaje się, że gdyby ta telewizja była dokładnie tak prowadzona, jak przed odejściem Jacka Kurskiego, to mogłoby się to w jakiś sposób przyczynić do tego, że mielibyśmy lepszy wynik wyborczy, bo przekaz był ostrzejszy, bardziej precyzyjny” – ocenił były minister edukacji, poseł PiS. Tego już nigdy się nie dowiemy, ale jedno warto docenić: fakt, że wyborcy Prawa i Sprawiedliwości nie rozperzchli się po utracie władzy. To także wynik ładnych paru lat mądrego, konsekwentnego przekazu mediów publicznych. Miliony Polaków zrozumiały, o co toczy się gra w naszym państwie i dlatego manipulatorom jest dziś trudniej niż kiedyś.

🔊 **Maciej Gdula**, poseł Lewicy i socjolog, tak pożegnał zmarłą prof. Jadwigę Staniszkis: „Chciałbym, żeby na współczesnym uniwersytecie było miejsce na postacie podobne do Staniszkis. Nonkonformistyczne, programowo nienakierowane na pokłask i mające odwagę eksperymentować”. Odpowiedział mu Rafał Woś, publicysta, wicenaczelný „Tygodnika Solidarność”: „Problem w tym, że środowisko Macia Gduli i »Krytyki Politycznej« w praktyce robi coś dokładnie odwrotnego. Inaczej myślący są z ich otoczenia notorycznie wypychani za brak odpowiednich poglądów. Nie rozumiem, po co tak ściemniać”. Święte słowa. Dziś polska socjologia wypchnęłaby na margines jakąś nową Jadwigę Staniszkis. Nie pasowałaby do taśmy produkcyjnej skrajnie lewicowo-liberalnego aktywizmu.

🔊 W centrum Wrocławia pojawiły się oburzające plakaty, na których widać pozbawione ubrań manekiny przedstawiające kobietę z brodą i przywiązane do niej dziecko. To część wystawy „Iron Man”, prezentującej prace Pawła Jacha i Krystiana „Truth” Czaplickiego. Jak napisała kuratorka wystawy prof. Anna Kołodziejczyk, to „dwaj pokoleniowo odlegli artyści opowiadający o ważnych, choć nieoczywistych pokładach ludzkiej emocjonalności”. Władze miasta zareagowały typowo: nie wyraziły „entuzjazmu”, ale podkreśliły, że sztuka „opiera się na wolności przekazu”. Szlachetne idee, ale co mają zrobić rodziny z dziećmi, które chciałyby chronić swoje pociechy przed patologią albo ludźmi, którzy wiedzą, że to nie sztuka, a tanie happeningstwo? Oni we współczesnym świecie nie mają prawa do wspólnej przestrzeni miejskiej.

Karma do łóżka



KRZYSZTOF FEUSETTE

Jacek (2 poł. XX w.): Kanapeczkę?

Daria (1 poł. XXI w.): Ale w jakim sensie?

Jacek: Normalnie.

Daria: A jeszcze możesz?

Jacek: Ale co?

Daria: Kanapeczkę.

Jacek: W jakim sensie?

Daria: Normalnie.

Jacek: Chyba nie.

Daria: Ale co „nie”?

Jacek: Nie mogę normalnie.

Daria: Ale czego?

Jacek: Niczego.

Daria: To może jednak kanapeczkę?

Jacek: To ja ci miałem...

Daria: Ale co?

Jacek: Kanapę skręcać, k...a! Naprawdę nie wiesz, o co chodzi?!

Daria: O ocieplenie klimatu?

Jacek: Nie! Popłynęliśmy!

Daria: Gdzie?

Jacek: Politycznie.

Daria: Będę radną?

Jacek: Gdzie?

Daria: Na tej kanapie, k...a, co mi skręcałeś. W samorządzie!

Jacek: Nie.

Daria: A wojewodówną? Wojewodzianką?

Jacek: Wodzianki to są u Wojewódzkiego.

Daria: Będę u niego?

Jacek: Nie.

Daria: Wczoraj wszystko było na „tak”, „Ja...ja...ja...” bez przerwy. A dzisiaj jesteś na „nie”?

Jacek: Nie. I na pewno nie mówiłem po niemiecku, bo ja Niemców nienawidzę od czasu scen na lotnisku. Czy ty wiesz, że oni mi wózek na lotnisku zakefirowali? To znaczy zarekwirowali? Że niby komuś podebrałem? Co ja jestem złodziejem wózków? Dlaczego ci Niemcy tak mnie nienawidzą?!

Daria: Czy coś się stało?

Jacek: Nic. Po prostu chciałem ci zrobić kanapki, zwyczajne kanapki, chlebuś, seruś, szyneczka, a ty mnie pytasz, kim będziesz po tym śniadaniu?! Czy ja Cyganka jestem?

Daria: Jesteś wicewojewodą. Dolnośląskim.

Jacek: Yhm.

Daria: Jesteś nim, prawda?

Jacek: Słucham?

Daria: Pytam, czy nim jesteś? Mówiłeś, że byłeś szefem Platformy Obywatelskiej na całym Dolnym Śląsku, że byłeś wiceprzewodniczącym parlamentu brukselskiego, czy jak to się nazywa. I szefem klubu PO-PSL w Belgii.

Jacek: W Brukseli, konkretnie. Nie mówiłem, że jestem, tylko że byłem.

Daria: Ale wicewojewodą jesteś?

Jacek: Yhm.

Daria: Jacuś, spójrz mi w oczy i powiedz: jestem wicewojewodą województwa dolnośląskiego.

Jacek: Nie mogę. Oczy mnie bołą.

Daria: Po czym?

Jacek: No, wiesz.

Daria: To oczy bołą?

Jacek: Wszystko. Ale oczy najbardziej. Daria, muszę ci coś powiedzieć.

Daria: Nie umiesz robić kanapek?

Jacek: Nie, po prostu...

Daria: O nie, tego mi nie powiesz.

Startowałam na radną, nie dostałam się, chociaż mówiłeś: „Kotku, jak ty nie wejdiesz, to kto wejdzie?”. Ciebie też nie wybrali, chociaż miałeś mi pokazać, „kto rządzi na mieście”. Kim ja dla ciebie jestem? Tylko wicewojewodową?

Jacek: Nie „tylko”, lecz „aż”. I właśnie dlatego, by nic nie rzutowało na nasze coraz bardziej gorące uczucie, postanowiłem się poddać weryfikacji partyjnej.

Daria: Co ci powiedziałeś?

Jacek: Że to koniec.

Daria: Dlaczego?!

Jacek: Bo wrzucałem twoje zdjęcia z kuchni. I jakieś tam twitty.

Daria: Jakie?

Jacek: Że Marcin ma małego, ja dużego, a Oskar fajne wargi. No, wiesz, trochę wypiliśmy. Zresztą od razu się przyznałem, że chlapnąłem. A potem że śniadanko ci niosę. I że to nie moja wina, że cały świat nam zazdrości.

Daria: Niby czego?

Jacek: No, tych kanapek.

Daria: A to tak można?

Jacek: Kanapki na kanapie?

Daria: Bzdury pisać, jak się jest wicewojewodą?

Jacek: Okazało się, że nie.

Daria: To kim ty teraz dla mnie jesteś?

Jacek: Przestań się dopytywać? Jak kolegę ze studiów chciałaś z uczelni wyrzucić, to kogo pytałaś, bo chyba nie rodziców? Jak można tak donosić?

Daria: Moje ciało, moja sprawa. I ręce precz od mojej, już ty wiesz, czego...

Jacek: Teraz się immunitetem zasłaniasz? A kto ci kazał zdjęcie wrzucać, jak parmezan trę przy laptopie? Do USB miałem sobie tarkę podłączyć?

Daria: A mnie to kto wrzucał od tyłu przy garach, że niby obiad dla jaśnie pana robię? Co ja, Trzaskowska jestem?! I jeszcze ludzi od alkoholików wyzywasz? Przecież ty byś się na tej desce prawie wykastrował!

Jacek: Bo mnie ręce bołą! To co... może kanapkę?

Daria: W jakim sensie?

Jacek: Z szyneczką.

Daria: Przecież wiesz, że nie jem mięsa!

Jacek: Niby skąd?

Daria: To ty sobie wcześniej niczego nie wyguglałeś?

Jacek: Guglałem. Trzeci dzień guglałem. Jak to pisał poeta...

Daria: Tokarczuk?

Jacek: Chopin, gdyby żył, to by guglał. Niestety, nawet jego już przerobiliśmy. To co teraz? Może „Pana Tadeusza”? 

Potrzeba patriotycznych więzi



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Liberalizm jest z definicji internacjonalistyczny w tym sensie, że postrzega wszystkich ludzi jako zasadniczo takich samych, niezależnie od narodowości, religii czy kultury. Obecnie dominujący nurt liberalizmu wykracza poza internacjonalizm i obejmuje globalizm lub kosmopolityzm. Zgodnie z logiką tych ideologii państwa narodowe stanowią bariery dla dwóch powiązanych ze sobą dóbr, którymi są efektywność i indywidualna emancypacja. Współcześni liberałowie uważają, że wszelkie granice polityki, kultury oraz tradycji są sztuczne i powinny być przekraczane, rewidowane, a nawet zacierane.

Obecnie mainstreamowa forma demokracji jest ściśle powiązana z liberalną koncepcją wolności jako wyrazistego indywidualizmu i konsumpcji. W ostatecznym rozrachunku liberalna demokracja zaczyna oznaczać maksymalizację skutecznego zapewniania wiecznego, osobistego wyboru – nie tylko dotyczącego tego, jakie zrobić zakupy, lecz także kim być – czego najlepszym przykładem jest najnowsze ustawodawstwo niemieckie, zezwalające, by każdy mógł raz do roku złożyć w urzędzie stanu cywilnego oświadczenie o zmianie swojej płci. Wolność jednostki ma się stać nieskrępowana jakimikolwiek zasadami, granicami fizycznymi i symbolicznymi.

Liberalny internacjonalizm zagraża suwerenności państw. W wielu liberalnych demokracjach polaryzacja polityczna wzrosła, co prowadzi do nasilenia podziałów i braku konsensusu w kluczowych kwestiach. Liberalizm w obecnej postaci doprowadził m.in. do potencjalnie zgubnego, samonapędzającego się podziału społeczeństwa, pogłębianego przez różnice w dochodach czy kulturze, do tego stopnia, że utrwalił się poważny problem „dwóch narodów”. Te nierówności podważają spójność społeczną i prowadzą do niepokojów. Władza stopniowo przenosi się od suwerena, którym jest naród, do międzynarodowej biurokracji i zarządów korporacji.

W centrum doktryny demokracji znajduje się przekonanie, że rządy czerpią swoją władzę z wyborów powszechnych. Liberałowie często obawiali się demokracji z powodu groźby wygenerowania tyranii większości. Można zatem śmiało powiedzieć, że demokracja opiekuje się większością, a liberalizm elitami. Aktualnie praktykowany liberalizm nie sprawia, że świat wybiera demokrację. Dzieje się coś odwrotnego. Myśl liberalna, konstruująca model porządku społecznego opartego na totalnej wolności jednostki, teorii kontraktu i utopijnej wizji międzynarodowej wspólnoty, nie wytrzymuje krytyki, w praktyce prowadząc do podziałów, rozwarstwienia społecznego i odebrania obywatelom poczucia bezpieczeństwa. W zderzeniu z groźbą wybuchu konfliktu zbrojnego współczesny liberalizm obnaża swoją słabość.

Współczesne liberalne demokracje przez dekady obywateli były bez heroicznego patriotyzmu – wystarczała im lojalność obywateli płacących podatki, z których utrzymuje się niezbędne instytucje i głównie zawodową armię. Wojna ponownie może stać się podstawowym sprawdzianem dla trwałości więzi łączących wspólnotę polityczną. Liberalne społeczeństwa będą musiały zdefiniować źródła zbiorowej solidarności, która jest

niezbędnym warunkiem przetrwania. Spór o określenie czy też nawet istnienie pojęcia „dobro wspólne”, demolowanego przez lewacki indywidualizm, musi powrócić. Czy w obliczu problemu migracji, który wybuchnie z jeszcze większą siłą po wejściu w życie unijnych dyrektyw o przymusowej solidarności w zakresie relokacji nielegalnych przybyszów z odległych kulturowo części świata, a także zagrożenia militarnego ze strony Rosji trzeba będzie powrócić do wizji polskiego patriotyzmu opisaną blisko 100 lat temu przez Józefa M. Bocheńskiego, rozumianego przede wszystkim jako straż Polaków na przedmurzu europejskiego chrześcijaństwa? Poczucie patriotyzmu jako przyczyniające się do stabilności społecznej poprzez promowanie poszanowania praw, instytucji i wspólnych wartości może zniechęcać do zachowań podważających spójność i harmonię społeczną. Wzmacnia odporność narodu w trudnych czasach, zachęca ludzi do wzajemnego wspierania się i współpracy w celu przezwyciężenia przeciwności losu, a nawet do heroizmu. W myśli republikańskiej cnota patriotyzmu stanowiła podstawowy warunek trwania wspólnoty politycznej.



14 kwietnia 2024 r. odszedł do Pana

ŚP. STANISŁAW WITEK

wybitny nauczyciel i wychowawca, zasłużony działacz „Solidarności” Pracowników Oświaty i Wychowania, w 1980 r. członek Komitetu Założycielskiego „Solidarności” oświatowej w Jaworze, represjonowany w stanie wojennym, w późniejszych latach członek Zarządu Regionu Zagłębie Miedziowe NSZZ „Solidarność”, wieloletni radny miejski i powiatowy, uhonorowany licznymi odznaczeniami za działalność opozycyjną i związkową.

Naszej Drogiej Koleżance

Pani Marszałek Elżbiecie Witek

wyrazy najgłębszego współczucia
i słowa otuchy w związku ze śmiercią

MEŻA

składa w imieniu Prawa i Sprawiedliwości oraz własnym
Jarosław Kaczyński

10/0424/F

Ural pod wodą

Na południowym Uralu największa od 30 lat powódź. Według oficjalnych informacji pod wodą znalazło się już ponad 15 tys. domów. Zalany został m.in. Orenburg, skąd ewakuowano tysiące ludzi, a teraz wylewają rzeki Tobol w Kurganie i Tom w Tomsku.

Cały region boryka się z największą od lat 90. XX w. falą powodzi, która tylko w obwodzie orenburskim spowodowała co najmniej pięć ofiar śmiertelnych. Mieszkańcy Orenburga, niezadowoleni z przebiegu akcji ratowniczej, wyszli protestować na ulice. Zniszczenia wywołane falą powodziową są bardzo duże, bo władze zaniechały niezbędnych przygotowań. Zabrakło też ludzi i sprzętu, który wysłano na Ukrainę, gdzie rosyjskie siły zbrojne budowały linię Surowikina i inne umocnienia. W efekcie po śnieżnej zimie obszary na południe od Uralu są zupełnie nieprzygotowane, aby radzić sobie z katastrofalnymi powodziami.

Tymczasem sytuacja powodziowa w Rosji stale się pogarsza. Pod wodą już znalazło się 79 miejscowości w 28 regionach, a główna fala dopiero wzbiera. Najgorsza sytuacja jest w Orsku na południowym Uralu, gdzie woda przerwała tamę i zalała kilka tysięcy domów. Niezależne media informują o złej jakości zapory, która została oddana do użytku w 2014 r., a jej wykonawca był powiązany biznesowo z byłym gubernatorem obwodu.

Powódzie doprowadziły też do zaostrzenia relacji z Kazachstanem, bo władze Rosji oskarżają sąsiada, że ten, chroniąc się, zaczął zrzucać nadmiar wody ze zbiorników retencyjnych, co przyczyniło się do wzrostu zagrożenia w rosyjskich regionach nadgranicznych. Wadim Szumkow, gubernator obwodu kurgańskiego, który alarmował o zbliżającej się do miasta „katastrofalnej” fali powodziowej, napisał również, że zrzuty wody w sąsiednim Kazachstanie są obecnie dwa razy większe niż w 1994 r., gdy doszło do największej w ostatnich dziesięcioleciach powodzi na południowym Uralu. Wiele wskazuje jednak na to, że władze zagrożonych regionów chcą tymi oskarżeniami usprawiedliwić własne zaniedbania, brak odpowiedniej reakcji i wsparcia dla poszkodowanych, którzy muszą sobie radzić sami.

Marek Budzisz

Rosja



Norwegia

Klimatyczny rykoszet

Globalne ocieplenie rzeczywiście może mieć związek z działalnością człowieka. Ale nie taki, o jakim się mówi. Z najnowszych badań norweskich naukowców wynika bowiem, że na ocieplenie klimatu wpływa mniejsze zanieczyszczenie powietrza.

Nierównowaga energetyczna Ziemi jest różnicą pomiędzy ilością energii pochłanianej i emitowanej w przestrzeni kosmicznej. Pomiary satelitarne wyraźnie pokazują, że do atmosfery dociera więcej energii słonecznej w porównaniu z ilością energii ziemskiej uciekającej w kosmos. Prowadzi to do akumulacji ciepła i ogrzewania powierzchni Ziemi, a redukcja emisji aerozoli wynikająca z ograniczeń przyjętych w międzynarodowych porozumieniach klimatycznych tylko pogłębia tę nierównowagę.

Dowodzą tego dane przedstawione przez Centrum Międzynarodowych Badań nad Klimatem CICERO w Norwegii. Prowadzona od lat 90. XX w. systematyczna kontrola jakości powietrza pokazała, że za ok. 40 proc. wzrostu ciepła, które ogrzało Ziemię w latach 2001–2019, odpowiedzialny jest spadek zanieczyszczeń powietrza. Zanieczyszczenie atmosfery powoduje, że Ziemia jako planeta jest bardziej odbłaskowa. Częsteczki zanieczyszczeń, zwłaszcza siarczanów zawieszonych w powietrzu, odbijają światło z powrotem w przestrzeń, wywołując w ten sposób pożądaný efekt obniżenia temperatury. W podobny sposób cząsteczki zanieczyszczeń mogą powodować zwiększenie liczby kropel wody w powietrzu, tworząc formacje chmur i w ten sposób również wywoływać efekt odbijania światła słonecznego.

Jednak mniej zanieczyszczone powietrze sprawia, że Ziemia staje się ciemniejsza, przyjmując więcej ciepła ze słońca. Zjawiska te są znane od dawna. Ale – jak twierdzą klimatolodzy – to, co odkrywamy dzisiaj, ujawnia złożoność całego zjawiska ocieplenia klimatu. Trudno jest więc dokładnie przewidzieć, jaka będzie dynamika ocieplenia i jakie skutki wywoła. Niewykluczone jednak, że walka z ociepleniem klimatu w swoim obecnym kształcie może przynieść skutki odwrotne do zamierzonych.

Maciej Walaszczyk

Kolejny kraj Afryki – po Mali i Burkina Faso – wpada w orbitę wpływów Moskwy. Do stolicy Nigru w połowie kwietnia przybyła grupa rosyjskich instruktorów wojskowych. Jednocześnie w tym saharyjskim państwie nadal przebywają amerykańscy żołnierze, którzy pomagali w walce z dżihadystami.

„Federacja Rosyjska próbuje w przyspieszonym tempie przejąć Afrykę Środkową” – stwierdził gen. Michael Langley, szef amerykańskiego dowództwa w Afryce, podczas posiedzenia komisji ds. sił zbrojnych Senatu USA. „Wiele krajów tego regionu znajduje się dzisiaj w punkcie krytycznym i grozi im, że zostaną faktycznie przechwycone przez Rosję” – dodał. Zdaniem generała, aby temu zapobiec, konieczna jest dalsza amerykańska obecność wojskowa w regionie. Tyle że może być z tym problem.

Do niedawna Niger był kluczowym partnerem Stanów Zjednoczonych w Afryce. W 2012 r. Amerykanie zawarli z nim układ wojskowy skierowany przeciwko działającym w regionie dżihadystom. Sześć lat później zbudowali za 110 mln dol. bazę lotniczą w mieście Agadez, z której operowały drony rozpoznawcze i uderzeniowe. Szkolili również



Afrykańskie domino

miejscowe oddziały wojskowe. Łącznie w Nigrze przebywa 1 tys. osób personelu wojskowego Stanów Zjednoczonych.

Dobrze układająca się współpraca zaczęła szwankować po ubiegłorocznym zamachu stanu w Nigrze, gdy demokratycznie wybrany prezydent Mohamed Bazoum został obalony przez juntę wojskową. Nowe władze, podobnie jak w sąsiednim Mali i Burkina Faso, przyjęły antyzachodni kurs i zażądały wycofania z kraju francuskich wojsk, co nastąpiło jesienią ub.r. Jednocześnie nawiązano bliskie relacje z Rosją oraz z Iranem,

potwierdzone wizytami władz junty w Moskwie i Teheranie. Szczególnie ta ostatnia podróż zaniepokoiła Amerykanów. Podejrzewa się bowiem, że posiadający bogate złoża uranu Niger zamierza dostarczać ten surowiec pracującym nad bronią jądrową Iranczykom.

W marcu Amerykanie przestrzegli juntę przed współpracą z Rosją i Iranem, jednak ich misja poniosła fiasko. Reżim zerwał porozumienie wojskowe z Ameryką i zaprosił do kraju rosyjskich instruktorów wojskowych. Rosjanie przywieźli ze sobą broń przeciwlotniczą, która w walce z dżihadystami jest zupełnie nieprzydatna. Może być natomiast pomocna w walce z amerykańskimi dronami.

Na razie Amerykanie pozostają w Nigrze, choć wszystko wskazuje na to, że junta zmierza się ich pozbyć przy pomocy Moskwy. Rosyjska taktyka domina – a więc antyzachodnie zamachy stanu w kolejnych krajach saharyjskiej Afryki – okazuje się jak dotąd bardzo skuteczna. Przy czym nie chodzi tylko o wpływy polityczne i surowce. Równie ważny jest zamęt wojenny, który wyzwała fale migracyjne w kierunku Europy.

Konrad Kolodziejewski

Współcześni nomadzi

Liczba więźniów politycznych na Białorusi jest szacowana na ok. 8 tys. Byłoby ich znacznie więcej, gdyby wielu przeciwników reżimu Alaksandra Łukaszenki w ostatniej chwili nie opuściło kraju. Aleksiej Biegun, szef departamentu ds. obywatelstwa i migracji w MSZ w Mińsku, przyznał niedawno, że w latach 2021–2022 z Białorusi wyjechało ponad 200 tys. obywateli. Według niezależnych ekspertów liczba ta może być jeszcze wyższa i wynosić od 300 do 500 tys., co dla państwa liczącego niecałe 10 mln mieszkańców jest bardzo odczuwalnym upływem krwi.

Coraz więcej owych emigrantów staje się bezpaństwowcami, ponieważ białoruskie konsulaty przestały odnawiać obywatelom przebywającym za granicą paszporty w przypadku wygaśnięcia daty ważności. Jeśli ich dzieci przyjdą na świat poza ojczyzną, nie mają szans na uzyskanie obywatelstwa Białorusi – są bezpaństwowcami od urodzenia. Stosując taką presję, reżim Łukaszenki chce zmusić uciekinierów do powrotu. Zdecydowana większość woli jednak pozostać na obczyźnie, niż wracać do kraju, gdzie byłaby narażona na represje lub kompromisy gwałcące sumienia. Ich status za granicą pozostaje jednak nieuregulowany, ponieważ zazwyczaj nie występowali o azyl polityczny. Nie mają też szans na uzyska-

nie innego obywatelstwa. Gdy wygasają ich dowody tożsamości, stają się nielegalnymi imigrantami.

Ci, którzy mieli ważne paszporty, najczęściej zatrzymywali się w Polsce lub na Ukrainie, gdzie najłatwiej było uzyskać karty stałego pobytu. Wielu wyjechało też do Czarnogóry, która pozwala obcokrajowcom, zwłaszcza Słowianom wschodnim, na dłuższe przebywanie bez biurokratycznych formalności. Z kolei w Gruzji Białorusini mogą uzyskać odnawianą corocznie wizę pobytową. Aby zostać tam dłużej, wystarczy po roku wyjechać na dzień do Turcji lub Armenii, wrócić do Gruzji i przedłużyć wizę na następnych 12 miesięcy. Dla „białoruskich nomadów” dobrze by jednak było znaleźć jakieś satysfakcjonujące rozwiązanie na poziomie europejskim.

Grzegorz Górny





**Jan
Pietrzak**

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wojna dronów i joysticków

Zanim zabiorą głos strategzy i specjaliści geomilitarni, w imieniu ludzkości oraz moich domowników pozwolę sobie wyrazić ulgę z powodu niepowodzenia raketowo-dronowego ataku Iraku na Izrael. Sukces tego przedsięwzięcia mógłby zachęcić szczególnie agresywne państwa do przyjęcia podobnej strategii w relacjach międzynarodowych. Wydaje się, że to pod wpływem rosyjskiego ataku na Ukrainę zrodziła się nowa koncepcja prowadzenia wojen.

Przypomnijmy, że pierwszy rok rosyjskiej „operacji” toczył się w bardzo starym stylu. Żmudne zdobywanie wsi i miast, czołgi kontra armaty, ostrzał okopów z transzei i odwrotnie. Konwoje ciężarówek grzęznące w błocie. Pozycyjna strzelanina połączona z odgórnym terroryzowaniem miast, przedsięwzięciom, elektrowni i wszystkiego, co się rusza. Z upływem czasu Rosja zauważyła, że tradycyjnymi działaniami wojsk lądowych, nawet z udziałem naćpanych wagnerowców, nie zdoła doprowadzić do jakiegokolwiek sukcesu. Zaczęły dominować siły powietrzne, nękającymi nalotami bombowymi, raketowymi i coraz większą

liczbą dronów (w tym produkcji irańskiej) próbuje się osłabić ukraińską wolę walki. Krańcowa nierównowaga jednostek lotniczych jest najbardziej drastyczną cechą tej okrutnej, morderczej napaści Rosji na Ukrainę.

Nie bez winy w tej sprawie są niektórzy fałszywi sojusznicy Kijowa, bardziej dbający o dobre samopoczucie Putina niż o prawo do niepodległości ukraińskiego narodu. Ale to temat innego kalibru. Po irańskiej próbie masowego uderzenia na Izrael widać, że przy ścisłym współdziałaniu kilku sprawnych sojuszników można uzienić złowrogą ambicję napastnika. Niemal cały świat uczestniczył w nowatorskiej grze wojennej prowadzonej w skali 1:1, która może się okazać inspiracją dla wielu kolejnych roczników poborowych, również u nas. Nie ma co udawać, że ominie nas wojenna nerwica.

Pytanie, czy obecny rząd jest mentalnie przygotowany do obrony ojczyzny? Moim zdaniem kompletnie nie, choć chciałbym się mylić. Ale ważniejsze pytanie brzmi: czy obecna młodzież jest gotowa walczyć o niepodległość Polski? Może tego dokonać bez visa czy mausera w rękę. Joystickiem i sztuczną inteligencją. Nie liczcie jednak, że będzie to zabawa. Wojna zawsze jest tragedią. 

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Substancja

Różne są dziś stanowiska ludzi aktywnych po stronie związanej z poprzednią władzą. Myślę zarówno o osobach pracujących w instytucji, z którą sam byłem związany, czyli TVP, jak i pozostałych, w których następuje polityczna czystka, lecz niektórzy dawni pracownicy mają szansę robić swoje. Oczywiście „robić swoje” w każdym przypadku może oznaczać coś innego, gdzieś indziej można kontynuować pożyteczne działania, kiedy indziej pracować na warunkach nowego reżimu: realizując jego zalecenia i uczestnicząc w jego propagandzie, ale przynajmniej mając szansę na utrzymanie siebie i rodziny. Czy jeśli nie wyrzucają, ale proponują pozostanie na stanowisku, należy się na to zgodzić? A jeśli wyrzucono naszego szefa i jego zastępcy proponują jego stanowisko, to wypada je przyjąć?

Odwieczny polski dylemat. Margrabia Wielopolski i powstańcy. Kościuszko – łączący obie tradycje, bo przecież najpierw insurekcja, a potem wiernopoddanie przysięga przed carem, aby doprowadzić do uwolnienia polskich jeńców z rosyjskiej niewoli. A więc dylemat: bohatersko (romantycznie) odejść w aurze oszołoma, czy starać się „zachować substancję” (pozytywistycznie), ryzykując opinię kolaboranta?

Dwie sytuacje.

Była szefowa Instytutu Pileckiego Magdalena Gawin potępia swojego dawnego zastępcę, bo przyjął jej dawne stanowisko z rąk

Joanny Scheuring-Wielgus. Dla mnie też to obleśne, od tej pani nie przyjąłbym nawet cukierka. Ale może nie należy być tak małostkowym – dziś w rządzie są sami obrzydliwcy, więc czego innego mamy się spodziewać? Trzeba ratować, co się da.

Inna sytuacja: telewizja Bielsat. Nowa władza uznała, że jej prometejska rola nie ma sensu, nie ma potrzeby niesienia zachodniego przesłania na Wschód (niech każdy sam oceni, jak to świadczy o obecnie rządzących i ich koneksjach). Odwołano Agnieszkę Romaszewską ze stanowiska szefowej tej stacji, jej następcą został (na razie) jej dawny zastępca Alaksiej Dzikawicki. Romaszewska go nie zdezwuowała.

Nie chcę przesądzać, kto ma rację, obie panie znam i bardzo cenię, staram się zrozumieć przedstawiane przez nie argumenty, bo to dla polskiej polityki bardzo ważne osoby, dla boju o polskie sprawy, wartości, o budowanie fundamentów państwa polskiego.

Zachęcałbym jednak wszystkich, aby szukać pomysłów na trwanie. W czasach, gdy do władzy doszli barbarzyńcy niszczący cywilizację, trzeba szukać przyczółków normalności wszędzie, gdzie się da. 

Autor jest zatrudniony jako senior research fellow w projekcie Ordo Iuris Cywilizacja



**Dominik
Zdort**

Politycy już przyzwyczaili nas do tego, że co jakiś czas polską sceną polityczną i mediami wstrząsa love story z ich udziałem. Często te historie kończą publiczną karierę jej bohaterów.

Od kilku dni z jedynek tabloidów nie znika twarz Jacka Protasiewicza, niegdyś polityka PO, teraz Trzeciej Drogi i jego młodszej o kilka dekad wybranki Darii. Zaczęło się niewinnie – od obwieszczenia w mediach społecznościowych, że para właśnie przystępuje do niedzielnego obiadu i zdjęć Protasiewicza, który nad klawiaturą komputera uciera parmezan. Była też fota kanapeczek, które do łóżka miała dostać na śniadanie aktualna wybranka serca polityka. Uwadze internautów nie umknął fakt, że na chlebie leżała wędlina, a pani Daria publicznie obnosiła się z tym, że nie je mięsa. Wszystko działo się w niedzielę, a w poniedziałek rano pan Protasiewicz został odwołany z funkcji wicewojewody dolnośląskiego. I to wcale nie z powodu afektu do młodej kobiety, tylko z powodu skandalicznych wpisów na platformie X (d. Twitter).

Protasiewicz atakował dziennikarzy za potencjalny alkoholizm i rozmiary przyrodzenia, a młodemu działaczowi PiS w obrzydliwy sposób sugerował homoseksualizm. Byłemu wicewojewodzie w głowie zaszumiała chyba nie tylko miłość, bo sam stwierdził, że „chłapnął”, a w kolejnych wpisach przyznał się do poważnych problemów zdrowotnych.

Publicznie przeżywane uczucie zakończyło karierę polityczną i całkowicie zrujnowało powagę także byłego premiera w rządzie PiS Kazimierza Marcinkiewicza. W 2009 r. nieco zapomniany już polityk wrócił do mediów dzięki swojemu płomiennemu romansowi ze znacznie młodszą Isabel. Były premier wyraźnie potrzebował dzielić się ze światem swoim „szczęściem”, nie patrząc na uczucia żony, która wyszła z ciężkiej choroby. Marcinkiewicz z dnia na dzień został „Maxi Kazzem”. Były sesje w kolorowych magazynach, ślub i wielka katastrofa. Bo dawny premier skończył jako dłużnik alimentacyjny, co zakończyło jego karierę komentatora i pozbawiło szans na powrót do polityki.

Jacek i Daria

*Byłemu wicewojewodzie
dolnośląskiemu
w głowie zaszumiała
chyba nie tylko miłość*



Z powodu porywów serca z polityką ponad dekadę temu rozstał się również Mariusz Antoni Kamiński, który przed rozwodem był strażnikiem tradycyjnego modelu rodziny i przez 12 lat przykładnym mężem. Jednak w 2013 r. małżonkowie się rozwiedli, a ich decyzja wywołała spekulacje, że powodem był romans. Ówczesny poseł PiS wyznawał, że drogi małżonków się rozeszły. Nieco inaczej przedstawiała to była żona, która ujawniła szczegóły na Facebooku. „Mój były mąż [...] zdradził mnie z partyjną koleżanką. Polski Sejm zdradą małżeńską i rozwiązłością obyczajową stoi” – pisała kobieta. A Kamiński po rozwodzie

związał się z Iloną Klejnowską, która była określana mianem jednego z „aniołków Kaczyńskiego”. W 2014 r. para się pobrała, a w 2015 r. na świat przyszedł ich syn Aleksander Henryk. Ostatecznie o rozstaniu Kamińskiego z życiem publicznym zdecydowała afera madrycka, która wybuchła jesienią 2014 r., gdy okazało, że posłowie, którzy polecili taniemi liniami do Madrytu, pobrali z sejmowej kasy kilkadziesiąt tysięcy złotych zaliczki, zgłaszając wcześniej podróż samochodem. Wówczas polityk został wyrzucony z PiS.

Love story Ryszarda Petru i Joanny Schmidt pozbawiła pracy Nowoczesna jej twórcy. W 2017 r. media obiegało zdjęcie polityków z samolotu. Para wybrała się do Lizbony w czasie, gdy opozycja okupowała polski Sejm, walcząc z „reżimem” Kaczyńskiego. Petru był wówczas żonaty. Partyjna koleżanka Katarzyna Lubnauer tłumaczyła, że wyjazd był służbowy i dawno zaplanowany, a Paweł Rabej, który był w tamtym czasie za granicą, kilka lat później, przy okazji wywiadu zdradził mi, że zastanawiał się przez chwilę, czy powrót do kraju ma sens. Polityczne koleżanki Petru przejęły Nowoczesną, która dziś jest już tylko wspomnieniem. Jednak polityk wrócił do Sejmu, dziś jest posłem Trzeciej Drogi, a pani Joanna została jego żoną.

Czy Jackowi Protasiewiczowi uda się podnieść po kolejnym już skandalu? Najpierw musi poradzić sobie ze zdrowiem, ale pewnie będzie musiał szukać szczęścia w biznesie. Już zapowiedział, że nie obejmie poselskiego mandatu po Izabeli Bodnar, która walczy o fotel prezydenta Wrocławia.

Dorota Łosiewicz



Walizka Malwiny Kusior

wokalistki, aktorki

Walizka jest dla mnie metaforą czegoś nieznanego i ekscytującego. Jako artystyczna dusza wciąż szukam przygód i inspiracji, które następnie mogę wykorzystać w swoim życiu zawodowym. Kiedy miałam 16 lat, spakowałam walizkę i wyruszyłam do stolicy, obcego mi miejsca, gdzie zaczęłam przygodę z musicaliem. Nie spodziewałam się, że to przerodzi się w romans, a romans w wielką miłość. Debiutowałam na scenie największego polskiego teatru muzycznego – Teatru Roma – rolą Sary w „Tańcu wampirów” Romana Polańskiego w 2005 r. Wessałam się mocno w deski tegoż teatru na 16 lat. Kochałam każdą kolejną rolę: Meluzynę, Eponinę, Linę Lamont... Jeszcze bardziej uwrażliwiłam się na piękno muzyki, ciszy, tańca. Jak gąbka chłonełam wszystko, co mnie otacza. W tej walizce zaczęło przybywać doświadczeń i wspomnień. Staje się ona wciąż cięższa i cięższa, ale co w tym wszystkim najpiękniejsze, nadal mogę ją unieść. Czasami mnie przygniata, lecz to tylko momenty. Nie pozwalam sobie na dłuższe słabości. Jestem zachłanna i ciekawa tego, co jeszcze mogę w nią włożyć. A więc, drogie życie, ja dopiero się rozkręcam!



ANIOŁ I RÓŻANIEC

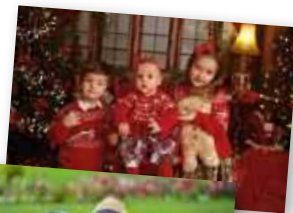
Im jestem starsza, tym bardziej doceniam siłę modlitwy. To jest jak katharsis. Każdy dzień rozpoczynam i kończę znakiem krzyża. Wiara jest super. Łatwiej mi patrzeć na życie z jej perspektywy.

RODZINA

Czy można kochać bardziej, niż kocha ciocia? Kiedyś to było abstrakcją – do momentu kiedy na świat przyszedł mój pierwszy chrześniak,

Leo. Totalne uzależnienie!

Można powiedzieć, że delikatnie zbikowałam na jego punkcie. Teraz dzielę swoje zwariowanie także między Wiktorię, Milana, Przemusia i Amelię. Nigdy nie przypuszczałam, że serce człowieka kryje w sobie pokłady tak wielkiej miłości.





SPORT

Scena jest żywiołem i muszę za nią nadążyć. Jako wokalistka dbam o kondycję w śpiewaniu, uprawiając sport, ćwicząc przeponę i zwiększając pojemność płuc. Aktywność fizyczna poprawia mój układ nerwowy i odpręża głowę. Endorfiny szaleją z radości.

BIELIZNA, KOSMETYKI, PERFUMY

Dobrze, że Bóg zdecydował, że jestem kobietą: burza hormonów, ciągle niezdecydowanie, analizowanie po stokroć jednej rzeczy, niekończąca się praca procesora zwanego mózgiem, bez tłumaczenia mogą zaspokajać swoje zachcianki zakupami i wszyscy to rozumieją. Po prostu kocham być kobietą!



KSIĄŻKI

Daleko mi do moła książkowego, bo wolę poznawać życie inaczej, ale nie ruszam się w podróż bez książki. Lubię różnego rodzaju poradniki.

NAGRODA KIEPURY

Rola Vivian w musicalu „Pretty woman” pojawiła się w moim życiu w momencie, w którym najbardziej jej potrzebowałam, prywatnie i zawodowo. Stała się moją przyjaciółką, która uratowała mnie w każdym możliwym znaczeniu tego słowa. To było jak dar z Nieba! Mam do niej ogromny sentyment.



KOSTIUMY

Kocham metamorfozy, wchodzenie w kolejne role, stawanie się kimś innym, a wszystko na potrzeby kreacji. Coś cudownego! A poza tym jestem 100-procentową kobietą i ciekiny to moje drugie imię!



NUTY

Śpiewanie mnie wyzwala. Uwielbiam wyrażać się poprzez tę sztukę. Emocje są wtedy głośne, niczym nieskrępowane, prawdziwe. Kiedy stoję na scenie teatralnej i śpiewam, mam wrażenie uniesienia. Nie bez powodu teatr jest nazywany świątynią.



KAWA

Mam nałogi – to kawa, ale dobra kawa. Niczym pomiędzy mnie nie przekonacie. Będę prosić baristę o kolejną i kolejną, dopóki nie wypiję dobrej. Cóż, nikt nie powiedział, że będzie łatwo. Ale naprawdę warto! Na najlepsze ponoć trzeba poczekać.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

Niemiec przejmuje odpowiedzialność

Niemalą konsternację wywołało stanowisko niemieckiego ambasadora w Polsce na temat wschodniej flanki NATO. Już sam fakt, że ambasador powiela jeden do jednego słowa szefa Bundeswehry, wiele mówi o delikatności niemieckiej dyplomacji.

Zaczął gen. Carsten Breuer, który na platformie X (d. Twitter) oznajmił, że Niemcy... przejmują odpowiedzialność za wschodnią flankę NATO. Decyzja ta została zakomunikowana po rozmowie z gen. Wiesławem Kukulą, szefem Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Słowa niemieckiego generała i ambasadora wzbudziły zrozumiałe zdumienie w Polsce. Pożar próbował gasić Sztab Generalny Wojska Polskiego, pisząc na platformie X, że „wszystkich nas powinna cieszyć niemiecka deklaracja silniejszego zaangażowania w obronę wschodniej flanki NATO – w szczególności Litwy” oraz podkreślając, że „to nie oznacza, że cokolwiek komukolwiek przekazujemy lub oddajemy”. Szkoda tylko, że Niemiec już ogłosił, że przejmuje, więc mówienie teraz, że wcale nic nie zostało oddane, jest co najmniej kiepskim żartem.



Samuel Pereira

Poza tym już samo ogłaszanie się szefem wschodniej flanki przez Niemcy, i to akurat w Polsce, to zwyczajna potwarz. Nie tylko ze względu na przeszłość oraz historię naszych relacji, lecz także całkiem niedawne zaślepienie Niemców Rosją i politycznym związkiem Angeli Merkel z Władimirem Putinem. To nie pierwsza zresztą potwarz ambasadora innego kraju wobec Polski. Jak w mocnych słowach skomentował @Tash_Witk: „Od 13 grudnia 2023 r. miały miejsce następujące wydarzenia w polityce zagranicznej: 1. Rosyjski ambasador naszczał nam na łeb. 2. Izraelski ambasador naszczał nam na

łeb. 3. Niemiecki ambasador naszczał nam na łeb. Dyplomacja nasza ma się zaj...ście”. Nawet jeśli uznać, że Radosław Sikorski jako minister spraw zagranicznych źle się z tym czuje, to czy trudno się dziwić, że nie szanują go inne kraje, skoro już wcześniej on sam jako szef MSZ za poprzednich rządów Tuska nie szanował suwerenności i roli własnego kraju? To przecież w 2011 r. Sikorski z mównicy sejmowej w exposé MSZ ogłosił: „W naszym interesie jest, aby Niemcy oddziaływały na Europę”. Jak to oddziaływanie wyglądało i wygląda, widzimy wszyscy.

Halny w duszy mi gra

Z *Basią Giewont*, wokalistką, aktorką scen muzycznych, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czym są „Taterki”?

Basia Giewont: To moja pierwsza autorska i debiutancka płyta. Wycekiwany przeze mnie artystycznie moment oraz bardzo pilnie wypracowany album. To także spełnienie marzenia i postawienie sobie kolejnej poprzeczki. Jestem bardzo dumna z tej płyty. Stanowi nawiązanie do moich korzeni, a także pokazuje moje różne możliwości. Śpiewam od zawsze i bardzo wiele gatunków. „Taterki” to album rozrywkowy, alternatywna elektroniczna muzyka pop z elementami folku (nie mylić z muzyką folkową).

Co dziś pani w duszy gra?

Halny – tak też nazywa się trasa koncertowa albumu. Halny to porywisty, silny wiatr niosący zmiany. Czuję, że mogę zawiać na rynku muzycznym z totalnie nową energią – mam coś

do powiedzenia i jest to absolutnie moje i szczerze. Do tej muzyki można tańczyć, można jej słuchać ze wzruszeniem, można się przy niej śmiać, a także wiele dowiedzieć o tym, co nas otacza. Poruszam nie tylko lekkie i przyjemne tematy, lecz także opowiadam np. o przemocy domowej. Bohaterami „Taterek” są moje emocje, sny, historie, które poznałam i te, których sama doświadczałam.



Nazwisko zobowiązuje? Także do wspinania się na wokalny i aktorski Giewont?

Staram się zawsze iść do przodu. Mimo różnych trudności sięgać jeszcze wyżej. Nie zatrzymuje mnie nic, a coś, co rani, dodaje jeszcze więcej motywacji. Moje nazwisko to akurat nie zobowiązanie, a przyjemność i duma. Mam wspaniałych rodziców, miałam niesamowitych dziadków Giewontów i wiem, że właśnie dzięki nim mam coś do powiedzenia, tylko muszę pielęgnować swoje talenty.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

RZĄD CHCE WPROWADZIĆ ZAKAZ SPRZEDAŻY ALKOHOLU NA STACJACH BENZYNOWYCH. CZY BĘDZIE REFERENDUM?



TRENDY I OWĘDY

Król X

Śmianie się z czyjegoś nieszczęścia nie jest zbyt eleganckie

Jednak gdy ktoś sam się usilnie prosi o kpinę, to ciężko być tak nieuprzejmym, żeby nie wyjść mu na przeciw. Premier Tusk odwołał w trybie natychmiastowym wicewojewodę Jacka Protasiewicza. Nastąpiło to w poniedziałek, od razu po sławetnej niedzieli, kiedy znany polityk został królem X, niegdyś Twittera.

Zaczęło się dość niewinnie. Polityk chciał się pochwalić romanssem z dużo młodszą od niego studentką. Ona ma 22 lata, on 56, więc powód do dumy jest. Zamieścił fotki z kuchni. Nic takiego, robili obiad.



Ryszard Makowski

Owej studentce ta forma reklamy też nie przeszkadzała. Traf chciał, że to ta sama osoba, która donosiła na swojego kolegę z Wydziału Prawa i próbowała przyczynić się do jego relegowania z UW za prawicowe poglądy. I wtedy zaczął się magiel na całego. Wicewojewoda sformułował wyjątkowo ohydny wpis pod adresem tego studenta. Na to zareagowali znani dziennikarze. Im także się dostało, jednemu nawet od „alkoholików”. Akurat ten ostatni argument był dziwny, bo są podejrzenia, że wpisy byłego wicewojewody były alkotweetami. Na portalach jest zasada: „Pileś, nie pisz!”.

To nie pierwszy czarny fejtm Jacka Protasiewicza. W 2014 r. jako wiceprzewodniczący PE, także pod wpływem, na lotnisku we Frankfurcie zwymyślał celników, wykrzykując: „Heil Hitler!”. Co ciekawe, polityk ma szansę, zależnie od wyniku wyborów na prezydenta Wrocławia, zostać posłem. Teraz mówi, że nie, ale niewykluczone, że fantazja mu dopisze i zmieni zdanie. Bo czy w naszym Sejmie nietrzeźwość jest czymś nagannym?

SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARGIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ,
MAREK BUDZISZ, LESZEK DEJGOSZ,
KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA,
GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI,
CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB
MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT
TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOŁIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODZIEŁ: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNIA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ, JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: A. WIKTOR 42, SHUTTERSTOCK 44



Idzie wojna

Na naszych oczach kształtuje się współczesna oś państw zainteresowanych rewizją globalnego porządku. To „czworokąt zła” złożony z Rosji, Iranu, Korei Północnej i Chin. Umacniają się siły wrogie Zachodowi, dążące do rozwiązań militarnych, przekonane, że nadchodzi czas walki na śmierć i życie



MAREK BUDZISZ

W niepewnych czasach złoto drożeje. Gdyby porównać cenę uncji tego kruszcu w 1940 r. z notowaniami sprzed dziesięciolecia, okazałoby się, że wzrosła ona trzykrotnie. Podobnie jest teraz, co naj-

lepiej oddaje stan nastrojów na świecie. Po irańskim ataku na Izrael kurs złota na giełdzie w Londynie osiągnął swe historyczne maksimum i wynosił ponad 2,4 tys. dol. za uncję. W starych, spokojnych czasach, w okolicach 2000 r., za tę samą wagę trzeba było zapłacić mniej niż 500 dol. Co ciekawe, jak powiedział brytyjskiemu dziennikowi „The Telegraph” Ross Norman, weteran na rynku złota, wydawca specjalistycznego periodyku dla inwestorów „Metals Daily”, „to nie zachodnie instytucje finansowe stoją za tymi zwyczajami kursu”. Jego zdaniem to

raczej „potężny gracz z bardzo głębokimi kieszeniami”, który kupuje na potęgę i niespotykaną skalę. Bo jak dodaje Norman, „nigdy wcześniej nie spotkałem się z taką formą zakupów”. Czy jakieś nie-europejskie państwo skupuje złoto mimo historycznie wysokiego kursu, bo wie, że sytuacja na świecie będzie się pogarszać?

„CZWOROKĄT ZŁA”

Z pewnością pogarszają się nastroje. Grant Shapps, brytyjski minister obrony, powiedział w styczniu br., że Zachód znaj-



duje się „w czasie przed wojną” i prawdopodobieństwo konfliktu jest większe niż kiedykolwiek. W ostatnich tygodniach mieliśmy do czynienia z kilkudziesięcioma wypowiedziami zachodnich przywódców i wojskowych w podobnym duchu. Ostatnio o czasie „przed wojną” mówił premier Donald Tusk, a Jacek Siewiera, kierujący pracami Biura Bezpieczeństwa Narodowego, przestrzegał, że mamy trzy lata, aby przygotować się na nadchodzące wyzwania.

Bałtowie już się szykują. Ministrowie obrony trzech krajów zapowiedzieli budowę linii umocnień, okopów i bunkrów wzdłuż granicy z Federacją Rosyjską i Białorusią, a ostatnio Litwa poinformowała o budowie ponad 20 magazynów, w których znajdują się „wilcze zęby”, betonowe zapory antyczołgowe, drut kolczasty do budowy zasieków – wszystko, co może być niezbędne, aby opóźnić ewentualny marsz Rosjan. Jak powiedział portalowi The Baltic Times Lau-

rynas Kasciunas, kierujący w litewskim parlamencie pracami komisji obrony, 18 tego rodzaju składów ma zostać zbudowane już do lata br. Inwestycja będzie kosztować 18 mln euro, ale Litwini się spieszą, bo ich zdaniem zagrożenie może okazać się bliższe, niż ktokolwiek sądzi.

Jānis Kažociņš, były łotewski doradca ds. bezpieczeństwa narodowego i szef wywiadu, powiedział dziennikowi „The Financial Times”, że „widzi ogólnie dwa scenariusze”. W pierwszym Rosja wygrywa wojnę na Ukrainie i dąży do tego, aby wykorzystać chwilę, kiedy Zachód będzie przytłoczony porażką, a niewykluczone, że również podzielony. Wówczas Kreml może zdecydować się „na sprawdzenie” siły art. 5 NATO, atakując jedno z państw bałtyckich. Drugi scenariusz nie zakłada bezpośredniej agresji, a jedynie stałą destabilizację sytuacji, prowokację, dążenie do wywołania efektu zmęczenia. Ten wariant wydarzeń jest nie mniej niebezpieczny, bo wysysając zasoby małych i słabszych państw graniczących z Rosją, wydaje się bardziej prawdopodobny w sytuacji przedłużającej się wojny na Ukrainie.

Ale nie tylko Rosja jest zagrożeniem. Amerykańscy eksperci alarmują, że na naszych oczach kształtuje się współczesna oś państw rewizjonistycznych, „czworokąt zła” złożony z Rosji, Iranu, Korei Północnej i Chin, które współpracują ze sobą coraz bliżej, zarówno ekonomicznie, jak i wojskowo. Do powstania pełnowymiarowego sojuszu wojskowego jeszcze nie doszło, ale kontynuacja obecnych tendencji może do tego doprowadzić. Jak niedawno ujawnił amerykański wywiad, to dzięki dostawom z Chin i pozostałych krajów Kreml jest w stanie kontynuować wojnę i potrafił przestawić swój przemysł na potrzeby produkcji wojskowej. Zrobił to, jak powiedział w Kongresie w minionym tygodniu gen. Christopher Cavoli, „szybciej i skuteczniej, niż się spodziewaliśmy”. I ten proces stanowi potencjalnie największe zagrożenie dla przyszłości.

Litewska premier Ingrida Šimonytė powiedziała dziennikarzom „The Financial Times”, że problemem jest nie to, czy Putin powściągnie swe imperialne ambicje, ale „czy będzie mógł się zatrzymać”. Jak zauważyła, „kiedy postawisz wszystko na jedną kartę, przestoisz gospodarkę na produkcję wojskową, masz miliony ludzi

uzbrojonych, wyszkolonych i nagle mówisz: »Teraz wracamy do domu«, to ten moment może być niebezpieczny, bo równie dobrze może oznaczać upadek całego modelu gospodarczego”.

PRZYGOTOWANIA DO KONFRONTACJI Z ZACHODEM

W toku wojny Rosja, podobnie jak w ostatnim czasie inne państwa zainteresowane rewizją globalnego porządku, przechodzi głęboką przemianę wewnętrzną. Umacniają się siły wrogie Zachodowi, dążące do rozwiązań militarnych, przekonane, że nadchodzi czas walki na śmierć i życie.

Jak dowodzi tygodnik „The Economist”, w Iranie coraz większe wpływy ma Paydari Front, ruch utworzony po to, aby bronić islamskiego charakteru państwa i zdobyć rewolucji Chomeiniego. Ten proces jest pokłosiem niedawnych masowych protestów społeczeństwa opowiadającego się za większymi prawami dla kobiet, ale paradoksalnie zagrożona elita władzy wzmocniła w odpowiedzi siły ekstremistyczne, opowiadające się za zniszczeniem Państwa Izrael i odrzucającą jakiegokolwiek kompromis z Zachodem.

W Rosji w trzecim roku wojny brak jest przejawów oporu na większą skalę. Wymuszona przez władzę konsolidacja społeczna oznacza w praktyce militarzację i antyzachodnią ideologizację. Zmieniane są programy nauczania, w szkołach wprowadza się klasy pilotowania dronów bojowych, a Siergiej Karaganow, wpływowy politolog i doradca Kremla, mówi wręcz o wychowaniu „pokolenia wojowników”, ludzie chcących nawet przez długie lata walczyć z Zachodem. Towarzyszy temu dominująca propaganda, w świetle której Rosja jest ofiarą ataku, musi się bronić, a jeśli ustąpi, to zniknie z mapy świata.

W grudniu ub.r. i w styczniu br. Kim Dzong Un w dwóch przemówieniach przedstawił nową strategię północnokoreańskiego reżimu wobec południa. W opinii Rüdigera Franka, eksperta think tanku Stimpson Center zajmującego się obserwowaniem relacji koreańskich, jest ona znacznie bardziej agresywna, do tego stopnia, że uprawnionym jest mówienie o przygotowywaniu się Pjongjangu do wojny z Seulem.

Retoryka Xi Jinpinga, który wykluczył z sześciopartyjnego stałego komitetu politycznego Komunistycznej Partii Chin wszystkich swoich rywali i teraz w pełni kontroluje obóz władzy, też się zaostrza. Właśnie wysłał on do Korei Północnej Zhao Lejia, polityka numer trzy w chińskiej hierarchii władzy, po to, aby „zacieśnić współpracę”, a w kwestii zjednoczenia z Tajwanem chiński przywódca mówi, że jest to jedynie kwestia czasu. Obserwatorzy chińskiej sceny politycznej zwrócili też uwagę na to, że z oficjalnych dokumentów KPCh zniknęły wzmianki o pokojowym charakterze procesu zjednoczenia, co ich zdaniem oznacza, że teraz Pekin nie wyklucza agresji wojennej. Podobnie myślą chyba politycy na Tajwanie, gdzie przedłużono okres obowiązkowej służby wojskowej, a liczącą ponad 180 tys. żołnierzy armię zawodową planuje się uzupełnić o „służbę tyłową”, budowaną w oparciu o przeszkolonych wojskowo rezerwistów.

WSZYSCY SIĘ ZBROJĄ

Liczba miejsc zapalnych w świecie, zwłaszcza na obszarach rozdzielających umowny Zachód od autorytarnego czworokąta państw rewizjonistycznych, rośnie ostatnio w ekspresowym tempie. Pogarsza się sytuacja na Bliskim Wschodzie, trwa wojna na Ukrainie, Chiny nie rezygnują ze swej polityki kwestionowania granic na Morzu Południowochińskim, co owocuje narastającą liczbą incydentów między Pekinem a Hanoi i Manilą, destabilizują się relacje na Półwyspie Koreańskim, wojna domowa w Birma wchodzi, jak się wydaje, w decydującą fazę po tym, jak rebelianci zdobyli ważne strategiczne miasto na granicy z Filipinami. Sytuacja w Afryce, zwłaszcza subsaharyjskiej, to osobna historia.

Konfliktów jest tyle, że niektórzy eksperci w rodzaju Hala Brandsa z American Enterprise Institute są zdania, iż już trwa III wojna światowa, choć na razie tego nie zauważamy, bo starcia trwają na obszarach peryferyjnych, nie dotarły do głównych ośrodków siły i znaczenia na naszym globie.

Wszyscy się też zbroją. Zdaniem ekspertów szwedzkiego SIPRI wydatki wojskowe na świecie rosną nieprzerwanie od ośmiu lat, a ostatnio przyspieszyły.



W ostatnim czterolecu Europa podwoiła import broni, ale szczególnie intensywnie do ewentualnej wojny przygotowują się Chińczycy. Matt Pottinger (były zastępca doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego w administracji Trumpa) i Mike Gallagher (były kongresman i wieloletni oficer amerykańskiego wywiadu) oceniają, że po 2020 r. Pekin

Konfliktów jest tyle, że niektórzy eksperci są zdania, iż już trwa III wojna światowa, choć na razie tego nie zauważamy, bo starcia mają miejsce na obszarach peryferyjnych

podwoił swój arsenał nuklearny i rozbudowuje siły konwencjonalne szybciej, niż po II wojnie światowej robiło to jakiekolwiek państwo.

Broń jądrową, i to już za sześć miesięcy, może uzyskać Iran. Jak powiedział niedawno w rozmowie z niemieckim dziennikiem „Frankfurter Allgemeine Zeitung” Rafael Grossi, szef Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, Teheran potrzebuje pół roku, aby być w stanie skonstruować kilka głowic nuklearnych. Obecnie ma już wszystkie niezbędne do tego komponenty,

w tym wzbogacony uran i czas, którego potrzebuje, może spożytkować na złozenie wszystkiego razem. Nie można wykluczyć, że wysiłki Teheranu zostaną wsparte przez Moskwę, tak jak północnokoreański przemysł kosmiczny dostał zastrzyk wiedzy i technologii od Kremla po tym, jak Kim zaczął dostarczać Moskalom amunicję. Pjongjang nie mógł sobie poradzić z umieszczeniem swego satelity na orbicie okołoziemskiej, ale na początku br. kolejna próba okazała się skuteczna, jak się spekuluje właśnie dzięki transferowi technologii z Rosji.

Polityka Kremla, który w ub.r. doprowadził do przesunięcia rosyjskich głowic taktycznych na Białoruś, a równolegle używa swego potencjału jądrowego w charakterze strasaka i demontuje system umów rozbrojenio-

wych, jest jedną z przyczyn bólu głowy wojskowych na Zachodzie. Bałtowie obawiają się, że w przypadku agresji Moskali na ich kraje rosyjskiej strategii „eskalacji celem deeskalacji” może towarzyszyć realna groźba użycia przez Kreml jądrowej broni taktycznej. Nie po to, aby doprowadzić do kolejnej Hiroszimy, ale skutecznie powstrzymać NATO od pomysłu przyjscia z odsieczą atakowanym państwom bałtyckim.

Ten scenariusz nie jest nierealny, bo jak niedawno powiedział w Wilnie na konferencji poświęconej bezpieczeństwu gen. Ben Hodges, były dowódca sił NATO w Europie, obecnie doradca

się, że w przypadku agresji Moskali na ich kraje rosyjskiej strategii „eskalacji celem deeskalacji” może towarzyszyć realna groźba użycia przez Kreml jądrowej broni taktycznej. Nie po to, aby doprowadzić do kolejnej Hiroszimy, ale skutecznie powstrzymać NATO od pomysłu przyjscia z odsieczą atakowanym państwom bałtyckim.



ds. logistyki centrali Sojuszu, „Litwini będą musieli sami walczyć przez dwa tygodnie”, bo tyle czasu będą potrzebowały siły szybkiego reagowania NATO, aby dotrzeć w rejon walk. Słowa Hodgesa wywołały w Wilnie szok, tym bardziej że zapowiedziana rozbudowa wielonarodowych sił, dla których państwem ramowym są Niemcy, ma potrwać do 2028 r.

Póki co Litwini zwiększają własne wysiłki w zakresie obronności i cieszą się z tego, co mają. Dwa tygodnie temu z wielką pompą i w obecności niemieckiego ministra obrony

Borisa Pistoriusa witali pierwszych 20 niemieckich oficerów, którzy przybyli, aby przygotować proces rozwinięcia brygady. Nie będzie to łatwe, bo jak powiedział niedawno w mediach André Wüstner, przewodniczący Niemieckiego Stowarzyszenia Bundeswehry, zaniebdania są ogromne i obecnie „żadna z niemieckich brygad nie jest gotowa do działania”. Jest to o tyle niepokojące, że jak ocenia wywiad Estonii w specjalnym raporcie opublikowanym w lutym br., już za trzy lata Rosjanie mogą być w stanie podwoić siły stacjonujące na granicy z tym państwem. W tym konkretnym przypadku może to być niemal 40 tys. ludzi, czemu Tallin będzie w stanie przeciwstawić 7,1 tys. żołnierzy regularnej armii, ponad 40 tys. rezerwistów i 3,5 tys. stacjonujących w Estonii żołnierzy NATO, oczywiście jeśli obecny batalion stanie się brygadą i dostanie ciężki sprzęt, którego dziś nie ma.

Wszyscy się zbroją. Wydatki wojskowe na świecie rosną nieprzerwanie od ośmiu lat, a ostatnio przyspieszyły. W ostatnim czterolecu Europa podwoiła import broni, ale szczególnie intensywnie do ewentualnej wojny przygotowują się Chińczycy

Gen. Janne Jaakkola, szef sztabu sił zbrojnych Finlandii, powiedział w wywiadzie prasowym, że tak długo, jak trwa wojna na Ukrainie, rosyjska agresja przeciw jednemu z państw NATO jest mało prawdopodobna i dlatego należy przygotowywać się już teraz. Jak zaznaczył, właśnie dlatego Helsinki są gotowe do przyjęcia wojsk sojuszniczych na swoim terytorium. A co będzie, jeśli wojna się zakończy, nie daj Boże, rosyjskim zwycięstwem albo takim rezultatem, który zostanie uznany za sukces Moskwy? Czy wówczas nie zachęci to rosyjskiej elity i społeczeństwa, aby „wypробować” siłę art. 5 Paktu Północnoatlantyckiego?

„BĄDŹCIE BARDZIEJ FINAMI”

Ta kwestia bezpośrednio dotyczy bezpieczeństwa Polski, tym bardziej że Aleksander Łukaszenka otwarcie mówi,

iż Białoruś „przygotowuje się do wojny”. Notabene incydenty z rosyjskimi i białoruskimi środkami napadu powietrznego oraz innymi obiektami latającymi układają się w pewien wzór. Zagrożone są tereny Polski graniczące i położone w niewielkiej odległości od obwodu królewieckiego, gdzie mieliśmy do czynienia z balonami zwiadowczymi i prowokacyjnymi przelotami śmigłowców. Drugim kierunkiem są tereny na południu, w okolicach Brześcia. Liczne ostatnio ćwiczenia, sprawdzanie gotowości bojowej, wezwania dla rezerwistów po stronie białoruskiej koncentrują się też na północnym-zachodzie, w okolicach Grodna i na południu.

Czy oznacza to, że Łukaszenka zaatakuję? Nie, ale z pewnością białoruskie prowokacje wiążą polskie siły, które muszą być przygotowane na każdą ewentualność, niezależnie od tego, czy będziemy mieć do czynienia z „mniejszym wtargnięciem”, poważniejszą akcją, czy „tylko” ze szturmem zwożonych przez KGB „migrantów”. Taka sytuacja wpływa na relację sił, bo eksperci Fińskiego Instytutu Studiów Międzynarodowych otwarcie napisali w opublikowanym ostatnio raporcie na temat wkładu Helsinek do NATO, że mając długą, liczącą przeszło 1,3 tys. km granicę z Rosją ich kraj nie będzie w stanie przyjąć siłami lądowymi z odsieczą zaatakowanemu sojusznikowi. Jeśli nasze wojska będą w tym samym czasie związane na granicy z Białorusią, obawiając się prowokacji, to kto w godzinie próby pomoże Bałtom? Rosjanie mogą chcieć wykorzystać chwilową i lokalną przewagę, aby pokazać, iż gwarancje bezpieczeństwa NATO mają jedynie wartość zapisów na papierze.

Co robić w takiej sytuacji? Alexander Stubb, nowy prezydent Finlandii, w wywiadzie dla „The Financial Times” sformułował radę, którą Europa winna wziąć sobie do serca. „Bądźcie bardziej Finami – proponował. – Mniej mówcie o wojnie i zagrożeniu, a w większym stopniu wytrwale się przygotowujecie”. Jego zdaniem jednym z elementów tych przygotowań winno być przywrócenie powszechnej służby wojskowej, z której Finlandia nigdy nie zrezygnowała. Dlaczego? Aby zapobiec narastaniu przewagi po stronie Rosji i zwiększyć w ten sposób siłę odstraszania, bo to oznacza zdolność do utrzymania pokoju. Wojna wybuchnie, jeśli będziemy słabi.

Wyrok na Lewicę

Donald Tusk chce wypchnąć Nową Lewicę z koalicji rządzącej, zabierając jej co najmniej 13 posłów. Jej wyeliminowanie wspierają Szymon Hołownia (nie będzie musiał rotacyjnie oddawać stanowiska marszałka Sejmu) i Władysław Kosiniak-Kamysz. Można powiedzieć, że to już chór, a nie pojedyncze głosy w tej sprawie



STANISŁAW JANECKI

Po czterech miesiącach sprawowania władzy liderzy Koalicji Obywatelskiej, Polskiego Stronnictwa Ludowego i Polski 2050 uważają, że Lewica bardziej im szkodzi niż pomaga, przez co tracą dużo czasu na wewnętrzkoalicyjne przepychanki, zamiast zająć się np. odwetem i zemstą na PiS. Szymon Hołownia jako marszałek Sejmu jest dla

Tuska dużo wygodniejszy niż byłby Włodzimierz Czarzasty, tym bardziej że lider Polski 2050 nigdy nie sprzeciwił się Tuskiowi w ważnych sprawach, nie zamroził niczego, na czym zależało premierowi.

Nie ma jeszcze decyzji, kiedy nastąpi pozbycie się Lewicy z rządu i koalicji. Najwięksi zwolennicy takiego posunięcia chcieliby tego jeszcze przed czerwcowymi wyborami do Parlamentu Europejskiego, aby Lewicę osłabić na tyle, żeby nie zdobyła w tym głosowaniu żadnych mandatów. Na razie jej politycy zdecydowali, że ugrupowanie startuje samodzielnie, a szefową sztabu została Katarzyna Kotula, minister ds. równości. Drugi wariant zakłada wciągnięcie wybra-

nych (przez Tuska) kandydatów Lewicy na listę Koalicji Obywatelskiej, co szanse dobrego wyniku startującej samodzielnie Lewicy zmniejszyłoby do zera. Zarówno, gdy chodzi o przeciągnięcie kandydatów Lewicy na listę KO, jak i o wyciągnięcie posłów z klubu Nowej Lewicy w imieniu Tuska rozmowy ma prowadzić jego zaufany Paweł Graś. W przypadku posłów propozycja polega na dołączeniu do Koalicji Obywatelskiej, zachowując lewicową tożsamość, ale bez fajerwerków.

Lewica ma obecnie 26 mandatów w Sejmie, więc gdyby cała została wypchnięta, koalicja dysponowałaby 222 mandatami – za mało na utrzymanie większości. Tusk miał upoważnić Grasia do wyciągnięcia z Lewicy co najmniej 13 posłów, w tym zasiadających w rządzie – z wyjątkiem Katarzyny Kotuli, której chce się pozbyć.

DOBIJANIE SŁABYCH

Donald Tusk chce maksymalnie wykorzystać to, że Lewica słabnie i po prostu ją rozparcelować. W sondażu Ogólnopolskiej Grupy Badawczej z 3–5 kwietnia 2024 r. (odłożmy na chwilę wątpliwości co do jakości tych badań) Nowa Lewica znalazła się pod progiem – 4,47 proc. poparcia. W wyborach 7 kwietnia 2024 r. Lewica zdobyła głosy 6,32 proc. wyborców, co przełożyło się na obsadzenie zaledwie ośmiu mandatów w sejmikach wojewódzkich (w całym kraju). A w wyborach parlamentarnych 15 października 2023 r. na Lewicę głosowało jeszcze 8,61 proc. wyborców.

Na zlecenie rp.pl 9–10 kwietnia 2024 r. SW Research zapytało Polaków, czy Nowa Lewica powinna mieć mniej ministrów w rządzie. Większość badanych (39,3 proc.) odpowiedziała twierdząco, przeciwnego zdania było 31,3 proc. Ode-

branie Lewicy części ministerialnych stanowisk częściej popierają mężczyźni (47 proc.) niż kobiety (32 proc.), a ogólnie zmian w rządzie Donalda Tuska oczekuje co druga osoba (49,8 proc.), która nie ukończyła 24 lat. Uzasadniając rozprawę z Nową Lewicą, Tusk może się więc powołać na młodych wyborców.

Jak komentował dla portalu gazeta.pl politolog Miłosz Wiatrowski-Bujacz, „wynik Lewicy w wyborach do Sejmu był fatalny, ale zamiast refleksji nad tym, co dalej, liderzy woleli udawać, że nic się takiego nie stało”. I konkludował, że „czas Lewicy w rządzie Tuska powinien dobiec końca”. Tym bardziej że Lewica jest postrzegana jako „odklejona (zwłaszcza wśród osób z mniejszych ośrodków) i nieróżniąca się szczególnie od progresywnego skrzydła Koalicji Obywatelskiej”.

Kiedy Lewica wspiera rząd w sprawach, które nie pokrywają się z jej programem, jej wyborcy tego nie cenią. A gdy rząd Tuska realizuje postulaty Lewicy, które przejęła Koalicja Obywatelska, partia Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia nic z tego nie ma. Z kolei gdy Lewica się stawia, forsując własne projekty, jest oskarżana o niszczenie koalicji. Ale sama z niej nie wyjdzie.

W takiej sytuacji pojawiły się postulaty, by się wymieszać z Koalicją Obywatelską. Ale Donald Tusk, widząc, jak partner dołuje, wcale nie zamierza rzucać mu koła ratunkowego, tylko go połknąć – nie całego, bo to się nie opłaca, ale jego dużą część. Dlatego zerwał negocjacje w sprawie wspólnego startu w wyborach samorządowych i dał jednoznaczny sygnał, że może współpracować tylko pod warunkiem, że kandydaci Lewicy wejdą na jego listę do Parlamentu Europejskiego. Ale na jego zasadach. A to oznacza rozbitcie Lewicy. Jest to możliwe, tym bardziej że jeden z liderów Lewicy, Robert Biedroń, jest w stanie zaakceptować każde warunki, byleby nie stracić mandatu europosła.

TRZYNASTKA DO WZIĘCIA

Po faktycznym rozbitciu Lewicy Włodzimierz Czarzasty zostałby sam: albo jako lider partyjnego ogryzka, albo jako rebeliant wychodzący z koalicji. Tylko wtedy nie objąłby funkcji marszałka Sejmu. Ale

jako szef „ogryzka” też ma minimalne szanse na marszałkowanie, a spadają one do zera, gdy Tusk zrealizuje plan przejścia co najmniej 13 posłów Nowej Lewicy, żeby utrzymać 235-mandatową większość. Wtedy żadna Lewica nie jest potrzebna ani Tuskowi, ani Hołowni, ani Kosiniakowi-Kamyszowi jako samodzielny byt.

Pozbycie się koalicjanta gwarantuje Szymonowi Hołowni utrzymanie fotela marszałka Sejmu do wyborów prezydenckich w 2025 r., a to dla niego i Trzeciej Drogi optymalny scenariusz. A wicemarszałek Sejmu z PSL Piotr Zgorzelski już mówi, że pomysł rotacyjnego marszałka jest do niczego i nie warto go realizować. Ale skoro taką zmianę zapisano w umowie koalicyjnej, można z niej łatwo zrezygnować wtedy, gdy się nie będzie lewicowego

Lewicowa krytyka jest dla Tuska znacznie bardziej dotkliwa i kłopotliwa niż ze strony PiS, bo pochodzi z wnętrza obozu władzy

koalicjanta. Przejęcie co najmniej 13 posłów Nowej Lewicy (połowy ich stanu posiadania) rozwiązuje sprawę, a Czarzastego stawia w sytuacji bez wyjścia, o ile w ogóle przetrwa jako lider tego, co zostanie po rozparcelowaniu klubu parlamentarnego. Partnerzy z uszczuplonej koalicji 13 grudnia nie będą za nim płakać, podobnie jak za rozwaloną i zmarginalizowaną Lewicą, nawet jeśli ta pozbędzie się dotychczasowych liderów. Po co się dzielić władzą i stanowiskami z kimś, kogo można trwale wyeliminować bez utraty większości? Większość zostanie utrzymana i nie trzeba będzie organizować wcześniejszych wyborów.

W planie, który ma realizować dla Tuska Paweł Graś, Klub Lewicy miałby opuścić przede wszystkim wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski, a także ministrowie Agnieszka Dziemianowicz-Bąk i Dariusz Wiczorek oraz wiceministrowie Joanna Scheuring-Wielgus, An-

drzej Szejna i Krzysztof Śmiszek. Poza tym posłowie Daria Gosek-Popiołek, Joanna Wicha, Arkadiusz Sikora, Tomasz Trela, Jacek Czerniak, Maciej Konieczny i Łukasz Litewka. Gdyby udało się wyciągnąć 13 posłów Lewicy, którzy mieli już złożyć stosowne obietnice, rządowa większość dysponowałaby 235 mandatami.

Donald Tusk zademonstrował zamiar pozbycia się Lewicy z koalicji już podczas kampanii samorządowej, gdy obcowsowo odrzucił możliwość pójścia razem do wyborów. Pośrednią konsekwencją tej decyzji jest samodzielny start Lewicy w wyborach do europarlamentu. Tusk miałby przekonywać w kampanii lewicowych wyborców, że jest ona słaba i nieskuteczna, więc nie warto tracić na nią głosów. Premier będzie też im zapewne tłumaczył, że tylko dzięki niemu podjęto prace na liberalizację prawa aborcyjnego i tylko on przeforsuje przepisy o związkach partnerskich, więc nie ma sensu głosować na Lewicę i utrzymywać ją w rządzie.

ZGODA NA ELIMINACJĘ

Ta część Lewicy, którą tworzą posłowie partii Razem, sprawia Tuskowi wyłącznie kłopoty, bo w wielu sprawach ostro krytykuje posunięcia obecnego rządu, np. w kwestii Centralnego Portu Komunikacyjnego czy elektrowni jądrowych. Lewicowa krytyka jest dla Tuska znacznie bardziej dotkliwa i kłopotliwa niż ze strony PiS, bo pochodzi z wnętrza obozu władzy, mimo że Partia Razem nie weszła do rządu. Rozprawiając się z obecnym trzonem Lewicy, Tusk zapewne liczy na to, że po lewej stronie pozostaną tylko małe ugrupowania, a reszta zostanie przez niego zwasalizowana na takiej samej zasadzie jak wcześniej Nowoczesna. Tusk woli mieć własną Lewicę, całkowicie od niego zależną, zamiast takiej, która może mu sprawiać kłopoty i nieprzyjemne niespodzianki. W ten sposób mógłby liczyć na praktyczne i ostateczne wyeliminowanie samodzielnej Lewicy z polskiej polityki. Zrozumiałe, że tego samego chcą Polskie Stronnictwo Ludowe i Polska 2050. A zapewne także ogromna większość Polaków, skoro Nowa Lewica dołuje w sondażach, a w wyborach wciąż traci głosy (mniej więcej po 500 tys. na wybory).



W Gdańsku mogliśmy zdobyć więcej

Drużyna Płażyńskiego zrobiła prawie 40 proc. całego wyniku listy Prawa i Sprawiedliwości w wyborach do Rady Miasta Gdańsk. Obawiam się, że bez ich ciężkiej walki wynik PiS byłby dużo gorszy, bo to głównie ich było widać na ulicach

Michał Karnowski rozmawia w Gdańsku

z *Kacprem Płażyńskim*, posłem Prawa i Sprawiedliwości

Co się dzieje w gdańskim Prawie i Sprawiedliwości? Niektóre media i konta w mediach społecznościowych mówią o jakimś wielkim konflikcie.

Kacper Płażyński: To burza w szklance wody, bo nic specjalnego się nie dzieje. Rozmawiamy o tym, jak była prowadzona kampania wyborcza, czy dostatecznie efektywnie. W mojej

ocenie nie. Listy wyborcze też nie były ułożone najlepiej. Próbowano wycinać ludzi mających duże doświadczenie, osiągających dobre wyniki wyborcze, pokonujących również kandydatów Koalicji Obywatelskiej.

Kto próbował?

Nasz kandydat na prezydenta Tomasz Rakowski. Jest to o tyle bolesne, że jed-

nocześnie sam nie pokazał w tej kampanii specjalnej jakości. Z zazdrością patrzyliśmy na inne miasta, gdzie kandydaci mieli pomysł, plan i co najważniejsze energię, gdzie zdzierali buty, by zawalczyć o głosy wyborców.

Mówią, że w Gdańsku jest szczególnie trudno, klimat dla prawicy wyjątkowo niesprzyjający. Tomasz Rakowski przedstawił program wyborczy, prezentował go publicznie. Co mógł zrobić więcej?

Mógł pracować, mieć więcej aktywności niż te 14 wydarzeń w 44 kampanijne dni. W Szczecinie czy w Elblągu też nie jest łatwo, a jednak dało się wywalczyć dużo lepszy rezultat, pokazać jakość, która będzie procentowała w przyszłości. W Gdańsku mamy najniższy wynik Prawa i Sprawiedliwości w historii wyborów prezydenckich, tylko nieco powyżej 20 proc., co chyba nie jest powodem do dumy. Była szansa na dużo lepszy, bo w naszym kraju wyraźnie zmienia się klimat społeczny i polityczny. Ci, którzy naprawdę liczyli na Polskę uśmiechniętą, już wiedzą, że dostali szczerzącą się w wykrzywionym, złośliwym, przemocowym grymasie.

W Gdańsku była „drużyna Płażyńskiego” – zespół popieranym przez pana kandydatów, z którymi się pan fotografował. Pada zarzut rozbijania jedności, dzielenia struktury. Pańska odpowiedź?

Drużyna Płażyńskiego zrobiła prawie 40 proc. całego wyniku listy Prawa i Sprawiedliwości w wyborach do Rady Miasta Gdańsk. Obawiam się, że bez ich ciężkiej walki wynik PiS byłby dużo gorszy, bo to głównie ich było widać na ulicach. Pracowali w ten sposób na całą listę, nigdzie nie namawiali do niegłosowania na innych kandydatów, nikomu nie przeszkadzali. W czym tu nadużycie? W wielu miejscach w Polsce politycy PiS promują poszczególne kandydatów, fotografują się z nimi. Robili to też prezes Jarosław Kaczyński, premier Beata Szydło, premier Mateusz Morawiecki. Na tym polega wewnętrzna, pozytywna

rywalizacja w ramach jednej partii politycznej.

Tylko pozytywna?

Tylko. Nie kontestowałem kandydatury Tomasza Rakowskiego, chociaż nie jest już dzisiaj tajemnicą, że to nie był mój pomysł, że widziałbym w tej roli innych lokalnych polityków. Nie atakowałem go, to on atakował mnie i moich współpracowników z drużyny Płażyńskiego.

Dlaczego nie zdecydował się pan na start? Po dobrym wyniku w wyborach parlamentarnych byłoby to naturalne, logiczne.

Nie zdecydowałem się na to z różnych powodów. Przypomnę, że ubiegałem się o stanowisko prezydenta Gdańska

Z niektórymi politykami obecnego obozu rządzącego mam okazję wypić co jakiś czas kawę i wiem, że rozumieją zagrożenia, które niesie dla Polski Tusk

w 2018 r., otrzymując ponad 35 proc. głosów. Teraz, świeżo po wyborach parlamentarnych, uznałem, że nie będę w stanie przygotować tak dobrej propozycji dla mieszkańców jak wtedy. Poza tym skoro wtedy nie wygrałem, może lepiej, by ktoś inny teraz dostał szansę. Ale nie zamykam tych drzwi, kto wie, co będzie za pięć lat. Na pewno już dziś trzeba przygotowywać ekipę, która rzuci wyzwanie tej republice deweloperów, którą mamy w Gdańsku. Warunek jest jeden – wszyscy muszą ciężko pracować, a nie pozorować pracę. Co ważne, przetrwaliśmy czas po utracie władzy, oszustwa wyborcze Tuska i innych wychodzą na jaw, mamy wielką szansę zdobywać wpływ na sprawy miast, regionów i całego państwa w kolejnych wyborach.

Spójrzmy jeszcze za siebie. Dlaczego według pana Prawo i Sprawiedliwość straciło władzę w 2023 r.?

Mam tu inną diagnozę niż część liderów Prawa i Sprawiedliwości, którzy wskazują na wniosek do Trybunału Konstytucyjnego dotyczący aborcji. Ta sprawa rzeczywiście w pewnym momencie wpłynęła na sondaże i sytuację społeczną. Widziałem to na własne oczy, bo mieszkam w Gdańsku, gdzie protesty też były bardzo gwałtowne. Po roku to się jednak niemal całkowicie wypaliło. Nikt tym nie żył, nie rozmawiał o tym, nikt już potem nie pytał mnie o to na ulicy, to zostało zapomniane. I na pewno nie to było przyczyną tego, że zabrakło nam tych 3–4 proc. do dalszego rządzenia.

Zatem co?

Żle przygotowany przekaz kampanijny: Tusk odmieniany przez wszystkie przypadki, także w mediach publicznych. To był kolosalny błąd, bo Polska się zmieniła przez te lata, jako społeczeństwo jesteśmy w zupełnie innym miejscu, mamy wyższy poziom życia i jeszcze wyższe aspiracje. Te brakujące procenty były właśnie w ambitnej, skierowanej do przodu propozycji na kolejną kadencję, której niestety nie przedstawiliśmy. Błędem było też skupianie się na polityce godnościowej bez wskazania, że jest ona środkiem do stania się liderem regionu i kontynentu, dalszych sukcesów gospodarczych, społecznych i politycznych. W relacjach z Unią Europejską też za dużo było mówienia „nie” dla jakichkolwiek zmian bez podkreślania, że mamy własny, pozytywny pomysł na Unię. I jeszcze sprawy może małe, ale bardzo ważne dla wyborców, jak przejrzystość działań, kadrowych nominacji, wynagrodzeń. Za późno reagowano na niektóre oczywiste przykłady nepotyzmu i braku kompetencji.

Każda władza na to choruje, na dodatek większość cały czas była kručą, pole do przykładowego ukarania tego czy tamtego bardzo wąskie.

Zgoda, w ogólnym rozrachunku po ośmiu latach władzy tych patologii

było mniej niż jest ich po pięciu miesiącach rządów obecnej koalicji, ale jednak oczekiwano od nas więcej, wyższego standardu. Ludzie rozumieją więcej, niż politykom się często wydaje. Sytuacje, w których wujkowie i ciocie trafiali do miejsc wymagających dużych kompetencji, bardzo razily wyborców. Musimy wyciągnąć z tego wnioski.

Wróć jeszcze do kampanii. Pamiętamy Ul Programowy, który był apogeum kampanii pozytywnej i wtedy właśnie PiS zaczęło spadać poparcie, a Konfederacja wyskoczyła na mocne kilkanaście procent. Ludzie w terenie często mi mówią, że negatywna kampania Tuska była tak silna, tak totalna, że jakby zaczęła część wyborców. Stąd konieczność zwrotu w kierunku kampanii porównawczej, przypomnienia, kim był Tusk, jak rządził. Nie pozwoliło to utrzymać władzy, ale oddaliło możliwą katastrofę w postaci utraty pierwszego miejsca. Pana to nie przekonuje?

Czy to szcucie na Prawo i Sprawiedliwość było czymś nowym?

Nowa była ogromna skala takich przekazów. Największe media, przekazy w mediach społecznościowych, często finansowane z boku.

W moim odczuciu ten ton opowieści o Prawie i Sprawiedliwości jest niestety na stałe wpisany w debatę publiczną w Polsce i nikt nie mógł być zaskoczony, że w kampanii wyborczej to przybrało na sile. Uważam jednak, że o zmianie władzy nie zdecydowali ludzie podatni na takie przekazy, ale ci, którzy szukali najlepszej oferty dla siebie i Polski. Podkreślam, że nie uważam, iż nie należało mówić o zagrożeniach, jakie niesie powrót Tuska do władzy, może jednak w nieco innym tonie, może nie tylko o tym. PiS zawsze umiało przekonująco pokazywać swoje pomysły, zawsze było partią nadziei. W 2023 r. tego trochę zabrakło, takie mam wrażenie. Może też dlatego, że tak się spieszyliśmy z realizacją obietnic wybor-



czych, że przyjmowaliśmy realizujące je ustawy jeszcze w trakcie kampanii.

Jak rozumiem, chodziło o podkreślenie wiarygodności.

Zapewne, ale może lepiej było na tym zbudować pewną nadzieję. A tak część

Warto stać w prawdzie. Jesteśmy za byciem w Unii, ale nie będziemy udawać, że ta struktura nie ma wad, nie ma w niej niebezpiecznych tendencji. Jak pokazują sondaże, coraz więcej Polaków myśli podobnie

wyborców uznała, że to, co mieliśmy dać, już daliśmy, a nowi może jeszcze dołożą. W kampanii zabrakło szerszego spojrzenia, choć ono jest w programie. Gdy czytałem programy innych partii, to podobnie poważne podejście do polskich spraw, równie merytoryczne wgryzienie się w rzeczywistość, znalazłem tylko u partii Razem.

W tym momencie nasuwa się pytanie o możliwych koalicjantów Prawa i Sprawiedliwości.

W obecnych uwarunkowaniach raczej nikt. Czasami także nasi zwolennicy pytają nas, czemu tak wojowaliśmy z PSL. Zawsze jestem tym zdziwiony, bo nie pamiętam żadnej wojny z tą partią. Robiliśmy na wsi to, co było naszym obowiązkiem, dbaliśmy o polskich rolników w kraju, przepychaliśmy w Unii, co można było, a co należało hamowaliśmy, blokowaliśmy. Nie było to łatwe, bo tam pewne kliki biznesowe, w tym niemieckie, dogadują się pod stołami, żeby kosztem polskiego i europejskiego rolnictwa ustawić się biznesowo nie tylko na Ukrainie, lecz także na innych kontynentach. To PSL w 2015 r. włączył się w tę wielką antypisowską krucjatę. Tam nigdy nie było chęci poważnej rozmowy, a od czasu, kiedy stery przejął Kosiniak-Kamysz, tylko niechęć. Powszechnie wiadomo, w jak bliskiej komitywie jest on z Donaldem Tuskiem.

Gdyby PSL chciało, pan byłby za?

Zawsze byłbym za rozwiązaniem, które zatrzymałoby to, co już się zaczyna dziać w Polsce. Mamy masowe zwolnienia w wielu fabrykach, rezygnację z koniecznych inwestycji w infrastrukturę, dziwne ruchy

dotyczące niezbędnych zbrojeń. Jak wiedzą czytelnicy „Sieci”, Tusk właśnie ogłosił dołączenie do projektu niemieckiej tarczy antyrakietowej. Po co, skoro z powodzeniem budujemy własne systemy Wisła, Narew, Pilica, które za kilka lat dadzą nam najnowocześniejszą obronę w Europie, a niemiecka istnieje tylko na papierze?

Ostatnio w sprawie CPK i atomu objawiła się ciekawa koalicja polityczna – PiS i część partii Razem. Co się za tym kryje?

Nie ma tu żadnej tajemnicy, bo Prawo i Sprawiedliwość jest w sferze państwowej, gospodarczej partią nawiązującą do niepodległościowej myśli Józefa Piłsudskiego, która rosła m.in. na podglebiu socjalizmu. Nasze ugrupowanie opowiada się za silnym, stymulującym rozwój państwem. Ma bardzo dużą wrażliwość społeczną, dąży do wyrównywania szans, działa na rzecz zrównoważonego rozwoju całego kraju. Polska solidarna, a nie partia dzikiego kapitalizmu i to nas trochę łączy z Razem, podobnie jak pewien szacunek do państwa polskiego. Ale w innych sferach różnice są oczywiste, dotyczą fundamentalnych wartości, stosunku do eksperymentów społecznych przychodzących ze świata. Mimo wszystko doceniam, że „razemki” poparły nasze dobre projekty, patrząc na ich zawartość merytoryczną, a nie stempel autora. Oni po prostu nie są skorumpowani jak część klasy politycznej.

Co ma pan na myśli?

Nie to, że ci ludzie muszą koniecznie brać koperty od ambasadorów, ale to, że dla przypodobania się, bycia zapraszonymi i chwalonymi, dla karier są gotowi poświęcić interesy ojczyzny. Dziś nic z tego nie wynika, ale po wyborach prezydenckich może być różnie. Gdyby udało się utrzymać pałac prezydencki w rękach obozu niepodległościowego, mogą nas czekać ciekawe roszady na scenie politycznej. Wtedy też w pełni będzie widoczne

ubóstwo propozycji dla Polski, którą niesie obecna władza. Może się okazać, że wielu ludziom w obecnej koalicji już to nie smakuje. Może kilku osobom z Razem? Może z PSL? Z niektórymi z nich mam okazję wypić co jakiś czas kawę i wiem, że rozumieją zagrożenia, jakie niesie dla Polski Tusk.

Musimy się otwierać na nowych ludzi, umieć przyciągać talenty, unikać syndromu obłądzonej twierdzy. Ale powinniśmy jednoznacznie stać przy naszych wartościach, bronić rodziny, życia, promować miłość do ojczyzny

Na razie PSL idzie z Polską 2050 w ramach Trzeciej Drogi. Ta formacja przetrwa?

Proces niszczenia trwa i chyba już zaczynają to rozumieć. Tam się ludzono, że będą w koalicji jak w wielkiej „demokratycznej” rodzinie, a to jest brutalna polityka.

Jaka będzie waga wyborów prezydenckich?

Trudna do przeceniania. Po pierwsze, zdecydują o tym, czy będziemy w stanie zatrzymać szaleństwo unijnej pogoni za skompromitowanymi pomysłami, takimi jak Zielony Ład, dalsze poszerzanie władzy Brukseli, masowa migracja. Z tym ostatnim tematem obecny rząd ruszy z kopyta zapewne po tych najważniejszych wyborach. Po drugie, rozstrzygnie się, czy przetrwa nasza konstytucja jako realnie funkcjonujący akt prawny. Dziś jest to bardzo zagrożone i nawet prawnicy bliscy im politycznie nie bronią tego bezprawia, które realizuje Adam Bodnar. Po trzecie, gdyby mieli swojego prezydenta, to by wprowadzili lobbingsowe, mające złupić Polaków ustawy, takie jak słynna ustawa wiatrakowa.

Ona jest im niezbędna, żeby spłacić dług wobec naszego zachodniego sąsiada, więc wróci po wyborach prezydenckich. Wróci wtedy wszystko, co najgorsze – o ile wygrają.

Po drodze mamy wybory europejskie. Jaki powinien tu być przekaz Prawa i Sprawiedliwości?

Warto stać w prawdzie. Jesteśmy za byciem w Unii, ale nie będziemy udawać, że ta struktura nie ma wad, nie ma w niej niebezpiecznych tendencji. Jak pokazują sondaże, coraz więcej Polaków myśli podobnie. To zapracentuje bardziej niż zamykanie oczu na problemy i dyktat najsilniejszych państw przykrywane euroentuzjastycznymi hasłami. Jest wiele tematów, w których to PiS reprezentuje większość Polaków, obrona własnej waluty stanowi jeden z nich.

Myśli pan o starcie w tych wyborach?

Na razie nie ma takiego tematu.

A w prezydenckich?

Tu ze względu na wiek sprawa byłaby zbyt ryzykowna, więc na pewno nie.

A może Tusk będzie jednak dobrze rządził?

Życzę Polsce jak najlepiej, ale nie ma żadnych przesłanek, by tak sądzić. Będzie wdrażał kosztowne polityki unijne i spłacał interesami Polski swoje zobowiązania wobec Niemiec. Będzie hamował polski rozwój, tłumił polską ambicję. W jego projekcie politycznym nasz kraj niestety nie jest najważniejszy. Dlatego musimy wziąć się ostro do pracy.

Konieczna jest jakaś reforma PiS? Kadrowa? Ideowa?

Musimy się otwierać na nowych ludzi, umieć przyciągać talenty, unikać syndromu obłądzonej twierdzy. Ale powinniśmy jednoznacznie stać przy naszych wartościach, bronić rodziny, życia, promować miłość do ojczyzny. To nie jest żaden radykalizm, lecz zdrowy rozsądek i zwykła przyzwoitość.

Osiem gwiazdek traci moc



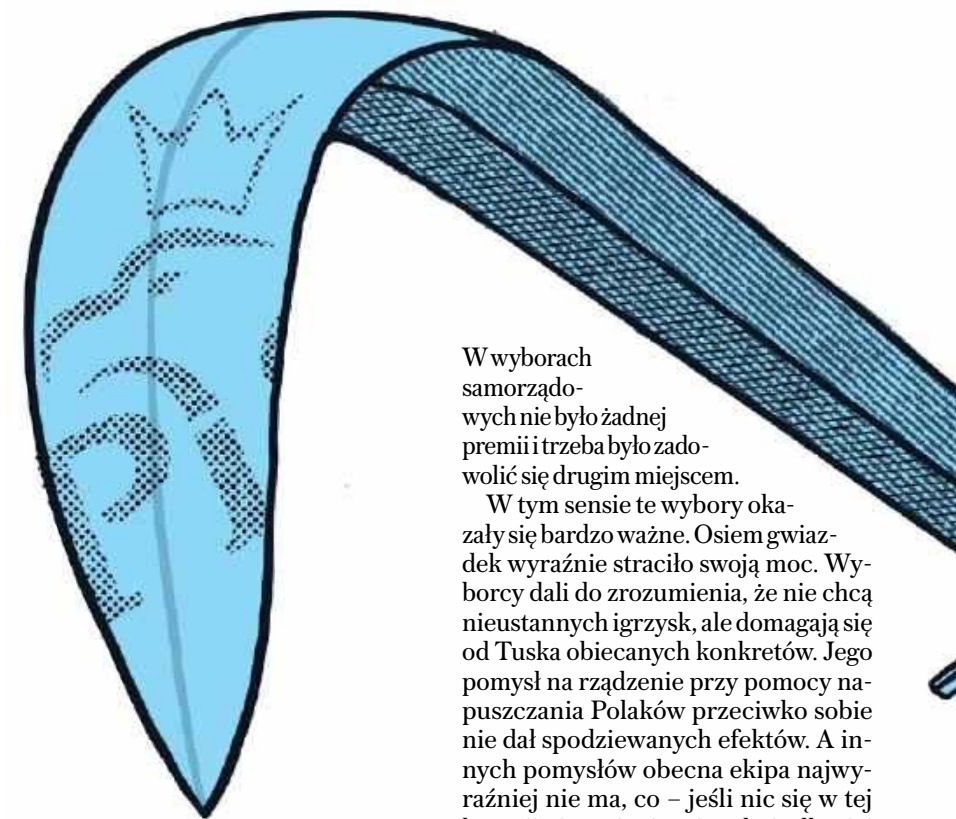
KONRAD KOŁODZIEJSKI

Jedynym punktem programu partii Donalda Tuska było osiem gwiazdek. Ostatnie wybory samorządowe pokazały jednak, że to wulgarne hasło nie zapewnia już nowych głosów. A skoro antypisowski magnes przestaje działać, to w koalicji rządowej zaczyna trzeszczeć

Wybory samorządowe oznaczały dla ekipy Donalda Tuska koniec przedłużonego miesiąca miodowego. Były bowiem pierwszym testem popularności nowej władzy, i to testem niespecjalnie udanym. Gdyby przyjąć skalę ocen szkolnych, to w najlepszym wypadku byłoby to zaliczenie na marną trójkę.

Mówi się czasami, że PiS straciło władzę, bo nie zauważyło zmian zachodzących w głowach Polaków. Może to prawda, ale dokładnie ten sam zarzut można dziś postawić partii Tuska. Opętany antypisowską obsesją szef obecnego rządu pomylił wspierającą go sektę fanatyków z ogółem społeczeństwa. Uznał, że większość Polaków podziela jego fobie i nie myśli o niczym innym, jak tylko o rozprawie z PiS. Popęlnił jednak błąd, który zemścił się na nim podczas wyborów samorządowych.

Owszem, wielu spośród wyborców, którzy jesienią zagłosowali przeciw PiS, z satysfakcją lub obojętnością przyjęło zaserwowany przez ekipę Tuska „terror praworządności”, ale oczekiwali zarazem, że będzie to jedynie krótki spektakl, po którym przyjdzie czas na realne rządy. Tymczasem spektakl trwał w nieskończoność, a kolejne problemy narastały i leżały odłogiem. Rząd Tuska i cała towarzysząca mu machina medialna były skoncentrowane



niemal wyłącznie na rozprawie z PiS, ignorując wszystko inne.

Nic więc dziwnego, że koalicja Tuska – zaledwie po czterech miesiącach sprawowania władzy – otrzymała od wyborców dość wysoki rachunek do zapłacenia.

W wyborach samorządowych nie było żadnej premii i trzeba było zadowolić się drugim miejscem.

W tym sensie te wybory okazały się bardzo ważne. Osiem gwiazdek wyraźnie straciło swoją moc. Wyborcy dali do zrozumienia, że nie chcą nieustannych igrzysk, ale domagają się od Tuska obiecanych konkretów. Jego pomysł na rządzenie przy pomocy nاپuszczania Polaków przeciwko sobie nie dał spodziewanych efektów. A innych pomysłów obecna ekipa najwyraźniej nie ma, co – jeśli nic się w tej kwestii nie zmieni – nie rokuje dla niej zbyt dobrze na przyszłość.

IGRZYSKA BEZ WIDOWNI

Postpolityka to sprawowanie władzy wyłącznie w celu utrzymania poparcia

wyborczego. Donald Tusk jest w tym całkiem niezły, co pokazała jego pierwsza kadencja na urządzie premiera, ale już w prawdziwej polityce nie daje sobie rady. Zwłaszcza że czasy się zmieniły i dziś nie wystarczy kilka wygłupów oraz pozornych działań, aby spokojnie trwać u władzy.

Rozprawa z TVP i aresztowanie posłów Kamińskiego i Wąsika też niczego Tusкови nie dały. Co najwyżej przypomniał, że jest politykiem brutalnym i mściwym. Zniszczenie TVP ani na jotę nie zmieniło poglądów Polaków, co dobrze pokazały wyniki wyborów samorządowych. Tusk uległ przekonaniu obowiązującemu w jego własnej bańce, że wielu wyborców PiS to ludzie ogłupieni propagandą i wystarczy ich od niej odłączyć, a natychmiast „otrzeźwieją”. Nie dopuszczał do siebie myśli, że ludzie potrafią myśleć samodzielnie i sami wybierają sobie media, które im odpowiadają. Nic więc dziwnego, że nowa rządowa telewizja, która powstała w miejsce TVP, okazała się kompromitującą katastrofą – nie tylko pod względem warsztatowym, lecz także oglądalności. Obecna ekipa nie ma więc żadnych wymiernych zysków politycznych z rozbicia TVP.

Podobnie jest z Kamińskim i Wąsikiem. Poza gromadą nawiedzonych sekciarzy mało kto uwierzył, że są to groźni przestępcy, których trzeba zamknąć w więzieniu.

Powszechne myślenie było

inne: nowy reżim rozprawia się z poprzednikami i niespecjalnie nas to obchodzi. Ta obojętność narodu może być przykłą dla PiS, ale jednocześnie również Platforma może mieć powody do zmartwienia. Rzekome rozliczenia z Prawem i Sprawiedliwością nie budzą bowiem spodziewanego entuzjazmu i obecna ekipa nie zajędzie na nich daleko. Ludzie czekają bowiem na rząd, który zajmie się ich sprawami, a na razie takiego rządu nie widzą.

Zamiast tego koalicja 13 grudnia trwa przy niekończącej się wojnie z PiS, jakby nie zauważając, że partia Jarosława Kaczyńskiego straciła władzę. Kolejne komisje śledcze, które miały pogrążyć Prawo i Sprawiedliwość w oczach Polaków za sprawą ignorancji i niekompetencji koalicyjnych posłów wystawiły obecną ekipę rządową na publiczne pośmiewisko. Nic więc dziwnego, że sprawozdania z tych komisji dyskretnie pozniwały z czołówek portali i pierwszych stron gazet. Prawie nikt tego już nie śledzi i nie pasjonuje się tym.

Zupełną katastrofą wizerunkową okazała się walka obecnego reżimu z CPK. Ludziom nie dało się wmówić, że to przejaw pisowskiej megalomanii. Rząd Tuska spotkał się tutaj z powszechnym sprzeciwem, którego nikt w tej ekipie chyba się nie spodziewał. Hasło „pisowski,

a więc zły” nie zadziałało. Platforma nie pojęła, że w ciągu ostatnich ośmiu lat aspiracje wielu Polaków bardzo wzrosły i często wykraczają one poza podziały polityczne. Nie można już wrócić do czasów sprzed 2015 r.

Mimo to ekipa Tuska brnie – zarówno w sprawie CPK, jak i w innych – bo będąc w opozycji, zaciągnęła rozmaite zobowiązania. Jednak za jakiś czas na pewno stanie przed wyborem: czy iść obecną drogą i ryzykować utratę poparcia, czy też nauczyć się wreszcie realnego rządzenia krajem. Przy czym na to ostatnie potrzeba czasu, kompetencji i pełnej niezależności od zewnętrznych interesów, a tych atutów Platforma nie posiada. Pozostaje więc ciągle to samo: wzniecanie konfliktów, polaryzacji w społeczeństwie i dalsza brutalizacja życia publicznego. Tusk i jego ekipa nie mają żadnego innego pomysłu, co ostatecznie skończy się dla nich porażką.

PRZYKRE PRZEBUDZENIE

Tusk – brutalny, twardy, mściwy, jeśli chodzi o przeciwników – okazuje się niedojdą w prawdziwej polityce. Owszem, oszukuje wyborców – tak jak w sprawie 100 konkretów – nie tylko dlatego, że jest cyniczny, lecz także z tego powodu, że nie potrafi się wywiązać ze złożonych obietnic. Dlatego, że jest wprawdzie świetnym intrygantem i manipulatorem, ale przeraźliwie słabym politykiem.

Wystarczyły zaledwie cztery miesiące jego rządów, aby Polska – uważana dotąd za europejskiego prymusa – zaczęła się zamieniać w bezwolnego, kalekiego dziada. Zamrożeniu ambitnych planów rozwojowych, które miały pomnażać nasz PKB, takich jak CPK, energetyka jądrowa, nowe porty morskie i linie kolejowe, towarzyszy pogorszenie standardu życia Polaków wynikające z przywrócenia wyższych stawek VAT na żywność oraz wzrastających cen energii. Czekają nas również gigantyczne koszty związane z wprowadzaniem tzw. Zielonego Ładu, w szczególności przymusowa termomodernizacja budynków. Przebudzenie w nowej rzeczywistości będzie dla wielu bardzo przykre.



Wskutek braku asertywności rządu na arenie unijnej Polska może stracić całą gałąź gospodarki, jaką jest rolnictwo, dotknięte nieuczciwą konkurencją ze strony Ukrainy – problem, którego reżim Tuska nie potrafi lub boi się rozwiązać. Po raz pierwszy od wielu lat wraca widmo masowego bezrobocia. W ciągu zaledwie jednego kwartału zapowiedziano zwolnienia grupowe w ponad 90 przedsiębiorstwach, które dotkną ok. 8 tys. pracowników. Z Polski zrywają się zagraniczne firmy, takie jak Levi Strauss czy Michelin. Z kolei Poczta Polska planuje zwolnienie kilku tysięcy osób – zdaniem związków zawodowych może być mowa o 10 tys. ludzi wyrzuconych na bruk. Nawet informatycy, uważani dotąd za najbardziej stabilny zawód, nie mogą być już pewni swojej przyszłości, wiele firm szykuje bowiem zwolnienia w tej grupie zawodowej.

Można oczywiście powiedzieć, że Polacy sami sobie wybrali taką władzę, więc nie ma sensu ich żałować. Jednak z pewnością szok, który niebawem przeżyje wielu wyborców obecnej koalicji, może być dla nich ozdrowieńczy. Trudno się bowiem spodziewać, że utracą pracę lub mniejsze dochody zrekompensują im antypisowskie hasła obecnej władzy. Im szybciej więc zrozumieją, że ekipa Tuska nie ma pojęcia o rządzeniu, tym dla nich lepiej. Pierwsze oznaki olśnienia są widoczne zwłaszcza u wyborców Trzeciej Drogi, która w ostatnich wyborach samorządowych otrzymała porównywalną liczbę głosów, co przed sześcioma laty samodzielnie startujące PSL. Jak widać, rozczarowanie przełożyło się na słabe wyniki.

TRZESZCZĄCY ANTYPIS

Antypisizm był istotą działania Platformy. Służył nie tylko jako instrument mobilizujący wyborców do walki z PiS, lecz także jako główne spoiwo koalicji 13 grudnia. Teraz, gdy to spoiwo przestaje działać, w koalicji zaczyna trzeszczeć.

Szymon Hołownia coraz chętniej dystansuje się od partii Tuska, czego przykładem była jego wstrzemięźliwość w sprawie debaty o aborcji –

z jednej strony to mrugnięcie okiem do bardziej konserwatywnego wyborcy, a z drugiej pokazanie swojej niezależności wobec Tuska, który dzięki aborcji chciałby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: odwrócić uwagę od swoich niekompetentnych rządów i zarazem zwasalizować lewicę. Ostatecznie Hołownia, który początkowo sprzeciwiał się debacie o aborcji w trakcie kampanii wyborczej, uległ koalicjantom, ale wbił im dwie szpile – po pierwsze, projekt Trzeciej Drogi zakłada powrót do tzw. kompromisu aborcyjnego, a po drugie, Hołownia chciałby referendum aborcyjnego, czemu sprzeciwia się zarówno Tusk, jak i Lewica, zapewne w obawie o jego wynik.

Opętany antypisowską obsesją szef rządu pomylił wspierając go sektę fanatyków z ogółem społeczeństwa. Uznał, że większość Polaków podziela jego fobie i myśli tylko o rozprawie z PiS

Hołownia przymierza się już do wyborów prezydenckich w przyszłym roku i zakłada, że będzie głównym rywalem kandydata PO. Uważa zapewne, że do wygranej w takim starciu konieczne będą głosy konserwatywnego wyborcy, być może nawet pisowskiego, zatem należy się spodziewać bardziej umiarkowanego kursu z jego strony.

Z kolei Tusk przeciwnie. Będzie dalej polaryzował i szukał kolejnych pól konfliktu, aby mobilizować wyborców i przejmować elektorat swoich koalicjantów. Elementy tej strategii można było dostrzec podczas wyborów samorządowych, zwłaszcza w drugiej turze, tam, gdzie ścierali się ze sobą kandydaci z tego samego obozu. Jeśli ktoś nie był oficjalnie namaszczonej przez PO, jak Łukasz Gibała w Krakowie, natychmiast przylepiano mu łatkę „pisowca”,

choć nie miał z tą partią nic wspólnego. Nowa strategia polega na stygmatyzowaniu każdego, kto występuje przeciwko Platformie i jej wodzowi.

Dotyczy to nie tylko polityków i nie tylko Platformy. Obrywa także – i to od swoich – ta część Lewicy, która nie chce złożyć Tuskowi hołdu lennego. Przykładowo partia Razem, która nie popiera wszystkich liberalnych pomysłów obecnego rządu, ma być z tego powodu „sojuszniczką PiS”. Lewicowy komentator i działacz miejski Jan Śpiewak regularnie słyszy o sobie, że jest „pislewakiem”. Nazwał go tak m.in. Maciej Gdula – wiceminister nauki i działacz tzw. Nowej Lewicy, formacji liberalnej, która powstała z połączenia SLD i Wiosny.

„Pisowskcy” to także wszyscy publicyści i dziennikarze, którzy ośmielają się krytykować politykę obecnego rządu. „Pisowski” jest internetowy Kanał Zero, bo wspierał budowę CPK i nie dopasował się do mainstreamowych mediów. „Pisowskcy” okazali się nawet dziennikarze antypisowskiej Wirtualnej Polski, bo ośmielili się napisać, że złożone przez prokurator Ewę Wrzosek wnioski do sądów w sprawie mediów publicznych powstały poza siedzibą prokuratury. Zarzut pisizmu jest poważnym oskarżeniem, które ma zmusić „winowajcę” do podporządkowania i samokrytyki pod groźbą zaszczucia i usunięcia na margines.

Ten zarzut ciągle działa i przywołuje niektórych do porządku, ale jego siła maleje z każdym miesiącem rządów Tuska. Dzieje się tak dlatego, że stoi on dziś na czele rządu i nie może – tak jak w czasach opozycji – uciec od odpowiedzialności za sytuację w kraju. Próbuje różnych metod, odwraca uwagę, „rozlicza” PiS, szykuje się do rekonstrukcji gabinetu, ale to ograne chwyt i – jak pokazały wyniki wyborów samorządowych – coraz mniej skuteczne.

Rząd Tuska nie traktuje obywateli poważnie, nie słucha ich głosu. Nic więc dziwnego, że wielu z nich odpowiada mu w ten sam sposób. Antypisizm stracił swój „powab”, bo stał się elementem władzy. Ludzie chcą teraz konkretów, a tych Tusk nie ma. To zmiana, na którą nie był przygotowany.

Anatomia nienawiści



PIOTR GURSZTYN

Nienawiść – to słowo klucz, które tłumaczy politykę Donalda Tuska. Niby żadne odkrycie, ale stale trzeba to tłumaczyć, bo nadmierna ludzka skłonność do racjonalizacji prowadzi do odrzucenia tego strasznego, ale jednak najprostszego i najbardziej precyzyjnego wytłumaczenia. I właśnie nienawiść zdeteminuje kolejne działania obecnego premiera

W przypadku obecnego szefa rządu nienawiść odnosi się zarówno do prowadzonej przez niego polityki, jak i cech osobowych. To drugie jest tematem grząskim i nieprecyzyjnym, zatem ograniczmy go do niezbędnego minimum.

TEN TYP TAK MA

O brutalności Tuska opowiadali jego najbliżsi współpracownicy, ci najbardziej gadatliwi, np. Janusz Palikot. O mściwości mówili w nagrywanej rozmowie ludzie, którzy go popierają, czyli Ryszard Kalisz i Aleksander Kwaśniewski. Warto tu przywołać mało znany fakt, że mimo wielu zabiegów „odzyskany” przez obóz liberalny dziennik „Rzeczpospolita” nie dostąpił łaski użytkowania wywiadu z Donaldem Tuskiem. Mija już 11 lat, gdy gazeta znajduje się we „właściwych” rękach, lecz nadal jest karana za to, że kiedyś była pismem krytycznym wobec dzisiejszego premiera. Zresztą przejrzenie konta Tuska na portalu X (d. Twitter) wskazuje, że mamy do czynienia z człowiekiem owładniętym agresywną monomanią. Przeważająca większość wpisów to zjadliwe, często nerwowe ataki na polityczną konkurencję. Pozytywnych komunikatów, takich jakie zazwyczaj wypisują szefowie rządów w krajach demokratycznych, jest zdecydowanie mniej.

Wynik wyborów samorządowych, w których nie spełniły się oczekiwania dobiecia PiS, został oceniony jako „żółta kartka” dla Donalda Tuska, także przez komentatorów niechętnych prawicy. Według ich oceny, Tusk przegrzał rozliczanie Prawa i Sprawiedliwości, zaniedbał ofertę pozytywną, zatem należałoby spodziewać się korekty kursu na bardziej łagodny. Jednak nie będzie niczego takiego. Wręcz przeciwnie, można śmiało obstawiać, że wkrótce zobaczymy coś, przy czym włamanie do domu Zbigniewa Ziobry zostanie uznane za niewinną igraszkę. Tusk będzie jechał ostro, bo inaczej nie potrafi. Z jednej strony ze wspomnianych już powodów osobowościowych (co widać po jego stałym i długotrwałym schlebieniu najbardziej wulgarnej tłuszczy spod znaku tzw. Silnych Razem), z drugiej z powodów systemowych – od lat prowadził politykę opartą na dzieleniu grup społecznych, rozbudzaniu masowej nienawiści i głównie dzięki temu wygrywał wybory oraz utrzymywał władzę.

ROZKOSZ Z POGARDZANIA

Niechęć Tuska do wielkich projektów jest powszechnie znana. Sam mówił, że jeśli ktoś ma wizję, to powinien udać się z nimi do lekarza. Wybrał inny sposób uprawiania polityki i można postawić hipotezę, że ktoś (może słynna pani psycholog, która była strategiem jego kampanii prezydenckiej w 2005 r.) podpowiedział mu, aby grać zawiściami dzielącymi nasze społeczeń-

stwo. Wtedy właśnie Tusk złamał tabu polskiej polityki. Jako pierwszy zaatakował elektorat przeciwnej strony, wyśmiewając moherowe berety. Nikt przed nim tego nie robił. W najbardziej brutalny sposób atakowano konkurentów politycznych, ale nie ich wyborców. Agresja wobec dużych grup, według szerokich kwantyfikatorów, odbywała się wewnątrz społeczeństwa, lecz nie polityki. Robili to kabareciarze, wyśmiewając mieszkańców PGR i w ogóle ludzi z prowincji. Przodowała też w tym „Gazeta Wyborcza”, pisząc o ciemnogrodzie czy też drwiąc z robotników zamykanych zakładów pracy, że są przeżytkiem słusznie minionej epoki. Ale nie robili tego politycy. Do 2005 r. żył też jeszcze jedyny powszechnie akceptowany autorytet, czyli Jan Paweł II, który stale wzywał do solidaryzmu społecznego.

Jako pierwszy zauważył to ponad 10 lat temu Ludwik Dorn, mówiąc, że „Tusk znalazł klucz do sadystycznych potrzeb znacznej części Polaków. To rozkosz móc pogardzać”. Polityk był wtedy pokłócony z PiS, więc jego diagnozę, skądinąd socjologa z wykształcenia, trudno uznać za do-
rażny atak polityczny. Obserwacja Dorna nadal jest aktualna.

Socjologia zna pojęcie „przemocy strukturalnej”, czyli takiej, w której uprzywilejowana i silniejsza grupa społeczna czerpie z tego korzyści kosztem tych, którzy są niżej i na dodatek ci z góry blokują awans tych z dołu. Większa część polskiego społeczeństwa bez sentymentu wspomina transformację lat 90., a część uważa ją nawet za traumatyczne przeżycie. Widzimy społeczeństwo jako strukturę, w której nie ma sprawiedliwości, bo jedni stale wykorzystują drugich. Intuicyjnie zgadzamy się z tym, że funkcjonuje u nas coś takiego jak „przemoc strukturalna”. Ale jako społeczeństwo nadmiernych indywidualistów uważamy,

że nie da się tego systemowo zmienić i jedyne, co nam zostaje, to samemu wleźć na górę, nie oglądając się na innych. Częste, jeśli nie dominujące, jest też przekonanie, że awans społeczny i materialny odbywa się w warunkach gry o sumie zerowej. Czyli jeśli ktoś inny awansuje, to znaczy, że moim kosztem.

Oczywiście nie wszyscy tak myślą. Jest jednak dużo ludzi, którzy uważają, że mają dużo do stracenia. Ich resentymenty Donald Tusk uczynił paliwem swojej maszyny politycznej. Wspomnijmy tylko historię związaną z 500+. Według całkowicie jasnych zasad wszyscy korzystali z tego bonusu. Wprowadzenie tego świadczenia nie wiązało się z podwyżką podatków, zatem nikomu nic nie zabrano. Histeria była jednak straszna. Dlaczego? Dlatego, że ludzie przeczuleni na punkcie zachowania swojego statusu uznali, że inne dzieci dostaną narzędzie, które pozwoli im na awans społeczny. A to przecież musi się odbyć kosztem potomstwa tych, którzy w tamtym momencie uznawali się za klasę lepszą. Prawica ze względów na swą aksjologię musiała prowadzić politykę spójnościową, ale dla ludzi o poglądach liberalnych czymś bardziej akceptowalnym jest darwinizm społeczny. Gra toczyła się o to,

Tusk złamał tabu polskiej polityki. Jako pierwszy zaatakował elektorat strony przeciwnej, wyśmiewając moherowe berety. Nikt przed nim tego nie robił. Atakowano w najbardziej brutalny sposób konkurentów politycznych, ale nie ich wyborców

czyje lęki i pragnienia będą silniejsze. Wraz ze skokowym wzrostem zamożności statusowe lęki klasy średniej stały się bardziej powszechne niż pragnienie awansu uboższych warstw społeczeństwa. Ci, którym się udało – skądinąd dzięki rządowi prawicy – postąpili według stałego, niestety, wzorca: zaczęli wciągać za sobą drabinę.

NIE EMOCJE, ALE CELOWA STRATEGIA

W 2019 r. dzięki badaniom instytucji jak najdalej od prawicy, czyli Centrum Badań nad Uprzedzeniami przy Uniwersytecie Warszawskim, bez żadnej wątpliwości wiemy, że wyborcy Koalicji Obywatelskiej są bez porównania bardziej negatywnie nastawieni do ludzi o poglądach prawicowych, niż dzieje się to w odwrotną stronę. Obóz liberalny wytłumaczył to sobie, że to naturalna konsekwencja tego, iż od 2015 r. rządziła prawica, więc „uciemiężeni” liberalowie tak ode reagowali swoje krzywdy i upokorzenia. Ergo gdyby w opozycji byli prawicowcy, to wtedy oni bardziej by nienawidzili. To wytłumaczenie fałszywe, bo przed latami 2015–2023 były lata 2007–2015, gdy elektorat prawicy zaznał wiele upokorzeń i był stale atakowany. Ale mimo to nie nasiąkł taką nienawiścią jak liberalowie. Łatwo to wytłumaczyć.

Jeden powód jest strukturalny – wielu prawicowców jako osoby wierzące stara się choć minimalnie przestrzegać przykazań o miłości bliźniego. Inni z kolei, kierując się poglądami nacjonalistycznymi (w politologicznym sensie tego znaczenia), uważają oponentów za zbłąkanych, ale jednak członków tej samej wspólnoty narodowej. Dla liberalów tożsamość narodowa ma znaczenie dużo mniejsze, a czasem żadne, więc nie ma tam bezpieczników wyłączających nienawiść.

Drugi powód jest następujący: kilku dosłownie etatowych hejterów Platformy Obywatelskiej zostało zdemaskowanych. Wiemy, kim są i kto im płaci. Jeśli ktoś widział ich wpisy, wie, że atakowali nie tylko jednego zdemonizowanego „Kaczora” czy tylko polityków Prawa i Sprawiedliwości, lecz systematycznie obrażali wyborców tej partii. Byli integralną częścią systemu nienawiści z publicznie i oficjalnie propagowanymi wulgarnymi wyzwiskami i hasłami.

Oczywiście tu zacznie się polemika, że prawica też nie jest święta, bo... gorszy sort, element animalny itd. Jest jasne, że także z prawej strony padały agresywne wypowiedzi. Były to jednak najczęściej emocjonalne i nerwowe reakcje, a nie zaplanowane kampanie. Nie ma przecież prawicowego odpowiednika Silnych Razem, nikt na prawicy nie wpadł na pomysł oklejania prywatnych samochodów osławionymi ośmioma gwiazdkami, żaden prawicowy autorytet nie zachwalał zalet wulgarnych wrzasków typu „wyp...”. Nienawiść fanatycznej części liberalnych wyborców wobec prawicowych współobywateli nie jest przypadkiem. To nie wypadek przy pracy, jak uważa bardzo wielu, także na prawicy, lecz zaplanowany skutek wieloletnich działań socjotechnicznych.

Można śmiało obstawiać, że wkrótce zobaczymy coś, przy czym włamanie do domu Zbigniewa Ziobry zostanie uznane za niewinną igraszkę. Tusk będzie jechał ostro, bo inaczej nie potrafi ani nie chce

Czy będzie lepiej? Czy jesteśmy skazani na zaostrzający się konflikt? Nienawiść budzi nienawiść, wielu ludzi na prawicy pragnie odpłacać tym samym. Smutna, wręcz tragiczna, ale całkowicie przewidywalna konsekwencja. Jednocześnie widać, że także wśród wyborców Koalicji Obywatelskiej są tacy, których to zmęczyło. Kandydat Prawa i Sprawiedliwości na prezydenta Warszawy Tobiasz Bocheński mówił w jednym z wywiadów, że prowadząc kampanię na ulicach stolicy, nie spotkał się z przejawami wrogości na niesprzyjającym mu przecież terenie. Było inaczej niż kilka miesięcy temu w czasie kampanii parlamentarnej. Ale niestety wie to też Donald Tusk i jego akolici. I to od dłuższego czasu, bo tylko potrzebą rozbudzenia negatywnych emocji należy tłumaczyć najazd na dom

Zbigniewa Ziobry i sposób, w jaki to zostało zrobione.

W tej kwestii jedna odpowiedź jest już znana – tak, Donald Tusk nadal będzie podejmował brutalne działania. Inaczej nie potrafi ani nie chce. Ważniejsze jest pytanie, jak to oceni większość społeczeństwa. Czy zadowolą się igrzyskami w sytuacji, gdy już wiadomo, że chleb będzie dużo droższy?



Najszersze wyrazy współczucia

MARSZAŁEK SEJMU ELŻBIECIE WITEK

z powodu śmierci

MĘŻA
STANISŁAWA WITKA

*byłego członka Zarządu Regionu Zagłębie Miedziowe
i działacza Solidarności oświatowej*

*w imieniu delegacji PiS w Parlamencie Europejskim
składa*

Dominik Tarczyński

Aborcyjne kłamstwo

Proaborcyjna propaganda tworzy fałszywe poczucie bezpieczeństwa, siły czy władzy, którą ma być ten mityczny wybór. A to nie jest żaden wybór, tylko pozostawienie kobiety samej, z jej nieodwracalną krzywdą do końca życia

**Z Kariną Bosak,
adwokatem, posłanką
Konfederacji, mamą
trojga dzieci, rozmawia
Dorota Łosiewicz**

Przy okazji sejmowej debaty nad projektami aborcyjnymi miała pani poruszające wystąpienie, które podbiło internet. Powiedziała pani m.in.: „Jesteśmy po to, by usuwać lęk kobiety w ciąży, nie jej dziecko! Dziecko nie jest pasażerem!”. Z jakim odzewem się pani spotkała?

Karina Bosak: Z bardzo pozytywnym. Dużo osób reagowało wzruszeniem, ludzie pisali, że mówiłam w ich imieniu, co mnie bardzo cieszy. Zrobiłam, co do mnie należy, stanęłam w obronie prawa do życia i po stronie prawdy. To był mój obowiązek. Zależało mi, by powiedzieć o tym, o czym za rzadko mówi się w przestrzeni publicznej. O tym, że jeśli kobieta nie zostanie sama, dostanie wsparcie mężczyzny, otoczenia, usłyszy: „Damy radę”, to zamiast aborcji wybierze życie swojego dziecka. Kobiетom wmawia się: „To twoja decyzja”, „Twoje ciało”, a kobieta

często robi to ze strachu lub dlatego, że nie widzi wyboru. Dostałam wiele niesamowitych świadectw. Co ciekawe, więcej ich było od mężczyzn, którzy pisali, że nie zgodzili się na aborcję lub nie byli w stanie jej zapobiec. A przecież ciąża zawsze jest wynikiem aktywności dwóch osób. Mężczyzny i kobiety. Nawet jeśli w mediach społecznościowych był hejt związany z tym wystąpieniem, to go nie śledziłam, bo mam co robić na co dzień i nie tracę czasu na to, żeby szukać, co kto o mnie napisał czy powiedział. Natomiast podczas Marszu dla Życia bardzo wiele osób mi dziękowało, gratulowało. To było bardzo wzruszające.

Mówiła pani też o tym, że wie, co znaczy poświęcenie matki. Po tym wystąpieniu Joanna Scheuring-Wielgus z Lewicy stwierdziła, że to był pani wybór, że urodziła pani trójkę dzieci i żeby nie robiła pani z siebie matki Polki.

Pani poseł czuła się pewnie w obowiązku jakoś zareagować, czuła, że mówię prawdę i musiała interweniować, bo przecież stoi po stronie proaborcyjnej, a moje słowa jednak poruszyły serca. Ja się nie obrażam, w tej debacie jest mnóstwo emocji i trudno się dziwić.

Po tym wystąpieniu „Gazeta Wyborcza” pisała o pani: „żona Krzysztofa Bosaka”.

Odniosłam się do tego ironicznie na portalu X (d. Twitter), pisząc, że ta progresywna, postępowagazeta, która niby stoi po stronie kobiet, pozbawiła mnie imienia i nazwiska i potraktowała jak „dobytek”. Hipokryzja tego środowiska często kłuje w oczy. Kibicują tylko tym kobietom, które myślą tak jak oni. Chcieli mnie upokorzyć *argumentum ad hominem*. Tylko mnie to rozbawiło. Nic nowego. A „GW” stoi po prostu po stronie środowisk liberalnych i lewicowych, które od dekad prą do zalegalizowania aborcji.

Podczas audycji na temat aborcji na antenie Telewizji Republika aktywistka Aborcyjnego Dream Teamu Natalia Broniarczyk zażyła tabletkę wczesnoporonną. Jak pani ocenia tę manifestację?

To kolejne przekroczenie granicy. Szokowanie i osławianie z aborcją. Środowiska proaborcyjne próbują przekonać kobiety, że aborcja to nic takiego. Polykasz tabletkę i „po problemie”. A to wielkie kłamstwo. Zresztą cała proaborcyjna propaganda przesiąknięta jest kłamstwem i manipulacją. Tworzy fałszywe poczucie bezpieczeństwa, siły czy władzy, którą ma być



ten mityczny wybór. A to nie jest żaden wybór, tylko pozostawienie kobiety samej, z jej nieodwracalną krzywdą do końca życia. Aborcja zawsze zostawia ślad w psychice kobiety. Dowodzi tego choćby historia pani Joanny, która była tak eksploatowana w kampanii wyborczej. Nawet ona mówiła o momencie załamania. A tabletka, którą zażyła aktywistka, to nie aspiryna. Te środki powodują skutki poronne. Ich działanie prowadzi do skurczów i krwawienia przypominającego obfitą miesiączkę lub wczesne poronienie. Nawet jeśli ta pani nie była w ciąży, bo tego nie wiemy, musiała cierpieć po programie. Ciekawe, czy ktoś próbował się później dowiedzieć, jak się ona czuje. Tak czy inaczej mało kto mówi kobietom, że to się wiąże z bólem i cierpieniem. Podobnie jest z aborcją na późnym etapie. Przecież to jest poród. Tego etapu nie da się ominąć. Aborcjoniści często używają argumentu, że chodzi o skrócenie cierpienia np. chorego dziecka. Tymczasem jest dokładnie odwrotnie. Wywołuje się przedwczesny poród, a potem pozwala dziecku skonać w mękach, zamiast próbować mu pomóc, leczyć je czy nawet z miłością towarzyszyć w odejściu.

Minister ds. równości Katarzyna Kotula wykorzystała mównicę sejmową, by promować tabletkę wczesnoporonną. Powinna pozostać w rządzie?

Dla mnie to było oburzające, naganne i karygodne. Taka scena nie powinna mieć miejsca w Sejmie. Pani Kotula złamała tym zachowaniem wiele ustaw, dlatego Konfederacja złożyła zawiadomienie do prokuratury. To będzie test na niezależność tej instytucji. Ale może w ten sposób pani Kotula już rozpoczęła kampanię do Parlamentu Europejskiego, przecież chwilę po tym została szefową sztabu Lewicy.

Minister Kotula idzie dalej – chce legalnej sterylizacji kobiet.

Czy gdzieś jest kres tego szaleństwa? To są straszne postulaty. Przecież to jest nieodwracalne. A co, jeśli kobieta, która podda się takiemu zabiegowi, zapragnie mieć dzieci? Te środowiska działają po prostu na szkodę kobiet,

Fot. Andrzej Wiktor



a nie dla ich dobra. A aborcyjny konflikt w kampanii żadnej partii nie przyniósł nic dobrego. Zresztą prawdopodobnie nic nie wyniknie także z prac komisji nadzwyczajnej, ale politycy będą mieli paliwo w kolejnej kampanii. Liczę jednak, że debata, która będzie się toczyć i pokazywać także prawdę o aborcji, przyciągnie więcej osób na stronę pro-life. I jednak wyniknie z niej w ten sposób dobro.

Jak młoda mama odnajduje się w Sejmie?

Jest to na pewno wyzwanie organizacyjne. Mam jednak pomoc męża, przyjaciół, współpracowników. Dzięki nim udaje się to wszystko ogarnąć. Pewnie łatwiej jest tym, którzy mają nieco starsze dzieci. Ja trzecie dziecko urodziłam po wyborach, przychodziłam zresztą z maluszkiem do Sejmu. Na szczęście praca posła jest na tyle elastyczna, że udaje się ją pogodzić z macierzyństwem.

Mówi pani, że przychodziła pani do Sejmu z noworodkiem. Brakowało pani jakiś ułatwień?

Środowiska proaborcyjne próbują przekonać kobiety, że aborcja to nic takiego. Połykasz tabletkę i „po problemie”. A to wielkie kłamstwo

Sejm jest dobrze zorganizowany pod tym względem. Blisko sali plenarnej znajduje się toaleta z przewijakiem, są miejsca, gdzie można spokojnie karmić, pokoje z łóżeczkiem, przewijakiem dla posłanek mających dzieci. Sporo się zmieniło w tej sprawie. Nie jest też tak, że spędzam w Sejmie z dzieckiem całe dni. Z noworodkiem pojawiałam się wtedy, kiedy było to konieczne, np. odbywały się ważne głosowania. Marszałek Hołownia stworzył w tej kadencji sejmowy klub malucha. Jeszcze z niego nie korzystałam, ale wiem, że inne posłanki tak. To jest spora pomoc i dobre udogodnienie. Może kiedyś skorzystam.

Karmiła pani także piersią na sali plenarnej. Czy wywołało to jakieś negatywne reakcje?

Nic takiego do mnie nie dotarło. Ale karmiłam córkę pod chustą, nie robiłam tego w narzucający się sposób. Jej było ciepło, ciemno, przyjemnie. Zresztą w miejscach publicznych też staram się karmić w taki sposób. Szanuję wrażliwość innych osób, nie chce nikogo wprawiać w zakłopotanie. Uważam, że warto zachować pewien umiar i dyskrecję dla siebie, dziecka i otoczenia. Nie jestem za tym, żeby się chować po kątach czy toaletach, ale pewna dyskrecja jest wskazana. Dla mnie naturalne karmienie jest bardzo ważne. Po pierwsze, jest to bardzo wygodne, nie trzeba myśleć o butelkach, sterylizacji. Po drugie, to bardzo dobre dla zdrowia dziecka. I wreszcie po trzecie, buduje bezcenną więź między matką i maluszkiem. Każde dziecko staram się karmić przez ok. 1,5 do 2 lat i teraz jestem w takiej sytuacji, że karmię dwójkę równolegle, choć oczywiście dla starszego syna ma to już aspekt bardziej emocjonalny. Uważam, że każda kobieta, o ile ma taką możliwość, powinna się zdecydować na naturalne karmienie.

Kobiety często mówią, że polityka to „męski świat”.

Polityka na pewno jest bardzo brutalna, to świat, w którym trzeba mieć grubą skórę, czasem trzeba być bezwzględny. Nie twierdzę, że kobiety nie mają takich cech, wiele pewnie je posiada, ale dla kobiet to z pewnością trudniejszy świat. To jest bardzo toksyczna przestrzeń. Polityka parlamentarna nie jest dla każdego i może być trudniejsza dla osób bardziej wrażliwych.

A czy małżeństwo Bosaków rozmawia o polityce w domu?

Na szczęście nie przenosimy debat z sali plenarnej do domu. Mamy tyle innych spraw do omówienia, że na politykę byłoby szkoda czasu. Poza nią toczy się normalne życie. Choć czasem konsultuję się z mężem, podpytuję o jego zdanie, ale to margines naszych rozmów.

Naszym celem jest Moskwa

Połowa ludzi z Legionu chce bronić Ukrainy, ponieważ jest dla nich nowym domem. Mieszkają tu długo, pożenili się z Ukrainkami, kochają ten kraj. A druga połowa oprócz obrony Ukrainy chce jeszcze wyzwolić Rosję. Ale priorytety są jasne: najpierw obrona Ukrainy, potem przebudowa Rosji



Fot. Jakub Augustyn Maciejewski

Z Aleksiejem Baranowskim z Legionu Wolność Rosji, który tworzą rosyjscy ochotnicy walczący w wojnie po stronie Ukrainy, rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

Obawiam się, że to będzie trudna rozmowa. Na takich jak ja w Rosji mówi się „rusofoby”.

Aleksiej Baranowski: Na takich jak ja też. Jak to mówią na Ukrainie nawet podczas najbardziej gorliwych walk: „Nasza rusofobia i tak jest niedostateczna”.

Skąd pochodzisz?

Urodziłem się w Smoleńsku. To miasto ma wspaniałą historię, w Księstwie Smoleńskim i Wielkim Księstwie Litewskim oraz Rzeczypospolitej Obojga Narodów, nie tylko w Rosji. Smoleńsk dwukrotnie otrzymywał prawo magdeburskie, zarówno od książąt litew-

skich, jak i od polskiego króla. To jest zachodni region z daleką, ale jednak perspektywą niepodległości. Jestem przedstawicielem projektu Republiki Smoleńskiej, proklamowanego w Polsce przez Smoleńskie Centrum Republikańskie. Tam działają dawni urzędnicy obwodu smoleńskiego, tam zaprezentowali projekt konstytucji Samodzielnego Obwodu Smoleńskiego. Tam są dwa nurty myślenia o Smoleńsku. Maksymalistyczny mówi o niepodległości dla republiki, a inny o dołączeniu do wolnej Białorusi. Celem Legionu Wolność Rosji jest obalenie Putina, po którym mogą pojawić się szanse dla regionów i republik, by żyły, tak jak chcą, być może w federacji, ale nie takiej jak dzisiaj, ale prawdziwej i dobrowolnej, a może będą to niezależne państwa.

Odwołujesz się do bardzo dawnej, nawet przednowożytnej historii niezależności Smoleńszczyzny.

Spójrzmy na Niemców. Jedni żyją w Niemczech, ale inni w Austrii, jeszcze inni w Szwajcarii. Rosjanie też mogą żyć w Moskwie, w Republice Dalekiego Wschodu albo właśnie w Republice Smoleńskiej.

Masz rosyjskie obywatelstwo?

Tak się jakoś złożyło [śmiech].

Mamy takich Rosjan, którzy, nie znosząc obecnej władzy, pod niebiosą wynoszą swoją ojczyznę jako kolebkę kultury w postaci Tolstoja, Dostojewskiego czy Czajkowskiego. Nie przekonuje cię to?

Jest to oczywiście pewne dziedzictwo. Z kulturą jest jak z Kościołem, który może funkcjonować na rozległym obszarze, na którym są różne państwa i narody. Pozbędziemy się Putina bez szkody dla Dostojewskiego, chociaż, szczerze mówiąc, ja akurat nie jestem fanem tej „wielkiej rosyjskiej kultury”. Warto ją znać, ale nie mogę powiedzieć, że jestem nią zachwycony. A jestem np. fanem Andrzeja Sapkowskiego.

Do jednej z postaci z jego twórczości nawiązuje mój pseudonim „Jaskier”, a on sam opierał wykreowany świat na mitologii Słowian zachodnich.

Mamy w Legionie różne motywacje. Połowa ludzi chce bronić Ukrainy, ponieważ jest dla nich nowym domem. Mieszkają tu długo, poženili się z Ukrainkami, kochają ten kraj. Druga połowa oprócz obrony Ukrainy chce jeszcze wyzwolić Rosję. Ale priorytety są jasne: najpierw obrona Ukrainy, potem przebudowa Rosji.

Zawsze byłeś tak zawzięty antyrosyjski?

Wiesz, jak się nazywam: Aleksiej Baranowski. Mam polskie nazwisko, po ojcu jestem Polakiem. Mój dziadek miał wszystkie dokumenty: legitymację wojskową, akt urodzenia, w zasadzie mógłbym otrzymać Kartę Polaka. Jak szliśmy do tego miejsca, mówiłeś o naszej grupie: Polacy, Ukraińcy, Rosjanie, ale w tej części Europy to nie jest takie proste. Według paszportu jestem obywatelem Rosji, z pochodzenia jestem Polakiem, ale uważam się za Ukraińca. Mojego pradziadka represjonowano w 1937 r. w ramach operacji polskiej NKWD. Mnie nie pozostało nic innego, jak być w opozycji wobec reżimu. Widziałem represje, kolejne wojny, brak wolności. Jestem także adwokatem, angażowałem się w działalność opozycyjną, ale to wszystko niewiele dało, nic nie zmieniło.

Kiedy wyjechałeś z Rosji?

W lutym 2022 r., po wysłuchaniu kolejnego ostrzeżenia prezydenta Stanów Zjednoczonych o wywołaniu następnej wojny przez Rosję. Byłem w Moskwie w sprawach prawnych i zdałem sobie sprawę, że nie mam więcej czasu. Jak wybuchnie wojna, myślałem, to będę mógł co najwyżej wziąć udział w pikiecie i pójść do więzienia. W życiu trzeba zrobić coś więcej.

I co? Dalej Ukraina i armia?

Nigdy nie służyłem w wojsku, całe życie uciekałem od koszar. I teraz, po czterdziestce, zgłaszam się na ochotnika już w pierwszym miesiącu wojny. Ale

nie od razu. Najpierw byłem dziennikarzem, później fikserem, pomagałem dziennikarzom z zagranicznych redakcji robić reportaże z Buczy czy Irpienia. W marcu czy kwietniu pojechałem do Kijowa, by zaciągnąć się do obrony terytorialnej. Nie było to łatwe, bo pod miastem stały jeszcze rosyjskie wojska, a ja przecież mam rosyjski paszport. Pomógł mi mój dawny klient, ukraiński nacjonalista, który mnie zarekomendował. „On jest nasz” – przekonywał. Jeszcze trochę jeździłem po wyzwolonych terenach jako dziennikarz, ale kiedy w 2023 r. Legion Wolność Rosji nabrał rozpędu, zdecydowałem, że muszę tam dołączyć.

Jesteśmy przecież wojskiem ukraińskim, któremu nie wolno atakować rosyjskich terenów, więc bierzemy urlop i wtedy wpadamy do obwodu biełgorodzkiego albo kurskiego. To jest ta sama metoda, którą Putin stosował w 2014 r.

Wkraczałeś na terytorium Federacji Rosyjskiej.

Ale w trakcie urlopu [śmiech]. Jesteśmy przecież wojskiem ukraińskim, któremu nie wolno atakować terenów rosyjskich, więc bierzemy urlop i wtedy wpadamy do obwodu biełgorodzkiego albo kurskiego. To jest ta sama metoda, którą Putin stosował w 2014 r., gdy tłumaczono, że ataki „zielonych ludzików” na Donbas to po prostu urlopowani żołnierze, którzy robią, co chcą. Wykorzystaliśmy ten argument, by pokazać, że to działa w obie strony.

Jak wygląda taki rajd na rosyjskie terytorium?

Jako operator dronów patrzę na wszystko z lotu ptaka. Zajmujemy po-

zycje, uruchamiamy moździerz, a potem w formie partyzanckiej atakujemy rosyjskie pozycje. Ich jest znacznie więcej niż nas, ale działamy z zaskoczenia i widzimy ich kompletne nieprzygotowanie. Uderzamy jak rój, z różnych kierunków, a potem się wycofujemy. W tych dwóch obwodach całkiem skutecznie dręczyliśmy przeciwnika.

Myślisz, że ma to znaczenie większe niż propagandowe?

Oczywiście. Mieliśmy kilka bardzo trudnych starć, niestety ponieśliśmy też straty, ale przeciwnikowi zadaliśmy o wiele większe. Kilkadziesiąt pojazdów opancerzonych zostało zniszczonych bądź uszkodzonych, 1 tys. żołnierzy wroga wyłączyliśmy z walki. Dodatkowo zmusiliśmy ich do przesunięcia wojsk z odcinka kupiańskiego, a więc przerwaliśmy ofensywę, która miała nastąpić z okazji inauguracji kolejnej prezydentury Putina.

I w Rosji odbiło się to głośnym echem.

Putin wspominał o nas dwukrotnie. Najpierw próbowali nas ignorować, ale się nie dało.

Jakie jest twoje najbardziej maksymalistyczne marzenie w tej wojnie?

Naszym ostatecznym celem jest Moskwa, ale do tego trzeba zwiększyć siły. Wyobrażam sobie taki marsz jak Prigożina, tylko oczywiście bardziej skuteczny. Jest coraz lepiej, mamy już swoje pojazdy opancerzone, a nawet czołgi. Napływają nowi ludzie. Krok po kroku...

Mówisz tak, jakby szło to wolno.

Bo sam werbunek jest bardzo złożony. Każdego trzeba dokładnie sprawdzić, bo spodziewamy się prowokatorów albo agentów Putina. To nas spowalnia, ale nie możemy sobie pozwolić na błąd. W tej chwili jesteśmy pewni, że nie dochodzi do infiltracji naszych szeregów i niech tak zostanie.

Macie jakieś przecieki z wojsk przeciwnika?

Mamy pojedyncze przypadki zgłoszeń z rosyjskiej armii, ale to są wyjątki.

My nie chcemy tych, których schwytali Ukraińcy, a oni ogłaszają, że chcą pomóc. Szukamy takich, którzy od samego początku są zaangażowani w działania antyrosyjskie. Mamy takiego człowieka, który spędził w armii rosyjskiej sześć miesięcy i wyrządził swojej jednostce poważne szkody.

Sabotaż?

Tak, psuł sprzęt, utrudniał logistykę, narażał się i ryzykował, by zaszkodzić działaniom swojego oddziału. W tym samym czasie w tajemnicy przygotowywał swoje przejście na stronę Ukrainy. Musiał przejechać we właściwe miejsce we właściwym czasie, znaleźć naszego drona, przejść przez pole minowe. Ten człowiek jest naszym bardzo cennym nabytkiem.

A inni?

Mamy np. byłych zwolenników Aleksieja Nawalnego. Angażowali się w wiece i protesty opozycji, ale w pew-

nym momencie zdali sobie sprawę, że z Putinem nie wygra się na marszach i demonstracjach. Mamy trochę liberałów, ale też nacjonalistów, nie w takim imperialnym, lecz republikańskim sensie. Mamy też ludzi apolitycznych, którzy trzymali się z daleka od spraw publicznych, ale gdy zaczęła się pełnoskalowa wojna, nie mogli być bierni, musieli wybrać. Jak dla mnie dobry Rosjanin to taki, który walczy z putinowską Rosją z bronią w ręku. Mamy w Legionie batalion syberyjski pod dowództwem żołnierza o pseudonimie „Sacha”, który pochodzi z Jakucji. Jakuci chcą niepodległości, inni postulują oderwanie od Rosji północnego Kaukazu.

Jednym z argumentów, dla których Zachód spowalnia dostawę broni, jest korupcja na Ukrainie. Co o tym sądzisz?

Korupcja zdarza się wszędzie, a na wojnie w szczególności. Zachód musi

zdecydować, czy bardziej przeszkadza mu tutejsza korupcja, czy mordowanie ludzi przez Putina.

Ostro powiedziane.

No, ale tak jest. Koalicja antyhitlerowska była bardziej zdeterminowana, by zwyciężyć niż koalicja antyputinowska, choć przecież Putin to Hitler XXI w. On się nie zatrzyma na Ukrainie. Zachód przekazuje broń po bardzo wysokiej cenie – życia kolejnych żołnierzy i kolejnych cywilów. Ukraina liczy swoje straty, ale Putin swoich nie, to mu pozwala na większą bezwzględność. Podczas naszej operacji w obwodach kurskim i białgorodzkiem Rosjanie ostrzeliwali nas artylerią nawet jak byliśmy w rosyjskich miejscowościach. Ostrzeliwali własnych cywilów, całe dzielnice! Pamiętam, jak zrównali z ziemią przygraniczną wioskę Kozinko, w ogóle nie licząc się ze stratami wśród własnych cywilów. To z takim państwem walczymy.

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

saltus.pl



*W ofercie ubezpieczenia:
mieszkaniowe,
zdrowotne, NNW,
podróżne i na życie!*

Dostępne m.in. w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

eprasa.pl 992232599d

T TOWARZYSTWO
UBEZPIECZONYCH



Koniec bajki w Bullerbyn

Szwed polskiego pochodzenia został zamordowany, ponieważ nie chciał się pogodzić z tym, że w jego dzielnicy szerzą się imigranckie gangi. Jest to nowa normalność w Szwecji, gdzie nie jest już ani spokojnie, ani bezpiecznie



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Nie tolerował niesprawiedliwości. Kosztowało go to życie. Miałam tylko jego” – tak Aneta Demir, siostra 39-letniego Mikaela Janickiego, który 10 kwietnia został zastrzelony w Skärholmen, południowej dzielnicy Sztokholmu, skomentowała jego śmierć w rozmowie ze szwedzkim tabloidem „Expressen”. Według niej Mikael był „wrażliwy”. Jak twierdzi dziennik „Aftonbladet”, przeskadzała mu przestępczość w okolicy i chciał pozbyć się gangu, który „jeździł na rowerach i sprzedawał narkotyki”. Ale to gang pozbył się jego.

DWIE SZWECJE

Krótko po 18.00 w środowy wieczór mężczyzna wraz ze swoim 12-letnim synem wybrał się na basen w Skärholmen. W przejściu podziemnym spotkał grupę młodych ludzi, doszło między nimi do wymiany zdań. Jedna z osób z grupy miała wyciągnąć broń i oddać strzał w ziemię, po czym wywiązała się szamotanina. Mężczyzna został śmiertelnie postrzelony w twarz. Na oczach syna. Kilka stacji dalej od Skärholmen, na trasie czerwonej linii metra, Aneta Demir mieszka ze swoim mężem Eliasem. „To szok i trudno to ogarnąć. Jeszcze niedawno siedzieliśmy razem i planowaliśmy urodziny. Moje 45., a jego 40. Latem mieliśmy zamiar zorganizować dużą imprezę” – mówi kobieta. Teraz wszystkie plany legły w gruzach. A przemoc, którą znała z doniesień medialnych, wkradła się do jej życia. „Dużo o tym myślałam. Za każdym razem, gdy czytasz o strzelaninie lub widzisz ją

w wiadomościach, zastanawiasz się, czy kiedykolwiek cię to spotka. Jednocześnie wydaje ci się to takie nierealne” – mówiła w rozmowie z „Aftonbladet”.

Mikael pochodził z Polski. Jego rodzice emigrowali w latach 80. do Szwecji, gdzie przyjęli szwedzkie obywatelstwo.

– Wtedy była to inna Szwecja – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” Jens Ganman, szwedzki dziennikarz, autor i muzyk. – Teraz mamy dwie Szwecje. Kraj migrantów, gangów i przemocy oraz drugi, ten rdzennych Szwedów, sennej prowincji, bezpiecznych wiosek i miasteczek. Oba te kraje łączy coraz mniej.

Tyle że w ostatnich latach strzelaniny i zamachy bombowe, które nękały największe miasta Szwecji, rozprzestrzeniły się na spokojniejsze przedmieścia i miasteczka. Położona pół godziny na północ od centrum Sztokholmu miejscowość Upplands-Bro oferuje kluby żeglarskie nad jeziorem, drewniane wille i apartamenty, otoczone sosnami

Fot. Alexander Stock/23/Shutterstock

i świerkami. W sierpniu 2023 r. w lesie znaleziono zwłoki 14-letniego chłopca, doszło tu do kilku strzelanin i zamachów bombowych, których celem były domy i mieszkania. W ub.r. w strzelaninach zginęło w Szwecji ponad 50 osób, doszło do ponad 140 zamachów bombowych. To wynik wojny imigranckich gangów o kontrolę nad handlem narkotykami. W 2022 r. w wyniku przemocy z użyciem broni zginęło ponad 60 osób, co było rekordem w historii kraju. Ofiary to często przypadkowe osoby, które znalazły się w złym miejscu i w złym czasie.

– W zeszłym roku młody Szwed pochodzący z imigracji opróżnił magazynek kałasznikowa na stacji metra Farsta w Sztokholmie. Chciał zabić rywala z innego gangu, a zastrzelił dwie postronne osoby i ranił wiele innych – mówi z kolei tygodnikowi „Sieci” Chang Frick, dziennikarz, były działacz Szwedzkich Demokratów oraz założyciel portalu Nyheter Idag. Według niego nikt nie jest bezpieczny. – Kiedy wychodzę z domu, ciągle oglądam się za siebie, bo nigdy nie wiadomo, co się może stać. To jest ta nowa, szwedzka normalność – dodaje. Według niego bogata, spokojna Szwecja, czysta i uporządkowana to wioska potiomkinowska. – Takiej Szwecji już w zasadzie nie ma – podkreśla.

ZA GRZECHY

W 1975 r. szwedzki parlament jednogłośnie postanowił, że kraj ma być wielokulturowy. Dziś wielu Szwedów uważa, że był to błąd, że ich państwo to urzeczywistniony utopijny koszmar. Po II wojnie światowej Szwecja stała się dobrze prosperującą gospodarką zorientowaną na eksport, opartą na stabilnej demokracji parlamentarnej i społecznym konsensusie. Kraj miał najwyższej klasy opiekę zdrowotną i edukację. Cieszył się równością społeczną oraz niskim wskaźnikiem przestępczości. Wraz z napływem kolejnych migrantów (od 2009 r. było to 100 tys. rocznie, w latach 2015–2016 rekordowe 170 tys.) nierówności społeczne zaczęły rosnąć. Obywatele urodzeni za granicą oraz ich potomkowie stanowią obecnie ok. 20 proc. populacji kraju liczącego 10,5 mln mieszkańców.

Dzisiejsza Szwecja ma najwyższy w Europie wskaźnik zabójstw dokonywanych

przez gangi i najniższy średni wiek przestępców, nawet dzieci są tam aresztowane za morderstwo. Coraz większa liczba przedmiotów jest oficjalnie klasyfikowana jako „obszary szczególnie wrażliwe”, czyli jako tzw. no-go zones, gdzie działalność policji i innych służb jest „trudna, wręcz niemożliwa”. Są to strefy zamknięte, którymi rządzą lokalne imigranckie klany i do których osoby udzielające pierwszej pomocy nie wejdą bez kamizelek kuloodpornych i eskorty policji.

– Wszystko się zaczęło od Olofa Palme, socjaldemokratycznego premiera. Przyjęcie polityki wielokulturowej w głównej mierze opierało się na nim, a on uważał się za aktywistę na rzecz dekolonizacji. Był przekonany, że Szwecja powinna się otworzyć na uchodźców i imigrantów – podkreśla Jens Ganman w rozmowie z tygodnikiem „Sieci”. Wtórzy mu Chang Frick – Szwecja może i była neutralna w czasie wojny, ale przykleiła się do niej etykieta kolaboracji z nazistami. Chciano się tego pozbyć, pokazać, że jesteśmy krajem otwartym, tolerancyjnym. Mieliśmy odpokutować za grzechy.

UCIECZKA Z ROSENGÅRD

Ostatnia fala imigracji wywarła ogromną presję na szwedzki model społeczny, bo przyjmowanie imigrantów jest centralnie sterowane, a system ekonomiczny jest przystosowany do homogenicznej siły roboczej. Dla nisko wykwalifikowanych pracowników jest mało pracy. Szwecja ma największą populację nisko wykwalifikowanych imigrantów w Europie, a jednocześnie oferuje najmniej miejsc pracy dla takich ludzi ze wszystkich państw UE. To utrudnia integrację i ma wpływ na jakość edukacji i systemu opieki zdrowotnej.

W dzielnicy Rosengård w Malmö, gdzie 80 proc. mieszkańców pochodzi z imigracji, przestępczość bije rekordy. Malmö to najszybciej rosnące miasto Szwecji pod względem ludności. Od 1990 r. wzrosła ona o 43 proc., głównie dzięki imigrantom. Rosengård powstało 50 lat temu jako modelowe osiedle. Dziś ucieka z niego każdy, kto może. Na ulicach z równo przyszytych trawnikami i chodnikami z kostki Bauma arabskie gangi toczą wojnę. Dziś Rosengård to strefa no-go.

Imigranci przybywają, a Szwedów ubywa. „Wyjeżdżają. Do Polski, Węgier, Hiszpanii czy Portugalii” – twierdzi Chang Frick. Od 2022 r. Szwecję rządzi centroprawicowa koalicja premiera Ulfa Kristerssona z cichym poparciem antyimigranckich Szwedzkich Demokratów. Rząd zapowiedział wiele zmian w prawie imigracyjnym, w tym trudniejszy dostęp do zasiłków dla imigrantów spoza UE oraz szybsze deportacje tych, których „styl życia zagraża szwedzkim wartościom”. Jest to zgodne z tym, co myślą zwykli Szwedzi. Według badania przeprowadzonego przez uniwersytet w Göteborgu 58 proc. z nich chce, by kraj przyjmował mniej migrantów, a 90 proc. domaga się wyższych kar dla członków gangów popełniających przestępstwa.

POPISAĆ SIĘ PRZED KAMERAMI

Na wysokie kary dla zabójców brata liczy także Aneta Demir. Tym bardziej że to nie pierwsza taka tragedia, która ją dotknęła. Matka 12-letniej Adrian, która została zastrzelona w Sztokholmie w sierpniu 2020 r., jest bliską przyjaciółką pani Anety. Od czasu tej tragedii stanowiła dla niej ogromne wsparcie. W grudniu 2023 r. Sąd Apelacyjny w Svea skazał Maykila Yokhanne i Hassana Mohammada na dożywocie za zabójstwo dziewczynki. Celem byli członkowie rywalizującego gangu, ale kule trafiły w 12-latkę, która wyszła na spacer z psem.

Do polityków siostra Mikaela Janickiego czuje tylko żal. Na miejscu zabójstwa, gdzie pojawiło się morze kwiatów i zniczy, kobieta starała się z liderką socjaldemokratów i byłą premier Magdaleną Andersson. „Wszyscy ci politycy byli tam tylko po to, żeby popisać się przed kamerami. Nikt z nich się z nami nie skontaktował, nie podszedł, nie zapytał, jak się czujemy i czy potrzebujemy pomocy” – mówiła w rozmowie z portalem Samnytt.

Policja schwytała już dwóch sprawców. Mają 17 i 18 lat. A w przypadku młodocianych przestępców kary więzienia w Szwecji są zasądzone tylko w „wyjątkowych okolicznościach”. Premier Ulf Kristersson zapewniał jednak, że tym razem będzie inaczej. „Wprowadzimy prawo, jakiego Szwecja nigdy wcześniej nie widziała” – zapowiedział.

Perski nalot

Zadnych zysków i zaskakująco rozległe straty. Tak można najkrócej podsumować efekty trwającego pięć godzin perskiego nalotu na Izrael, przeprowadzonego w ubiegły weekend.

Jak podała *post factum* izraelska armia, w nocy z 13 kwietnia na 14 kwietnia Iran wystrzelił 110 rakiet dalekiego zasięgu typu Emad, 36 pocisków manewrujących Paveh oraz 185 dronów Shahed (słynnych z innej i bliższej nam wojny), w których produkcji specjalizuje się perski przemysł zbrojeniowy. To rozległy atak, a jak twierdzą znawcy wojskowości – najsilniejszy atak dronów, jaki został przeprowadzony do tej pory. Co prawda w swej nieodległej historii Izrael przeżył już ataki rakietowe o większej intensywności, choćby ten z 2006 r., kiedy z terytorium Libanu terrorystyczny Hezbollah ostrzelał miasta i kibuce spokojnej zazwyczaj Galilei aż 4 tys. pociskami, zabijając kilkudziesięciu cywilnych Żydów. Drony nie były jeszcze wtedy tak ważnym narzędziem wojny, jakim stały się w ostatnim czasie.

Nalot Iranu na Izrael nie tylko umocnił premiera Netanjahu w jego ciężkich ostatnio relacjach ze światem. Ważniejsze jest to, że umocnił państwo żydowskie. W intencji ajatollahów miało to być prestiżowy pokaz potęgi Iranu, ale w rzeczywistości wydarzenia z poprzedniego weekendu stały się pokazem siły Izraela



JAN ROKITA

Jednak tym razem prawie wszystkie rakiety i drony zostały zniszczone, nim zdołały uderzyć w wyznaczone cele, w większości (jak można sądzić z różnych doniesień) nim w ogóle zdołały dotrzeć w przestrzeń powietrzną Izraela. Co ciekawe, dotyczy to nie tylko powolnych dronów, które potrzebowały czasu na wykonanie zadania, lecz także nowoczesnych pocisków balistycznych. Choć jak twierdzi dobrze poinformowana na Bliskim Wschodzie Al Dżazira, Persowie nie użyli ponaddziesięciokilowych pocisków Fattah, mogących dolecieć do Izraela w ciągu 7 minut. Jedyne miejsce, w którym spadły perskie rakiety, to położona na pustyni Negew baza lotnictwa izraelskiego Nevatim, ale i tam szkody są małe, a ruch samolotów bojowych ani na chwilę nie został

przerwany. W całym ataku jedyną ofiarą jest przypadkowe dziecko, 7-letnia beduińska pasterka, ranna od jakichś spadających odłamków. Militarne fiasko perskiego nalotu jest zaiste zdumiewające. A przecież Iran to regionalne mocarstwo, od

dziesięcioleci zbrojące się na potęgę i dysponujące największym arsenałem raketowym na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Zaś perskie drony dostarczane Moskalom zdołały z powodzeniem doprowadzić do ruiny system energetyczny całej Ukrainy.

OPERACJA „SPEŁNIONA OBIETNICA”

Prawdę mówiąc, nie jest jasne, co skłoniło perskich ajatollahów do podjęcia akurat teraz pierwszego w historii „oficjalnego” ataku o tej skali na Izrael. Zapowiedzi zniszczenia państwa żydowskiego są przecież od pół wieku stałym elementem perskiej polityki i propagandy, ale zawsze sprowadzały się one do niewielkich ataków na pograniczu izraelsko-syryjskim, gdzie na stałe zainstalowały się oddziały Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC) wspomagające okrutnego damasceńskiego tyrana w wygranej przezeń wojnie domowej. Jeśli ajatollahowie chcieli mocniej zaszkodzić Izraelowi, używali do tego celu powolnych Teheranowi bojowników szyckiego Hezballahu, a ostatnio także sunnickiego Hamasu. Również mordercza napadł Hamasu na żydowskie kibuce z 7 października 2023 r. miała, jak się okazało, co najmniej perski polityczny placet, a być może nawet inspirację.

Wiemy z pewnością, że władze Iranu, publicznie ogłaszając nalot, nazwały go kryptonimem „Spełniona obietnica”. I przekonywały, iż jest to obiecany i usprawiedliwiony odwet na Izraelu za zbombardowanie perskiej placówki dyplomatycznej w Damaszku 1 kwietnia. W tamtej perfekcyjnie przeprowadzonej operacji w stolicy obcego państwa Żydom udało się zamienić konsulat Iranu w kupę gruzów, zabijając przy tym za jednym zamachem dwóch czołowych perskich dowódców IRGC, odpowiedzialnych za prowadzenie działań przeciw Izraelowi z sąsiedniego Libanu i Syrii. A jak wiadomo, formacja Strażników Rewolucji to awangarda perskiej armii, najlepiej wyposażona i przeszkolona, nadzorująca politycznie oraz militarnie zarówno Hezballah w Libanie, jak i ostatnio również Hamas w Strefie Gazy. Sławny dowódca tej formacji gen. Solejmani został zabity przez Amerykanów w Iraku w 2020 r. Nie ma wątpliwości, że brawurowy atak na perski konsulat był pogwałceniem prawa międzynarodowego, a konkretnie wiedeńskiej konwencji o stosunkach dyplomatycznych z 1961 r. Ale też prawo międzynarodowe nie zakłada, aby placówki dyplomatyczne były miejscami, z których steruje się bojówkami terrorystycznymi.

Najprawdopodobniej tym razem perscy ajatollahowie uznali, że wobec takiego upokorzenia republiki islamskiej muszą dać spektakularny odpór i „ukarać” Żydów (tego czasownika cały czas używa oficjalna perska propaganda). Wskazywałyby na to co najmniej dwa fakty.

Pierwszy – iż atakowi z premedytacją nadano teatralną formę, oznajmiając o wyrzeleniu pocisków w sobotę późnym wieczorem, najprawdopodobniej po odpaleniu dronów, a jeszcze przed wyrzeleniem rakiet balistycznych. W intencji Teheranu miało to być zatem globalne widowisko, obserwowane nie tylko przez Żydów, lecz także przez cały świat z zapartym tchem, choć przecież na zdrowy rozum wiadomo, że taki „teatr” likwidował efekt zaskoczenia, zwiększając prawdopodobieństwo skutecznej obrony. Ale władze Iranu sprawiały wrażenie, jakby stawką był honor Iranu i całej islamskiej rewolucji. A takiej in-

tencji czyniła zadość jedynie manifestacja siły, która miała być oglądana przez świat oraz przez samych Persów.

I to jest właśnie drugi fakt, wskazujący na „prestiżową” motywację nalotu: w Teheranie i innych miastach kraju natychmiast zmobilizowano potężne tłumy, autentycznie oszalałe z radości, że w końcu, po tylu latach gróźb i zapowiedzi, nastąpił ów wy-czekiwany wielki atak na nikczemnych Żydów.

DUCH „POROZUMIEŃ ABRAHAMOWYCH”

Być może z perspektywy Teheranu wszystko to miałoby jakiś sens, jeśliby Izrael choć trochę odczuł skutki ataku. Tak się jednak nie stało. W sobotę wieczorem był co prawda na świecie ów moment grozy, wyreżyserowany przez Persów, kiedy pojawiały się informacje o zamknięciu przestrzeni powietrznej kolejnych państw arabskich, nagłym powrocie Bidena do Waszyngtonu i nocnym zebraniu tamtejszej Rady Bezpieczeństwa, a w końcu pierwsze przecieki o otwartym przystąpieniu do wojny nie tylko amerykańskiej floty i samolotów z lotniskowca „Eisenhower”, lecz także lotnictwa brytyjskiego. W niedzielę okazało się, że w obronie terytorium Izraela wzięła udział również armia francuska i – co ważniejsze – jordańska. Komunikat rządu Jordanii na ten temat wyjaśniał potem, iż król Abdullah rozkazał zestrzeliwać pociski, które docierały w jordańską przestrzeń powietrzną. Może to brzmieć ładnie i przekonująco, ale przecież każdy rozumie, że król Abdullah nie bronił terytorium własnego kraju,

REKLAMA



"Księga"

ks. Łukasz Turek i Paweł Kęska
sobota godz. 20.10 i niedziela godz. 9.00

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

210324/F

które w żaden sposób nie było zagrożone, ale... sąsiedniego Izraela, który od kilku tygodni Jordania, wraz z innymi państwami arabskimi, oskarża o zbrodnie wojenne na palestyńskiej ludności cywilnej, popełniane w Gazie.

Tu widać polityczne efekty perskiego „prestizowego” nalotu. Teheranowi udało się ożywić ducha tzw. porozumień abrahamowych, zdychającego już pod wpływem pacyfikacji Gazy. Czyli efekt *de facto* współpracy z Izraelem umiarkowanych państw arabskich, tym razem idącej nawet tak daleko, że niektóre spośród nich wzięły zbrojny udział w obronie terytorium państwa żydowskiego. To jest zdarzenie trudne do przecenienia.

Oto Izrael prowadzi okrutną pacyfikację Palestyńczyków, która oburza muzułmanów i nie tylko muzułmanów, a Biden oraz przywódca demokratycznej Europy tracą cierpliwość, szantażując nawet premiera Netanjahu międzynarodowym potępieniem i blokadą pomocy wojskowej. Oto Netanjahu zaczyna się już ugiąć pod tą presją, wycofując czołgi z północnej części Strefy Gazy, gdzie zgromadził się jakiś 1 mln palestyńskich uchodźców. I nagle w sukurs przychodzi mu perski nalot, po czym nie tylko Biden, lecz także Sunak, Macron, a nawet król Abdullah przystępują do zbrojnej obrony Izraela. Zaś sprytny Netanjahu kuje żelazo, póki gorące i nakazuje powrót czołgów do Gazy, bo przecież musi do końca wytępić hamasowskich sojuszników agresywnego Iranu.

Izraelski premier targuje się teraz z Ameryką już nie o metody pacyfikacji Gazy, lecz o rozmiar i czas izraelskiego reodwetu na Persach. Od wielu lat przeciwnicy Netanjahu zarzucali mu celową histerię wokół perskiego niebezpieczeństwa jedynie dla wzmocnienia własnej władzy i uzasadniania twardych metod postępowania wobec Palestyńczyków. A przecież przez pół wieku Iran odgrzązał się atakiem na Izrael, lecz tak naprawdę nigdy tego nie zrobił. Teraz wszyscy krytycy rzekomej „histerii” Netanjahu mają zamknięte usta: perski nalot stał się rzeczywistością. Zarówno dla świata, jak i dla izraelskich Żydów premier znów jest tym politykiem, którego przestrogi okazały się zasadne. Mało ważne okazuje się przy tym, że Teheran, choć spektakularnie wystrzelił setki pocisków, to w efekcie nie wywrządził Żydom żadnej istotnej szkody.

Nie ma też znaczenia fakt, że po dokonaniu nalotu perscy dygnitarze manifestują wobec własnego narodu wielką satysfakcję z powodu „ukarania” Izraela, ale na użytek świata zapewniają, że ten zakończony fiaskiem nalot kończy sprawę, gdyż Iran nie miał i nie ma zamiaru rozpętywać prawdziwej wojny. Liczy się to, że nie tylko Netanjahu, lecz jeszcze bardziej jego prawnicowi partnerzy z rządu zyskali okazję do przedstawienia Iranu jako diabolicznej potęgi zagrażającej światu. I że Ameryka wraz z Grupą G7 (czyli wszystkimi wielkimi demokracjami świata) nakłada na Iran kolejne sankcje, mające po raz kolejny wyeliminować ten kraj ze światowego systemu ekonomicznego. Rial

(perska waluta) leci na łeb na szyję w oczekiwaniu na kolejne nieszczęścia, jakie mają spotykać gospodarkę Iranu. A Turcja czy Arabia Saudyjska, przynajmniej na jakiś czas, znów tracą chęć, aby zrywać relacje z Izraelem z powodu masakry w Gazie.

AMERYKAŃSKIE BRATERSTWO BRONI

Nalot na Izrael nie tylko umocnił premiera Netanjahu w jego ciężkich ostatnio relacjach ze światem. Ważniejsze jest pewnie to, że umocnił państwo żydowskie. W intencji ajatollahów miał to być prestiżowy pokaz potęgi Iranu, ale w rzeczywistości wydarzenia z poprzedniego weekendu stały się pokazem siły Izraela.

Test skuteczności z powodzeniem przeszedł izraelski system obrony powietrznej, budowany wspólnie z Ameryką i finansowany przez USA jeszcze od czasów reaganowskich gwiazdnych wojen, które były inspiracją dla Izraela. W styczniu 1991 r., gdy Amerykanie przystąpili do wojny z Irakiem (w obronie zaanektowanego przez Saddama Husajna Kuwejtu) ówczesny iracki dyktator zaatakował Izrael gradem pocisków, sądząc, że w ten sposób pokrzyżuje szyki

Ameryce. To był pierwszy nalot na izraelskie miasta, przede wszystkim na Tel Awiw i Hajfę, którego celem miało być ich rujnowanie i zabijanie ludności cywilnej. Żydzi byli wtedy w panice, choć tamten nalot nie okazał się tak groźny, jak tego się spodziewali. To wtedy zapadła decyzja o budowie potrójnego systemu ochrony terytorium Izraela przed kolejnym podobnym atakiem (popularnie zwanego Żelazną Kopułą, choć owa „kopa” to nie najistotniejsza część tego systemu). Po 33 latach system po raz pierwszy został sprawdzony w boju i okazał się skuteczny. To wyjątkowo dobra wieść dla Żydów.

Ale czy okazałby się tak skuteczny, gdyby nie otwarte wejście do wojny wojsk amerykańskich? Tego, rzecz jasna, nie wiemy. Wiemy za to inną rzecz, która jest bez wątpienia najważniejszym politycznym efektem perskiego nalotu – że amerykańska strategia naprawdę przewiduje zbrojną obronę niepodległości Izraela. Wydarzenia poprzedniego weekendu dowiodły, nie poprzez deklaracje polityków czy też zawsze wątpliwe traktaty, że w razie ataku na swój kraj Żydzi mogą liczyć na amerykańskie braterstwo broni. Izrael po raz pierwszy dostał coś, czego chcą liczni sojusznicy USA, a nieszczęsna Ukraina nie może już nawet o tym marzyć: pewność amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa. Bo tak naprawdę nie ma innego sposobu na sprawdzenie wiarygodności tego rodzaju gwarancji, niżli realne przystąpienie sojusznika do wojny. Tzw. *casus foederis* nie może zostać zweryfikowany inaczej. Izrael okazał więc swoją potęgę, albowiem w tamtą sobotnią noc to Ameryka walczyła po jego stronie. Ukraina prawdopodobnie wcześniej czy później upadnie, bo Ameryka nie chce walczyć po jej stronie. Perski nalot z niesłychaną mocą unaoczniał światu, a zwłaszcza Ukraincom, tę fundamentalną różnicę, której stawką jest niepodległość albo nawet sama egzystencja niektórych narodów.

Izrael po raz pierwszy dostał coś, czego chcą liczni sojusznicy USA, a nieszczęsna Ukraina nie może już nawet o tym marzyć: pewność amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa



Na majówkę

- *Rzeczpospolita przed Konstytucją 3 maja*
- *Złoty dla zuchwałych*
- *Tajemnice Fridy Kahlo*
- *Filmowe podróże.
Widziałeś na ekranie,
zobacz w realu*

Co możemy powiedzieć o polskiej polityce w XVIII w.? Czy w elitach istniała potrzeba reform słabego państwa? Czy brano pod uwagę możliwość jego upadku? Jak odnoszono się do coraz mocniejszej ingerencji sąsiadów w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej?

Aleksandra Skrzypietz: Siegnijmy głębiej. W 1661 r. król Jan Kazimierz wygłosił proroczą przemowę, snując dramatyczną wizję, jak to Moskwa i Berlin sięgną po ziemię Rzeczypospolitej, jeżeli nie zostaną przeprowadzone reformy wewnętrzne. Szlachta wzruszyła ramionami i rozeszła się do domów. O proponowanej reformie elekcji nie chciano słuchać. Chwilę wcześniej minęło ogromne zagrożenie: trwało powstanie na Ukrainie, toczyła się wojna z Moskwą, a Rzeczpospolitą zaatakowała Szwecja. Pomocy udzieliły Polsce Austria, Dania i Chana Krymski, ale nie kierowały się miłością do niej, lecz własnymi interesami, musiały zapobiec wzrostowi siły Szwecji.

Choć Jan Kazimierz nie był genialnym wizjonerem, to jednak próbował straszyć szlachtę, aby wspólnie przeprowadzić reformy, bo każdy rozumny polityk musiał zdawać sobie sprawę, że słabość państwa – a Rzeczpospolita pogrążała się w słabości – doprowadzi w końcu do tragedii. Przecież już podczas potopu wrogowie

nej) i odebrania wolności szlacheckich. Choć władza centralna słabła (w tym władza sejmów, które coraz częściej zrywano, bo elementem wolności szlachty było *liberum veto*, czyli prawo zerwania obrad sejmowych przez pojedynczego szlachcica), nie przejmowano się tym. Obawiano się przede wszystkim tego, że król może wzmocnić swą władzę poprzez silne wojsko, którego utrzymanie wymagało płacenia podatków. Przyjęto zatem, iż Rzeczpospolita nie potrzebuje licznej armii. Uznano, że słabe, nieuzbrojone państwo nikomu nie zagraża, więc sąsiedzi – nie niepokojeni – nie będą go atakować. I nie atakowali.

Trzeba jednak pamiętać, że w latach wielkiej wojny północnej (1700–1721), w której Rzeczpospolita nie brała udziału, przez jej terytorium przeszły wojska saskie, szwedzkie i rosyjskie: plądrowały i niszczyły, niosły ze sobą plagi (dżuma), głód i śmierć, a więc wielkie straty w ludziach i gospodarce.

Słaba Polska była na rękę sąsiadom. Na czym polegała ich polityka w tak skuteczny sposób blokująca wszelkie korzystne reformy?

Nie tylko szlachta była przeciwna reformom, również państwa sąsiednie nie zgadzały się na zmiany w Rzeczypospolitej



Rzeczpospolita przed

O słabości państwa polskiego i krótkowzroczności krajowej polityki w XVIII w.

rozważali podział terytoriów Rzeczypospolitej. Z tych planów nic nie wyszło, ale mogły wrócić.

Jaka była postawa szlachty i jej priorytety myślenia? Czy nie dostrzegano, że upadek państwa bardziej ograniczy jej wolność niż mocny polski monarcha?

Szlachta nie godziła się na reformy, a każda dyskusja nad nimi kończyła się gardłowaniem, że zamiast usprawnić funkcjonowanie państwa, doprowadzą do *absolutum dominium* (władzy absolut-

i czowały nad tym, by ich nie przeprowadzono. Od schyłku XVII w. sąsiedzi zawierali traktaty, w których zobowiązywali się nie dopuszczać do zmian wzmacniających państwo polsko-litewskie. Cudzoziemscy dyplomaci i nieoficjalni agenci pozyskiwali magnaterię i szlachtę dla własnych korzyści i utrzymania słabości Rzeczypospolitej.

Druga połowa XVII w. i początek kolejnego stulecia upłynęły na rywalizacji Austrii i Francji. Obie strony próbowały wciągnąć Rzeczpospolitą

w ten konflikt. Najpierw starały się pozyskać monarchów – Zygmunt III opowiadał się po stronie Habsburgów, u schyłku panowania Władysław IV zmienił stronę, również Jan Kazimierz sprzyjał Francji. Za Michała Korybuta Wiśniowieckiego, Jana III i Wettynów obca dyplomacja działała już dwutorowo: rozmawiano z polskim monarchą, równocześnie nawiązując współpracę z koteriami magnackimi, czasem hojnie je finansując, czasem uciekając się jedynie do obietnic. Cudzoziemcy wie-



Konstytucją 3 maja

z **prof. dr hab. Aleksandrą Skrzypietz** rozmawia Piotr Słabek



dzieli, że polski monarcha nie jest w stanie zagwarantować im sojuszniczego wsparcia. Starano się raczej pokrzyżować plany króla, by nie podjął współpracy z drugim ze skłóconych państw. W 1683 r. Jan III musiał zablokować zabiegi zwolenników Francji, gdy próbowali przeszkodzić mu w realizacji sojuszu z Austrią. Starania cudzoziemskich wysłanników, by sterować polityką wewnętrzną i zagraniczną Rzeczypospolitej poprzez frakcje magnackie nie ustawały do końca jej istnienia.

Czy nie dostrzegano tego, że polityka lawirowania i układanie się z sąsiednimi mocarstwami szybko doprowadzą do upadku kraju?

Wielu przywódców stronnictw popierających cudzoziemskie wpływy wierzyło, że czynią to w imię tego, co za granicą nazywano racją stanu, choć zwykle motywację stanowiły jedynie ich prywatne, często finansowe interesy. Współpraca z obcymi monarchami za plecami własnego króla, która powinna być traktowana jako zdrada, stała się

w Rzeczypospolitej czymś oczywistym i tolerowanym. Czasem można odnieść wrażenie, że Polacy uznali, że ich losy powinny rozstrzygać się nie tylko przy wsparciu cudzoziemskich królów, ale wręcz na obcych dworach. Własny monarcha stawał się zaś wrogiem.

Lata biegly, słaba Rzeczypospolita trwała, ale jej sąsiedzi rośli w siłę, także militarną. Po wojnie o sukcesję polską (1733–1735) na tronie zasiadł August III i nastał pokój. Szlachta mogła się nim cieszyć, „jeść, pić i popuszczać pasa”.

Jednak właśnie wtedy, wśród tego błogostanu dojrzywała świadomość, że konieczna jest naprawa państwa. Pisma poświęcone programom reform politycznych, społecznych i gospodarczych ukazywały się już wcześniej, ale to właśnie za Augusta III zaczęło wzrastać pokolenie, którego myśl poruszały nie tylko polskie, lecz także zachodnioeuropejskie, oświeceniowe postulaty zmian.

Jaki stosunek do reform miał Stanisław August i jaka była reakcja sąsiadów na próby naprawy państwa?

Po śmierci Augusta III na polskim tronie zasiadł Stanisław August Poniatowski. Z jednej strony wspierali go krewni z rodu Czartoryskich, z drugiej caryca Katarzyna II. Nowy monarcha rozumiał potrzebę zmian (pewnych reform dokonano już na sejmie konwokacyjnym), jednak będąc człowiekiem ostrożnym, a może mądrym i świadomym tego, co możliwe (jego postać budzi wielkie emocje – jedni go cenia, inni potępiają), uznał, że zmiany należy wprowadzać drobnymi krokami i w porozumieniu z Rosją. Wiele zależało tu od dobrej woli carycy i jej ministrów, jednak także wśród nich opinie były różne. Widząc próby wprowadzania zmian (utworzenie Szkoły Rycerskiej, plany ograniczenia władzy hetmanów i podskarbich), kraje ościenne zażądały dopuszczenia do sejmu protestantów oraz prawosławnych, co wywołało spory wśród szlachty. Z inspiracji pruskiej i rosyjskiej zawiązano różnowiercze konfederacje, a Rosja rozpoczęła grę na dwa fronty, próbując popierać zarówno króla, jak i opozycję, w nadziei, że wewnętrzne tarcia uniemożliwią wprowadzenie reform. W obronie katolicyzmu, lecz także w imię sprzeciwu wobec wpływów rosyjskich zawiązano konfederację barską, a narastające napięcie w Rzeczypospolitej doprowadziło do ostrej reakcji dworów ościennych – doszło do I rozbioru.

Mocarstwa rozbiorowe zobaczyły, że ich działanie nie wywołuje żadnego przeciwdziałania ani w kraju, ani za granicą. Stało się tak, ponieważ Rzeczpospolita była słaba i naruszenie jej terytorium właściwie nie zmieniło układu sił w Europie. Państwo pozbawione sojuszników – a nie miało ich, gdyż w swej słabości nie stanowiło oparcia dla innych krajów – nie mogło się odwołać do niczyjej pomocy. Taka była cena osamotnienia.



W tej krytycznej sytuacji podjęto jednak próbę reform wzmocniających kraj. Na co liczyli słabi i osamotnieni?

W ciągu 15 lat sytuacja polityczna uległa zmianie. W 1787 r. Rosja i Austria postanowiły zaatakować Turcję. Stanisław August uznał, że nadszedł dogodny moment: zaproponował Katarzynie II, iż Rzeczpospolita ją wesprze, ale trzeba zebrać skonfederowany sejm i uchwalić podatki, by wystawić wojsko. Caryca przyjęła propozycję z dystansem, podobnie jak pomysł opozycji, by wojsko wystawić w oparciu o lokalne konfederacje, a króla zdeletonizować (polska opozycja często na to liczyła). Monarcha rozpoczął działalność propagandową: przypominał Jana III gromiącego Turków, wystawił mu pomnik w Łazienkach i nowy grobowiec na Wawelu. W Rzeczypospolitej chciano iść w ślady przodków i walczyć z bisurmanem. W 1788 r. zwołano sejm, a sytuacja Rosji pogorszyła się: z Turcją nie szło jej łatwo, a wojnę wypowiedziała carycy także Szwecja. W tej sytuacji z zapalem zaczęto mówić o zmianach w Rzeczypospolitej. W 1789 r. we Francji wybuchła rewolucja. Europejscy monarchowie ze zdziwieniem, odrazą i lękiem przypatrywali się wydarzeniom nad Sekwaną, które wyłączyły Francję z aktywnego udziału w polityce europejskiej.

Nad Wisłą nie było jednak zgody: król planował reformy, ale chciał działać delikatnie, nadal w oparciu o Rosję, zaś hetmani stojący na czele opozycji – rozświeczeni, bo królewskie plany zakładały, że to ich władza zostanie zniesiona – szukali wsparcia u carycy, chcąc utrzymania ustroju, który dawał im wpływy. Część zwolenników reform postanowiła zwrócić się o pomoc do Prus. Na tronie

zasiadał tam nowy władca – Fryderyk Wilhelm II. Uznano zapewne, że po śmierci cynicznego i pozbawionego skrupułów Fryderyka II jego następca musi być lepszy.

Prusy – zawsze ostrożne i prowadzące dalekowzroczną politykę – zaniepokoiły się na wieść o wybuchu wojny dworów cesarskich z Turcją. Kilkadziesiąt lat wcześniej zagarnęły należący do Habsburgów Śląsk i obawiały się wzrostu siły Wiednia. Myśl, że cesarz zapragnie zwrotu tych terenów, musiała napawać króla pruskiego lękiem. Ponadto Fryderyk Wilhelm II chciał zagarnąć Gdańsk i Toruń oraz część Wielkopolski. Można było to osiągnąć na dwa sposoby: zaatakować Austrię wraz z Rzeczpospolitą i dokonać wymiany – obszary zagarnięte przez cesarza powrócą do Polski, a ta odda sojuszniczym Prusom tereny na północy kraju albo skłonić Polaków, by w zamian za wsparcie oraz korzystny układ handlowy sami oddali te tereny. Prusy podały więc łaskawie rękę przeciwnikom Rosji i Stanisława Augusta. W 1790 r. podpisano sojusz, a jego zwolennicy nie dostrzegali, że Fryderyk Wilhelm II jest zainteresowany jedynie straszeniem Austrii i nabytkami w Rzeczypospolitej. Dogodnie dla niego, po śmierci Józefa II brat i następca tegoż Leopold II podpisał układ z Prusami i zakończył wojnę z Turcją. Król pruski osiągnął najważniejszy cel: zneutralizował cesarza. Teraz czekał na wynik wojen prowadzonych przez Rosję, ale poważnie zaniepokoił się na wieść o uchwaleniu Konstytucji 3 maja. Podobnie jak jego przodkowie bał się wzrostu siły Rzeczypospolitej. Tę obawę widać w pruskiej korespondencji dyplomatycznej.

Zwolennicy współpracy z Prusami liczyli na poparcie Fryderyka Wilhelma II, choć było nie do pomyślenia, że zaakceptuje on daleko idące reformy. Tymczasem sejm odrzucił pruskie roszczenia do Gdańska i Torunia, co rozwiązało królowi pruskiemu ręce. Nie zamierzał on tolerować zmian w Polsce, ale czekał na reakcję Rosji – co zresztą nie znaczy, że byłby wiernym sojusznikiem, gdyby jego żądania zostały spełnione. W 1791 r. skończyła się wojna szwedzko-rosyjska, a w kolejnym roku Wielka Brytania i Holandia zagroziły atakiem na Rosję. Prusy miały wziąć w nim udział, być może z pomocą Rzeczypospolitej, ale do wojny nie doszło. Rosja zakończyła wojnę z Turcją. Teraz miała zająć się sytuacją w Rzeczypospolitej.

Liczenie na pomoc Imperium Rosyjskiego, blokowanie reform, przekonanie, że Rosja będzie protektorem Rzeczypospolitej i gwarantem jej granic nie było szczytem naiwności politycznej?

Wroży wobec reform hetmani prosili o pomoc Rosję, by utracić wszelkie zmiany. Tak narodziła się targowica. Rozpoczęła się wojna o konstytucję, ale polska armia nie zdołała obronić kraju. Po klęsce pod presją carycy Stanisław August przystąpił do konfederacji. Według jednych miało to być upokorzenie za zdradę, której dopuścił się wobec niej (i jej interesów), według innych uczynił to w nadziei, że Rosja utrzyma protekcję nad Rzeczpospolitą, nie dopuści do kolejnego rozbioru, a nawet być może zezwoli na przeprowadzenie przynajmniej części reform.

Na to nie było jednak szans, gdyż Prusy pilnie śledziły sytuację i ani myślały rezygnować ze swoich planów terytorialnych. Ostatecznie doszło do II rozbioru. Austria, zajęta wojną z Francją, nie wzięła w nim udziału.

Czy gdyby konstytucję uchwalono wcześniej, mogłaby skutecznie wzmocnić państwo?

Ustawa zasadnicza zawierała jeden niebezpieczny dla Rzeczypospolitej element. Jej twórcy uznali – i był to powrót do planów snutych w XVII w. – że

najważniejsza jest rezygnacja z elekcji. Tron miał być dziedziczny – należeć do elektora saskiego Fryderyka Augusta, wnuka Augusta III, i pozostać w jego rodzie. Nie zapytano go, co sądzi o takim rozwiązaniu, a ten nie chciał się narażać żadnemu z silnych sąsiadów. W dodatku nie miał syna, lecz córkę i w Rzeczypospolitej z góry uznano, że to ona będzie następczynią ojca. Powstał problem: kto poślubi księżniczkę i wraz nią zasiądzie na polskim tronie? Jedni mówili, że arcyksiążę (Leopold II miał gromadkę synów), niektórzy wskazywali na synów króla pruskiego, jeszcze inni oglądali

Współpraca z obcymi monarchami za plecami własnego króla, która powinna być traktowana jako zdrada, w Rzeczypospolitej stała się czymś oczywistym i tolerowanym. Czasem można odnieść wrażenie, że Polacy uznali, że ich losy powinny rozstrzygać się nie tylko przy wsparciu cudzoziemskich królów, ale wręcz na obcych dworach

się na wnuków Katarzyny II. Żadne z tych państw nie mogło się zgodzić na małżeństwo księżniczki z przedstawicielem innego kraju, gdyż zaburzałoby to dotychczasową równowagę. Planując zaprowadzić dziedzicność tronu, czego tak się obawiano w przeszłości, gdyż mogło to wzmocnić króla Polski i umożliwić mu wprowadzenie *absolutum dominium*, twórcy konstytucji zaszkodził swemu dziełu. W wizerunku saskiej księżniczki na polskim tronie kryła się bowiem kość niezgody – rywalizacja o jej rękę, a tym samym o tron polski. Maria Augusta Ne-pomucena nigdy nie wyszła za mąż.

Jak pani ocenia polskie elity polityczne końca XVIII w., te, które doprowadziły do uchwalenia konstytucji? Czy miały wystarczające doświadczenie? Zakładały, że tylko silna gospodarczo i militarnie Polska może zachować miejsce na mapie Europy, ale czy nie było już za późno?

Wydaje się, że politycy czasów Sejmu Wielkiego nie przypatrywali się zbyt uważnie europejskiej scenie politycznej. Pozbawieni doświadczenia, a może także przenikliwości, nie umieli przejrzeć wszystkich elementów, które składały się na skomplikowaną grę prowadzoną nie tylko przez sąsiadów Rzeczypospolitej. Każde z państw miało własne interesy i zamierzało działać zgodnie z nimi, wykorzystując cudzą słabość. W polityce nie ma przyjaźni, nikt nikomu nie pomaga w imię wyższych wartości, liczą się jedynie własne korzyści. W swoim najlepiej pojętym interesie sąsiedzi Rzeczypospolitej zabiegali o to, by kraj pozostał słaby, sami zaś rośli w siłę i w dogodnej sytuacji dokonali rozbiorów. Gdy okazało się, że Polacy próbują podnieść się z upadku i przeprowadzić reformy – a zdecydowali się na to o wiele za późno – mocarstwa uczyniły wszystko, by im przeszkodzić. Ich monarchowie prowadzili pozbawioną skrupułów rozgrywkę polityczną, pilnując przy tym interesów własnych państw, co jest celem każdego władcy i męża stanu. Król pruski podpisał z Rzeczpospolitą sojusz, ale trwał, póki są korzystne dla obu stron. Prusy osiągnęły swoje cele, a reformy majowe uznały za niebezpieczne, zatem nie zamierzały ich wspierać. W polityce każdy musi pilnować swoich interesów i nieustannie weryfikować zamiary oraz dążenia zarówno sojuszników, jak i wrogów.

Prof. dr hab. Aleksandra Skrzypietz jest wykładowcą na Uniwersytecie Śląskim. Bada stosunki polsko-francuskie w XVII i XVIII w., funkcjonowanie dworu królewskiego w epoce nowożytnej, dzieje i znaczenie polityczne rodu Sobieskich, wpływ edukacji na kształtowanie postaw politycznych i obywatelskich. Wielokrotna stypendystka Fundacji Lanckorońskich.

Złoty dla zuchwałych

Przez kilka lat po odzyskaniu niepodległości po Polsce krążyło mniej więcej 10 walut, a w wielu miejscach radzono sobie nawet bez pieniędzy. Dopiero 100 lat temu w portfelach Polaków pojawiły się złotówki i wypada tylko mieć nadzieję, że będą w nich również przez kolejne stulcia



WOJCIECH ŁADA

Radość z odzyskania niepodległości była powszechna, ale raczej nie czczono tego wydarzenia zbyt hucznie. Ani pod koniec 1918 r., ani w ciągu kilku kolejnych lat po prostu nikogo nie było na to stać. Przetaczające się przez ziemie Polski fronty wojenne praktycznie zmiotły gospodarkę z powierzchni ziemi. Większość fabryk – o ile nie zostały zniszczone – zaborcy wywieźli do swoich krajów, a na wsiach było jeszcze gorzej. Dewastacja upraw miejscami sięgała 60 proc. „Zniszczeniu

uległo blisko 2 mln budynków. Z 27 tys. wsi Królestwa i Galicji w 5 tys. odnotowano poważne zniszczenia, a 1 tys. uległo całkowitej degradacji, głównie spopieleniu” – wyliczał Andrzej Chwałba. „Nasz kraj jest jednym obszarem zniszczenia, jednym polem głodu i jednym szpitalem” – potwierdzał świadek tej sytuacji, ekonomista Juliusz Zdanowski.

Ale problem stanowiły nie tylko zniszczenia. Praktycznie przez dwa kolejne lata utrzymywał się stan wojenny, skromne resztki budżetu pochłaniała więc armia. „Wydatki państwa wielokrotnie przekraczały dochody” – pisali Grzegorz i Anna Wójtowiczowie, to zaś oznaczało narastającą inflację. Do pierwszych miesięcy 1920 r. ceny rosły o ok. 16 proc. miesięcznie, później wskaźnik ten wzrósł do 18 proc. A był to dopiero początek inflacyjnej galopady. Jeśli w czerwcu 1923 r. ceny skoczyły

o blisko 50 proc. (w ciągu miesiąca), to w październiku skok ten wynosił już blisko 200 proc. W praktyce oznaczało to tyle, że – jak wyliczał Tadeusz Kałkowski – jeśli na początku 1918 r. chleb kosztował 3 marki, to w maju trzeba było za niego zapłacić 1 tys. marek. We wrześniu cena pieczywa wzrosła do 16 tys., zaś w grudniu do 96 tys.

„Gdy do końca 1919 r. wystarczał najwyższy banknot 1000-markowy, to do końca 1921 r. były potrzebne banknoty 5000 marek polskich, do końca 1922 już 50 000 marek i wreszcie do końca 1923 r. banknoty aż dziesięciomilionowe” – pisał Kałkowski.

Za ten ostatni banknot można było kupić wówczas ok. 1,5 dol.

WALUTA POD SPECJALNYM NADZOREM

Władysław Grabski kończył właśnie 50 lat. Był człowiekiem mocno zakorzenionym w epoce pozytywizmu. Jako zamężny ziemianin z Prus był naturalny sposób konserwatystą, ale wykazywał przy tym wręcz zaskakującą wrażliwość społeczną. Organizował szkoły dla najuboższych, kasy pożyczkowe. Dopóki środowiska endeckie były po prostu pragmatycznie patriotyczne, trzymał się w tym kręgu – odszedł, gdy przeszły na pozycje populistyczno-nacjonalistyczne, a zerwał z nimi całkowicie po zabójstwie Gabriela Narutowicza. Był typem człowieka, dla którego wymyślono słowo „przyszwoity”.

W 1924 r. pozostawał politykiem w zasadzie niezależnym i właśnie za to był ceniony. Postrzegano go po prostu jako dobrego fachowca – doskonale



wykształconego we Francji ekonomistę, w zasadzie jedyną osobę zdolną do postawienia gospodarki młodego państwa na nogi. Do tego czasu zdążył już być premierem, parę razy również ministrem skarbu, ale w praktyce niewiele to znaczyło – w tamtym czasie funkcje rządowe, podobnie jak walutę, trudno było traktować poważnie. W każdym razie żadna poważniejsza próba reform proponowana wcześniej przez Grabskiego nie przeszła politycznego sita, choć z pewnymi sukcesami usiłował uzdrawiać sytuację już wcześniej. Jednak teraz naprawdę było źle, bo galopująca hiperinflacja stawiała pod znakiem zapytania możliwość funkcjonowania państwa. Jak zauważali Wójtowiczowie, w zasadzie przestało istnieć zjawisko kredytu, a banki praktycznie straciły możliwość działania. W tej sytuacji sprawnie radziły sobie wyłącznie jednostki naturalnie obrotne i potrafiące wykorzystać luki prawne, a także z dużym przymrużeniem oka patrzące na prawo. Kwitł więc czarny rynek i związane z nim gangsterstwo – co tylko pogłębiało frustrację zarówno polityków, jak i resztę społeczeństwa. W 1919 r. powołano nawet Urząd do Walki z Lichwą i Spekulacją, mający dość szerokie uprawnienia.

Mało tego, z powodu powszechnej biedy wybuchały zamieszki, które osiągały poziom niemal rewolucyjny. 6 listopada 1923 r. w Krakowie wojsko otworzyło ogień do manifestujących robotników. W tamtych czasach nie było to czymś niespotykanym – zaskakujące i bardzo znamienne stało się jednak to, że nawet strzały nie powstrzymały desperacji robotników. „Zginęło ponad 30 żołnierzy i robotników, a trudna do ustalenia liczba osób cywilnych, żołnierzy i policjantów została ranna. Wojsko i policja poniosły także duże straty materialne w zgubionym lub zniszczonym sprzęcie” – pisał Czesław Brzoza. Tego samego dnia doszło do podobnych starć także w Tarnowie i Boryslawiu. Niewygodna prawda była bowiem taka, że pod sam koniec zaborów Polakom żyło się lepiej niż bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości.

Być może więc nie przypadkiem Grabski został premierem zaledwie nieco ponad miesiąc po wydarzeniach



Władysław Grabski

krakowskich. Jego rząd miał charakter pozaparlamentarny, a więc taki, za którego działania nie chciał brać odpowiedzialności żaden z klubów poselskich. Grabski przeźornie uzależnił więc swój wybór nie tylko od zgody na przeprowadzenie reformy, lecz także od przyznania mu nadzwyczajnych uprawnień – tak dużych, że w wielu kwestiach mógł po prostu zignorować opinię parlamentu. Ten zaś, zachowując czyste ręce, chętnie się na to zgodził. „Ze względu na powagę sytuacji parlament uchwalił 11 stycznia 1924 r. odpowiednią ustawę, i to nawet w szerszym zakresie, niż żądał tego premier, ale skrócił czas jej obowiązywania o połowę, to jest do 30 czerwca” – pisał Czesław Brzoza. Nie bez znaczenia był też fakt, że Grabski oprócz uprawnień otrzymał 1 mld franków szwajcarskich – był to jednorazowy podatek, który zgodzili się zapłacić najzamożniejsi Polacy. Uzbrojony więc w gotówkę i stosowne paragrafy mógł wreszcie przystąpić do działania.



I działał szybko. Dzięki bardzo ryzykownym, ale ostatecznie skutecznym zabiegom związanym z obrotem obcymi walutami już w lutym nie tylko inflacja nieznacznie wyhamowała, lecz także rząd zapewnił sobie dużą rezerwę w kwocie 55 trylionów marek polskich. Jego następnym ruchem było powołanie Banku Polskiego – jedynej instytucji mającej prawo emitowania banknotów. Aby uniezależnić tę instytucję od wpływów politycznych, otrzymała ona status spółki akcyjnej, a kwota, do której skarb – a więc politycy – mógł czerpać z pieniędzy z jej zasobów, została precyzyjnie ograniczona. Inaczej mówiąc, Bank Polski został instytucją niezależną od rządu.

Symbolicznym wyrazem wszystkich tych zmian było wprowadzenie do obiegu już następnego dnia złotych.

„LECH”, „PIAST”, A MOŻE „KOŚCIUŠKO”?

Tak naprawdę istniała już znacznie wcześniej. Za Jagiellonów „złotym” nazywano złote monety, najczęściej zagraniczne złote dukaty. Była to jednak wówczas raczej jednostka rozrachunkowa niż waluta. Jako taka złoty po raz pierwszy zaistniał w 1663 r. i przy zmiennej wartości przetrwał blisko 200 lat, a kres jego emisji nastąpił dopiero w 1841 r. W listopadzie 1918 r. mało kto już o tym pamiętał.

W dniu odzyskania niepodległości na terytorium Polski było w obiegu blisko 10 walut, bo oprócz różnych banknotów zaborczych, zakupy spokojnie można było zrobić też za dolary, funty i franki szwajcarskie. Najbardziej „polskie” były w tym zestawie niemieckie marki polskie – w ramach kookietowania Polaków w trakcie I wojny światowej miały nawet Białego Orła na awersie. Ponieważ były w obiegu również na okupowanych przez wojska niemieckie terenach zaboru rosyjskiego, to właśnie w oparciu o nie ostatecznie zdecydowano się przeprowadzić ujednolicenie waluty. I kto wie, może gdyby nie narastająca hiperinflacja, do dziś placilibyśmy markami.

Początkowy wybór marki na oficjalną walutę polską był podyktowany względami praktycznymi. Całkowita wymiana pieniądza na zupełnie nowy była

zbyt kosztowna, a przy okazji wprowadziłaby kompletny chaos u posiadających je i przyzwyczajonych do płacenia nimi Polaków. Ale był to kompromis, o złotówce myślano bowiem praktycznie od samego początku. Już pierwsze drukowane po odzyskaniu niepodległości marki miały napis: „Państwo polskie przyjmuje odpowiedzialność za wymianę niniejszego biletu na przysługującą polską walutę”. 5 lutego 1919 r. Józef Piłsudski wydał nawet dekret o wprowadzeniu nowej waluty, choć nie miała być jeszcze „złotym”, lecz „lechem”. Pomysłów było zresztą więcej, pod uwagę brano: „pola”, „sarmatę”, „piastą” i „kościuszkę”. Ostatecznie jednak Sejm 28 lutego zdecydował się na „złotego”, podważając tym samym wybór Piłsudskiego. „Jednostka monetarna polska ma nazwę »złoty«, którego setna część nazywa się »grosz« – zanotowano wówczas. Z rozpędu zlecono nawet we Francji druk odpowiednich banknotów. Do czasu, gdy znalazły się w portfelach Polaków, musiało minąć jeszcze pięć lat.

„Zgodnie z rozporządzeniem prezydenta Stanisława Wojciechowskiego z 14 kwietnia 1924 r. zadaniem Banku Polskiego było wprowadzenie nowej waluty. Do 1 lipca 1924 r. przeprowadzono wymianę pieniędzy. Za 1 800 000 marek otrzymywano 1 złotego, który »dzielił się na 100 groszy i miał wartość 0,3226 grama złota próby 900/1000« – podobnie jak frank szwajcarski. Za jednego dolara amerykańskiego płacono 5,18 złotego. Do obiegu trafiły banknoty, które – wydrukowane zawczasu za granicą – czekały gotowe od 1919 roku” – lapidarnie opisywała moment wejścia złotówki do obiegu Ewa Okłusnik.

ZŁOTY PONAD SYSTEM

Choć pod względem estetycznym markom polskim też niczego nie brakowało, trzeba przyznać, że pierwsze „złote” banknoty były bardzo ładne. Choć może cokolwiek zbyt monotematyczne – ze wszystkich nominalów spozierała mianowicie twarz Tadeusza Kościuszki. Ale też istotnie Kościuszką wciąż był wówczas zapewne najbardziej rozpoznawalnym w świecie Polakiem, choć sporą konkurencję zrobił mu w tej



kwestii choćby Fryderyk Chopin. Reters, rzecz jasna pozostawał poza dyskusją – przedstawiał orła w koronie. Ale tak po prawdzie były to jedyne elementy czysto narodowo-patriotyczne pierwszych „złotych” niepodległości. Jak na moment dziejowy, komunikat płynący z ich ikonografii był raczej ekonomiczny – przedstawiał Polskę jako kraj nowoczesny, rozwijający się i dążący przede wszystkim do wzrostu gospodarczego.

Szczególną uwagę przykuwał umieszczony na banknotach o nominalach 10 i 500 zł kaduceusz, czyli mitologiczna laska Hermesa – oprócz całego pakietu bardziej hermetycznych znaczeń – symbolizująca też handel, zaś wijące się wokół niej węże oznaczały mądrość i równowagę. Najbogatszą symbolikę ma dziesięciozłotówka. „Wokół kaduceusza umieszczono pęcznięcie od ziaren kłosy, z rogów obfitości wysypały się dojrzałe owoce, a solidne koło zębate zapowiadało pomyślny rozwój gospodarki” – opisywała Okłusnik.

Co prawda nie wiadomo, czy Polacy odczytywali tę złożoną symbolikę, choć ważniejszym pytaniem jest raczej to, czy mieli z czego ją odczytywać. Z tym niestety nie było najlepiej. Równa wartości franka szwajcarskiego i mająca pokrycie w złocie złotówka okazała się co prawda walutą stabilną, musiała jednak funkcjonować w warunkach wciąż bardzo niestabilnej gospodarki. Po kilku miesiącach względnego spokoju już w 1925 r. sytuacja znów zaczęła się pogarszać. Przyczyny były różne: słabe zbiory, spadek cen węgla

i cukru, wojna celna z Niemcami, a nawet sama stabilność waluty – okazało się, że inflacja, do pewnych przynajmniej granic, sprzyjała eksportowi.

Andrzej Jezierski i Cecylia Leszczyńska piszą o latach 1925–1927 jako o okresie „głębokiej recesji gospodarczej”, ale ze złotówką było jednak lepiej – ceny znów wzrosły, jednak tylko o 16 proc. i już w skali całego roku. Później złotego czekał jeszcze jeden wielki test, czyli globalny wielki kryzys gospodarczy z 1929 r., którego skutki były odczuwalne praktycznie do wybuchu kolejnej wojny. Był to ciężki test, a bieda okropna. Sama jednak złotówka zdążyła egzamin, co potwierdziło się w dwóch bardzo zaskakujących wydarzeniach. Po pierwsze, pozostała w obiegu także pod okupacją niemiecką. Po drugie, w dawnej formie weszła nawet w mroczne czasy stalinizmu.

„W 1943 r. w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii rozpoczęto prace mające na celu stworzenie po wojnie nowego systemu walutowego. W zorganizowanej w lipcu 1944 r. konferencji walutowej w Bretton Woods z udziałem 45 krajów uczestniczyła delegacja polska (rząd londyński). Umowy z Bretton Woods zostały później podpisane i ratyfikowane przez nowe władze w Polsce. Był to prawdopodobnie jedyny przypadek kontynuowania przez władze Polski Ludowej prac rozpoczętych przez władze emigracyjne” – pisali Wójtowiczowie.

Jak dotąd żadne zmiany systemowe i zawirowania historyczne nie zaszkodziły więc złotówce. Co będzie dalej? Zobaczmy sami. 





Kim naprawdę była Frida Kahlo



MAŁGORZATA WOŁCZYK

Nawet nie znając życia i dzieła meksykańskiej artystki, przywykliśmy już, że wizerunek kobiety o zrosniętych brwiach czyha na nas w wielu miejscach wcale niezwiązanych ze sztuką. Frida Kahlo stała się ikoną popkultury parę dekad po swojej śmierci. Czy rzeczywiście zasługuje na to, aby być uznawaną za jedną z najważniejszych artystek wszech czasów i wzór dla tzw. wolnych kobiet?

Fot. East News; robin.ph/Shutterstock.com

Wizerunek Fridy Kahlo należy obecnie do najczęściej reprodukowanych podobizn z krajów Ameryki Łacińskiej i wyprzedza w popularności nawet wizerunek Matki Bożej z Guadalupe. Fridomania, która ogarnęła również Polskę, wydaje się odmianą łagodnej pandemii, przed którą wszelako lepiej się jednak zaszczepić, przyjmując dawkę przypominającą fakty z życia malarki, a jakoś dziwnie przemilczane w broszurach wystawowych.

W ciągu zaledwie paru miesięcy mieliśmy Fridę Kahlo w warszawskich Łazienkach Królewskich i Fabryce Norblina. Kto żywy, bieży po biografie egzotycznej meksykanki lub związane z nią gadżety. Czy mają już państwo magnesik na lodówce z twarzą Kahlo? Jeśli nie, to znaczy, że jesteście bardzo odporni na stadne trendy. Nieladnie! Jak państwo śmia ignorować twarz, którą jest „symbolem siły kobiecej i niezłomnego ducha artystycznego”?! Zatem witam w klubie i zapraszam na przegląd mniej znanych faktów z życia malarki.

WSTYDZIŁA SIĘ SWOJEGO POCHODZENIA

Na pierwszy rzut oka wszystkie jej autoportrety są nużąco podobne: orgia żywych barw jej stroju i twarz, która patrzy na nas smutnym lub nieprzeniknionym spojrzeniem. Intrygujące, że samą siebie prezentowała z lekkim wąsem, którego, jak wiadomo, nie chciała ani zgolić, ani zaniechać w reprodukowaniu na kolejnych płótnach. W owym czasie wąsy były nie tylko symbolem męstwa wśród meksykańskich macho, lecz także sposobem, aby udowodnić, że jest się metysem, a nie pogardzanym „cholo”, czyli potomkiem Indian, którym natura poskąpiła zarostu.

Frida Kahlo robiła wszystko, aby przekonać świat, że jest prawdziwą Meksykanką, w dodatku bliską ludowi pracującemu miast i wsi. Tu zaś widzimy kłamstwo numer jeden (czy też celowe przemilczanie), ponieważ była ona... Niemką po mieczu, a Metyską po kądzieli. Jej ojciec to Carl Wilhelm Kahlo, urodzony we Frankfurcie nad Menem w bogatej luterńskiej rodzinie. Podróż do Meksyku opłacił mu ojciec, aby uwolnić rodzinę od napiętych relacji syna z jego kolejną żoną. Wilhelm opuścił Niemcy i zamieszkał w Meksyku, gdzie przybrał imię Guillermo. Pracował

jako fotograf rządowy i prasowy, więc nie było mu ciężko wyżywić siedmioro dzieci, choć dwójki z pierwszego małżeństwa pozbył się nader szybko, wypychając córki do internatu. Przyszłej matce Fridy Matyldzie miał się oświadczyć tej samej nocy, w której zmarła jego pierwsza żona na skutek komplikacji porodowych.

Magdalena Carmen Frida Kahlo y Calderón urodziła się jako jego szóste dziecko, a mieszanica jej genów była dość wybuchowa. Nie bez powodu jej chłopak z młodości Alejandro Arias powiedział, że jej osobowość była tak sprzeczna i różnorodna, iż „można powiedzieć, że Frida było wiele”. Ona sama celowo zmieniła rok urodzin z 1907 na 1910 i wcale nie po to, aby się odmłodzić, ale aby wybuch rewolucji meksykańskiej patronował jej życiu od narodzin.

Wolność miała być naczelnym pragnieniem dziewczyny, która od małego musiała stawiać czoła wielu wyzwaniom: chorobie polio, rozpoznanej gdy miała 6 lat, i straszemu w skutkach wypadkowi drogowemu we wczesnej młodości, który spowodował pęknięcie kręgosłupa i miednicy w trzech miejscach oraz zmiażdżenie nogi. Ta tragedia uniemożliwiła jej na ponad rok, a jednocześnie uczyniła artystką. Matka zamontowała jej przy łóżku lustro, sztalugę do malowania w pozycji leżącej i tak narodziła się Frida malarka. Gdyby jednak to właśnie ta nieprzeciętna wola walki z przeciwnościami losu miała ją uczynić tak ikoniczną i godną podziwu dla współczesnego świata, byłoby łatwiej poszukać jej wśród kanonizowanych heroin. Jednak Frida Kahlo miała modną wówczas alergię na woń kadzideł i Kościół, choć jej matka była głęboko wierzącą osobą. Być może bardziej wpłynęła na nią atmosfera lewicowej kuźni kadr, w której uczyła się do wypadku, marząc o karierze lekarki. W każdym razie to nie wewnętrzna siła do walki z chorobami czy talent malarski wyniosły ją na piedestał popkultury. Tu zaś dochodzimy do kłamstwa numer dwa, czyli Fridy jako ikony feminizmu.

MAŁO FEMINISTYCZNE OBSESJE

Ledwie bowiem Kahlo stanęła na nogi po rehabilitacji, pobiegła ze swymi obrazami do najsłynniejszego w owym czasie malarza, muralisty Diego River, aby w oczach grubiańskiego macho i kobieciarza uzyskać potwierdzenie swej wartości. Starszy

o 21 lat Rivera, już dwukrotnie żonaty, potwierdził wartość jej dzieł i jej samej, zapraszając ją najpierw do łóżka, a potem żeniąc się z nią. Nie w Kościele, bo dwójce uzdolnionych „lewaków” owego czasu ołtarze kojarzyły się jak najgorzej. Od momentu spotkania malarka dostała prawdziwej obsesji na punkcie River, z którą żyła aż do śmierci.

Ładny mi feminizm, który przemilcza absolutne emocjonalne uzależnienie kobiety od faceta i podporządkowanie życia swemu macho. W dodatku macho o gabarytach Obeliksa, bo pod względem aparycji i charakteru przypominał raczej monstrum. Z powodu jego sukcesu malarzskiego możemy „podziwiać” obleśnego Riverę na licznych zdjęciach w pantalonach podciągniętych niemal pod pachy. Ona lubiła w nim ponoć krągłości i duże piersi, on zaś nie pozwalał jej golić wąsów, bo przydawały jej męskości. Jak jednak zapewniają admiratorzy Kahlo, „była to piękna miłość aż po grób”, nawet jeśli latami zdradzali się na lewo i prawo, przy czym ona również w konfiguracjach biseksualnych.

To niedostępne dla normalna „piękno” należy zatem wytłumaczyć. Frida zdradzała ukochanego męża z mężczyznami i kobietami, ale jemu przeszkadzały wyłącznie jej zdrady heteroseksualne. Ona zaś bezradnie godziła się na zdrady Diego z niemal każdą modelką, która pojawiła się w jego pracowni. Dopiero romans z jej siostrą Cristiną Kahlo znokautował ją trwale i spowodował separację. Dodajmy, że rozwód trwał do czasu powtórnego małżeństwa tej toksycznej pary. To nieco skomplikowane, ale artyści cenią sobie tak nietypową miłość, w dodatku oboje podziwiali światową ojczyznę komunizmu, a sierp i młot towarzyszył im nawet na ślubie.

Z Fridy zrobiono więc feministkę, choć nią nie była ani tym bardziej nie zamierzała być. Jej stan zdrowia skłonił ją do malowania, tyle że ból i względny dobrobyt uczyniły ją egocentryczną artystką i ma to odzwierciedlenie w obrazach: ona sama i jej ból są dla niej prawie jedynym tematem. Nic dziwnego, że w czasach selfie i pokolenia „płatków śniegu” Frida wydaje się tak ciekawą postacią.

Co jednak ważniejsze w kontekście współczesnego feminizmu – Frida przez całe życie marzyła o dziecku, a konkretnie o urodzeniu małego „Dieguito”. Owszem, we wzmiankach podaje się do

wiadomości o jej „trzech aborcjach”, przy czym tylko pierwsza odbyła się wskutek decyzji Kahlo, i to za wskazaniem lekarzy, którzy obawiali się o jej życie. Dwa pozostałe przypadki to były już samoistne poronienia. Świadcstwo jej niepodogdzenia się ze stratą dziecka stanowi jej obraz pt. „Szpital Henry’ego Forda”. Frida przedstawiła motywy, które połączyła czerwoną nitką krwi (lub może pępowiną) utrzymaną w dłoni. W centrum obrazu malarka jest ukazana nago w pozycji leżącej, powyżej mały „Dieguito”, którego właśnie straciła, choć przypominający prekolumbijskiego bożka. Zakrwawiona, zapłakana i zupełnie bezbronna kobieta na tle odległych fabryk Detroit wyraźnie nie ma ochoty krzyczeć: „Aborcja jest OK!”, bo cały ten porażający obraz mówi coś wręcz przeciwnego. Lewicowcy wiedzą jednak, co ukryć, a co wydobyć, aby Frida stała się twardą feministką, nawet jeśli jej całe życie było niespełnionym pragnieniem o macierzyństwie.

KOMUNISTKA PŁAWI SIĘ W KAPITALIZMIE

Najważniejsze dziś zapotrzebowanie, która spełnia Frida, to chyba fakt, że była biseksualna, a romansowała m.in. z tancerką Josephine Baker. Odniosła ogromny sukces komercyjny, bo malowała kolorowe obrazy pełne egzotyki, kwiatów i samej siebie. To tłumaczy jej powodzenie nawet po 70 latach od śmierci i liczbę followersów na Twitterze.

W 2002 r. na ekrany kin wszedł film Julie Taymor pt. „Frida” z Salma Hayek w roli głównej. Można poczytać w paru językach, jak ludzie wciąż ją hołubią, choć niekoniecznie już potrafią sformułować, za co dokładnie. Tu więc pojawia się wątpliwość numer trzy, czy aby przypadkiem Frida nie zakorzeniła się w zbiorowej wyobraźni głównie dzięki swej tzw. lewicowej wrażliwości. Złośliwi mówią, że nabyła ją tylko dlatego, że jej „ukochany ropuch” – jak nazywała swego męża – był żarliwym komunistą. Oboje nienawidzili „jankeskiego kapitalizmu”, choć zawdzięczali mu wszystko: popularność, zyski, a nawet możliwość leczenia Fridy w amerykańskich szpitalach.

Znali niemal wszystkich artystów tego czasu: André Bretona, Picassa, Fordów,

Rockefellerów, Siergieja Eisensteina, Ilję Erenburga, Modiglianiego, Apollinaire’a. W 1933 r. Nelson Rockefeller zlecił Diego Riverze namalowanie muralu w holu wejściowym Rockefeller Center (symbolu kapitalizmu). Artysta zakupił ze swego zleceniodawcy i zamieścił tam m.in. portret Lenina. Rockefeller uznał to za osobistą zniewagę i nakazał zniszczenie muralu. Walka Diego i Fridy z okrutnym kapitalizmem nie zna innych ofiar oprócz malowidła, za które Rivera zainkasował jednak swoje. Malarka tak bardzo podziwiała komunistów, że aby odzyskać swego

Frida robiła wszystko, aby przekonać świat, że jest prawdziwą Meksykanką, w dodatku bliską ludowi pracującemu miast i wsi. Tu zaś widzimy kłamstwo numer jeden (czy też celowe przemilczanie), ponieważ była ona... Niemką po mieczu, a Metyską po kądzieli

komunizującego Diego (który wówczas owszem, kochał szczerze i namiętnie, ale jej siostrę Cristinę), wdawa się w romans z samym przywódcą rewolucji październikowej, twórcą Armii Czerwonej – Lwem Trockim. Rewolucjonista, którego Stalin wydalil ze Związku Sowieckiego w 1929 r., dzięki mediacji Diego Rivery przed prezydentem Lázaro Cárdenasem, zamieszkał z żoną Natalią Siedową w Casa Azul w Coyoacán, domu podarowanym mu przez Riverę i Kahlo.

W ŁÓŻKU Z TWÓRCĄ IV MIĘDZYNARODÓWKI

Ponoć Trockiego pociągało żywiołowe zaangażowanie Kahlo w doktrynę marksizmu-leninizmu, ale jego małżonce nie podobano się poszerzanie kręgów wyznaczn, więc wyprowadzili się do sąsiedztwa.

Mimo zabezpieczeń i obstawy towarzyszy zemsta Stalina szybko dopadła Trockiego. Zabójca Ramón Mercader wcześniej spotkał się też z Kahlo, co postawiło ją w centrum uwagi śledczych. Policja aresztowała ją i przesłuchiwała przez 12 godzin, a jej dom splądrowano, szukając dowodów. Przez pewien czas krążyły plotki, podsyłane przez samego Diego, że on sam w celu ponownego przyjęcia do partii komunistycznej uzyskał azyl dla Trockiego właśnie po to, aby pomóc go wyeliminować.

Lewica i tak euforycznie pokochała Fridę: „Feministka, która miała odwagę się rozwieść i nie przeproszała za to, kogo zaprasza do łóżka. Lewicowa intelektualistka broniąca praw Indian” – czytamy w „Gazecie Wyborczej”. W wyniesieniu jej na piedestał nie przeszkadza jej nic – a raczej pomaga fakt, że była nienasycona w łóżku. Jej słynne zdanie: „Trzeba się kochać, potem wziąć kąpiel i znów się kochać” jest tym, co przyćmiewa defekty w biografii Kahlo. Nawet magazyn mody „Vogue” zachwycił się jej czarnym wąsem: „A ten zarost, daleki od umniejszania kobiecości, może być tak interesujący i wyrazisty, jak tylko sobie można wymarzyć. Jej osobowość nadal jest tak samo magnetyczna, jak zyski z obrazów”.

Tu dotykamy sedna, bo skoro obrazy Fridy kolekcjonuje Madonna i Salma Hayek, a na licytacjach osiąga astronomiczne sumy, to znak, że trzeba podziwiać tę „prekursorkę selfie”. Czy była symbolem wolności? Przeczy temu finał jej życia. Z powodu gangreny konieczna była amputacja nogi, co pogrzeżyło ją w depresji, a ta doprowadziła ją do prób samobójczych z pomocą opiatów i alkoholu. Ostatnia próba samobójstwa była udana, Frida zmarła w Coyoacán 13 lipca 1954 r. Jej szczątki pochowano w Pałacu Sztuk Pięknych w Meksyku, a trumnę przykryto flagą partii komunistycznej. Dla jednych była wolna, bo żyła jak chciała i uwolniła się od cierpienia. Dla innych po prostu zdezerterowała z życia, bo nie umiała się w nim odnaleźć, trwając w toksycznym związku, wiecznym żalu po stracie dzieci i w bólu fizycznym. Jej sztuka tak naprawdę pokazuje kobietę rozpaczliwie nieszczęśliwą w barwnych dekoracjach zakrywających pustkę i firmament bez Boga i nadziei.

Gotowa na zmiany

Widzieć ją na ekranie i na czerwonych dywanach. Zendaya umie wykorzystać swój czas. Jest aktorką i producentką. Idolką swojego pokolenia. Teraz o niej głośno przy okazji kinowej „Diuny” i premiery filmu „Challengers”



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

W marcu Zendaya opublikowała zdjęcia z Igą Świątek. Spotkała się z polską tenisistką w ramach promocji najnowszej kinowej produkcji. Gra w niej była gwiazdą kortów, wpisaną w elektryzujący trójkąt uczuciowy. A ponieważ w kreowaniu okolefilmowych sytuacji jest mistrzynią i od kilku tygodni – w różnych medialnych okolicznościach – nieustannie nawiązuje do swojej najnowszej ekranowej roli, pojawiła się też na jednym z tenisowych wydarzeń.

TURNIEJ GWIAZD

Finał turnieju WTA 1000 w Indian Wells w stanie Kalifornia (w którym Iga Świątek pokonała Marię Sakari) gwiazda obu części „Diuny” obserwowała ze swoim partnerem, aktorem Tomem Hollandem. Są równolatkami (oboje rocznik 1996). Poznali się na planie przebojowej produkcji o człowieku-pająku – „Spider-Man: Homecoming” (2017), w której Zendaya zadebiutowała na dużym ekranie. Potem był „Spider-Man: Daleko od domu” (2019) i „Spider-Man: Bez drogi do domu” (2021). Stali się zgranym duetem nie tylko na ekranie.

Najpopularniejsza dziś hollywoodzka para pogratulowała Idze Świątek wygranej w turnieju. Panie wymieniły się też uprzejmościami w mediach społecznościowych: „To była czysta przy-

jemność móc cię poznać i oglądać, jak grasz. Ogromne gratulacje” – napisała Zendaya.

JAK CIĘ WIDZĄ

Aktorka, która od kilku tygodni medialnie przebywa w świecie tenisa, przyzwyczaiła fanów, że na premierach filmów, w których gra, pojawia się w kreacjach nawiązujących do tematyki produkcji. A ponieważ uroczyste pokazy są organizowane w różnych zakątkach świata – od Australii przez Europę – więc widzów można zaintrygować niejednym strojem. Zendaya, mająca także doświadczenia modowych wybiegów, znakomicie odnajduje się w takiej formie promocji.

Na potrzeby trasy filmu „Challengers” powstała cała kolekcja inspirowana tenisowym stylem. I tak np. uczestnicy premiery w Sydney mogli podziwiać zieloną błyszczącą kreację z wizerunkiem serwującej tenisistki. W Mediolanie aktorka prezentowała się w śnieżnobiałej sukience mini z rozkloszowanym dołem i wyciętą górą, uzupełnioną kołnierzykiem. W Wielkiej Brytanii wystąpiła w białej sukni udekorowanej małymi kokardkami oraz cekinami układającymi się w kształt skrzyżowanych rakiet tenisowych, a wypełnienie rozcięcia spódnicy nawiązywało do siatki na korcie.

IKONA STYLU

Od początku dorosłego etapu kariery Zendaya łączy granie z modową pasją. Jej metamorfozy, a także wycieczki stylu doceniają branżowe media i magazyny, zapraszając aktorkę do prestiżowych sesji (także okładowych) i pokazów, jak również współpracy przy projektowaniu odzieży.

Wiosną 2019 r. Zendaya wypuściła swoją pierwszą kolekcję (wraz z Tommym Hilfigerem), nazwaną TommyXZendaya. W 2021 r. otrzymała nagrodę Fashion Icon organizacji CFDA jako najmłodsza laureatka tej statuetki. Była również twarzą marki Valentino, a teraz promuje wyroby Lancôme, Louis Vuitton, Smartwater, Maison i Bulgari.

W PODZIĘCIE

Zendaya wydaje się mieć znakomite wyczucie nie tylko trendów, lecz także okoliczności i zawodowych okazji. Potrafiła wykorzystać czas, w którym do pierwszoplanowych ról dopuszczono ciemnoskórych aktorów (jej matka Claire Stoermer jest pochodzenia szkocko-niemieckiego, ojciec Kazembe Ajamu Coleman to Afroamerykanin).

Jej imię nawiązuje do afrykańskiego języka shona i oznacza „w podziękę”. Ale Zendaya, co podkreślają jej współpracownicy, nie tylko potrafi być wdzięczna (co przekłada się m.in. na jej naturalny, niegwałtowny sposób zachowania). W to, co robi przed kamerami, wkłada maksimum zaangażowania, pracy i artystycznego doświadczenia, zdobywanego od najmłodszych lat.

Karierę w showbiznesie zaczęła od występów jako dziecięca modelka w reklamówkach. Ze sceną oswajała się, występując zarówno w zespole hip-hopowym i grupie muzycznej Kidz Bop, jak i w spektaklach California Shakespeare Theater, którego menedżerką była jej matka. Jako 14-latką zagrała główną rolę w serialu Disney Channel „Taniec rządzi” (2010–2013), a potem (nagrywając także albumy i teledyski) przechodziła do kolejnych projektów stacji, m.in.

„K.C. Nastoletnia agentka” (2015–2018), którego była też współproducentką.

ODWRÓCENIE RÓL

Po latach stwierdziła w jednym z wywiadów: „Bardzo wcześnie stałam się żywicielem rodziny i nastąpiło odwrócenie ról w moim życiu. Jako dziecko po prostu stałam się osobą dorosłą. Czułam, że muszę być tą idealną i odpowiedzialną istotą, którą wszyscy chcieli widzieć. I spełniałam te oczekiwania”.

Jak wcześniej wspomnieliśmy, 20-letnią Zendayę wprowadziła do kina produkcja Marvela „Spider-Man: Homecoming” (2017). Po niej aktorka dołączyła m.in. do obsady „Króla rozrywki” (2017), gdzie w roli artystki na trapezie sama wykonała większość akrobacji, a także zaśpiewała trzy piosenki (jedna z nich otrzymała nawet nominację do Oscara).

Złotego Globa 2023 (rok wcześniej nagrodę Emmy) odebrała za rolę w serialu „Euforia” (2019, 2022). Umacniała hollywoodzką pozycję, towarzysząc na ekranie Spider-Manowi, a także wpisując się w kasowy sukces – najpierw pierwszej (z 2021 r.), a potem drugiej części widowiskowej, pustynnej „Diuny”.

KOLEJNY ROZDZIAŁ

Teraz przyszedł czas na kolejny rozdział w jej karierze. W filmie „Challengers”, którego jest także producentką, gra bohaterkę pokazaną w szerszym przedziale czasowym. Tashi poznajemy jako świetnie zapowiadającą się nastoletnią tenisistkę, której karierę przerywa kontuzja. Potem widzimy ją jako trenerkę, przygotowującą męża (gra go Mike Faist z nowej wersji „West Side Story”) do startu w tytułowym turnieju. Ku zaskoczeniu obojga przeciwnikiem na korcie ma być dawny przyjaciel mężczyzny (w tej roli Josh O’Connor znany z roli księcia Karola w „The Crown”), zarażem byli chłopak Tashi.

Miedzy trójką bohaterów rośnie nie tylko sportowe napięcie. Film jest zapowiadany jako opowieść pełna namietności (pokazanych też dosłownie w scenach erotycznych) oraz skomplikowanych ludzkich relacji.



Charakteryzując swoją bohaterkę, Zendaya podkreśla, że „pierwszą miłością Tashi jest tenis”. „To on dał jej siłę i władzę. Zrobił z niej osobę, którą jest teraz” – mówi aktorka. „Mogę się z tym utożsamić, bo w znaczącym stopniu poznałam swoją tożsamość poprzez pracę. Kiedy z powodu kontuzji Tashi nie może już robić tego, co ją określa, musi znaleźć sposób, który pomoże jej zdefiniować się na nowo. Z całych sił stara się nad wszystkim panować, kontrolować uczucia, dostawać w życiu to, czego chce i potrzebuje. Ale nie jestem pewna, czy wie, do czego to prowadzi. Uważam, że wiele kobiet ujrzy w Tashi siebie” – dodaje.

NA OCZACH WIDZÓW

Twórcy filmu zwracają uwagę, że w „Challengers” Zendaya po raz pierwszy zagrała matkę i żonę. Na oczach widzów, na ekranie, nastolatka zmienia się w kobietę tuż po trzydziestce.

Reżyser Luca Guadagnino podkreśla jeszcze jedną kwestię: „Wiele lat przed nakręceniem tego filmu poznałem Zendayę na jakiejś imprezie. Przez cały wieczór siedziałem obok niej. Byłem zafascynowany tą młodą kobietą, która przyciągała uwagę tłumów, ale jednocześnie była całkowicie autentyczna i pełna wdzięku”. I taka jest ponoć nadal.

Filmowe podróże

Na świecie coraz bardziej popularna staje się turystyka śladami bohaterów współczesnej kinematografii



GRZEGORZ GÓRNY

Akcja najnowszego serialu Netflixa „Ripley” rozgrywa się w malowniczym włoskim miasteczku Atrani. Tydzień po premierze filmu liczba rezerwacji w tej nadmorskiej miejscowości wzrosła o 100 proc. To świadectwo coraz bardziej rozpowszechnionego zjawiska: ludzie chcą odwiedzać miejsca, które znają z ekranu. Idąc tym tropem, przedstawiam swój subiektywny przegląd tego typu lokalizacji.

1. „GANG OLSENA” (KOPENHAGA)

Kiedy pierwszy raz byłem w Kopenhadze, moi gospodarze postanowili pokazać mi wyjątkowe miejsce, które – jak mówili – przeszło do historii jako scena słynnych wydarzeń, choć nie rzeczywistych, a odgrywanych przez aktorów. „Czyżbyśmy mieli jechać do zamku Helsingor?” – pomyślałem. Oczami wyobraźni widziałem już twierdzę Kronborg, wznoszącą się nad cieśniną Sund, gdzie Szekspir umiejscowił akcję swojego „Hamleta”. Zamiast tego podjechalśmy jednak pod więzienie. „Dania jest więzieniem” – przyszło mi do głowy.

Staliśmy przed bramą zakładu karnego i wtedy nagle przypomniałem sobie, skąd znam ten budynek. To właśnie w tym miejscu zaczynały się kolejne odcinki „Gangu Olsena”, gdy szef organi-



zowanej grupy nieudaczników kończył odsiadanie wyroku, wychodził na wolność i spotykał przed bramą swych kompanów, mając już w głowie nowy genialny plan uczynienia ich milionerami. W tym miejscu też kończyły się odcinki, gdy po nieudanym skoku Egon Olsen wracał do swej celi.

Więzienie Vridsløselille Fængsel w Kopenhadze powstało w 1859 r. Od początku obowiązywał w nim „system kalifornijski”, polegający na całodobowej izolacji więźniów, by w samotności mieli czas i możliwość przemyślenia swego życia oraz pojednania z Bogiem.

Zakazane były jakiekolwiek rozmowy i kontakty między osadzonymi. Jeśli opuszczali cele, musieli zakładać na twarz maski, by nie rozpoznali ich inni więźniowie. W ten sposób nikt z odbywających karę nie znał swoich towarzyszy. Najsłynniejsza ucieczka stąd miała miejsce w 1995 r., gdy ładowarka kołowa z rozpędem wjechała w mury więzienia, burząc ściany i wybijając 13-metrowy otwór. Zbiegło wówczas 13 więźniów. Gdy w 2004 r. zmarł odtwórca głównej roli w filmie Ove Sprogøe, władze miasta nazwały ulicę wiodącą do zakładu karnego imieniem Egon Olsena.

2. „KEVIN SAM W DOMU” (CHICAGO, WINNETKA)

Chicago to miejsce akcji wielu kultowych amerykańskich filmów, zwłaszcza gangsterskich. Wśród nich są np. „Nietykalni” Briana de Palmy z Kevinem Costnerem, Seanem Connerym, Robertem de Niro i Andy Garcią w rolach głównych. W pamięci widzów utkwiła zwłaszcza scena strzelaniny na schodach stacji metra z dziecięcym wózkiem mknącym po stopniach w dół. To hold złożony Siergiejowi Eisensteinowi i jego „Pancernikowi Potiomkin”, w którym pojawia się pamiętna scena na schodach w Odessie, gdzie również występuje pędzący w dół wózek z dzieckiem w środku. Wspomniane stopnie w Chicago można zobaczyć przy wejściu do Union Station.

Najwięcej przyjezdnych chce jednak zobaczyć inny obiekt: rezydencję rodziny McCallisterów, w której rozgrywa się akcja komedii „Kevin sam w domu”. Budynek znajduje się na przedmieściach metropolii, w miejscowości Winnetka, przy Lincoln Avenue 671. Często ujrzeć można przed nim turystów robiących sobie selfie. Dom zbudowany w 1921 r. jest prywatną własnością, w 2015 r. posesja została ogrodzona płotem i nie ma na nią wstępu. Jego cena rynkowa wynosi ok. 2 mln dol. Inne filmowe lokalizacje, w których był Ke-



vin, np. sklep, lodowisko czy kościół, są położone w pobliżu tego miejsca.

3. „RZYMSKIE WAKACJE” (RZYM)

Jeśli chodzi o liczbę filmów nakręconych w miejskim plenerze, to z Chicago śmiało mógłby konkurować Rzym. Po „Aniołach i demonach” z 2009 r. z Tomem Hanksem w roli głównej przewodnicy zaczęły oprowadzać turystów szlakiem przygód głównego bohatera, historyka-detektywa Roberta Lang-

dona. Na ich trasie znalazły się m.in. takie miejsca, jak Panteon, bazylika Santa Maria Del Popolo, Zamek św. Anioła, kościół Santa Maria della Vittoria czy Fontanna Czterech Rzek przy Piazza Navona.

Po raz pierwszy podobna mania miała miejsce w Wiecznym Mieście znacznie wcześniej, bo po 1953 r., gdy nakręcono komedię „Rzymskie wakacje” z niezapomnianymi rolami Gregory Pecka i Audrey Hepburn. Była to pierwsza amerykańska produkcja w całości nagrana we Włoszech. Jako sceneria romantycznej akcji posłużyły takie lokacje, jak m.in. Schody Hiszpańskie, Forum Romanum, Fontanna di Trevi, Plac Wenecki czy bazylika Santa Maria in Cosmedin, gdzie Gregory Peck zaimprovizował gag, udając, iż marmurowy maskaron Usta Prawdy odgryzł mu dłoń. Nieświadoma niczego Audrey Hepburn była naprawdę przerażona. Kamera sfilmowała jej reakcję, która przeszła do historii światowego kina.

4. „PASJA” (MATERA)

We Włoszech znajduje się niezliczona liczba miejsc, które stały się plenerami głośnych filmów. Jednym z najbardziej urokliwych jest zbudowane z białego kamienia miasto Matera, które zagrało Jerozolimę w „Pasji” Mela Gibsona. To właśnie jego uliczkami przebył drogę krzyżową James Caviezel, który wcielił





5

się w rolę Jezusa. Przechadzając się po tamtejszych placach i zaułkach, bez trudu rozpoznawałem plenery, w których rozgrywała się ekranizacja historii znanej nam z Ewangelii. Szczególne wrażenie robi Golgota, położona na wzgórzu oddzielonym od miasta głębokim wąwozem.

Nic dziwnego, że Matera ze względu na swe podobieństwo do antycznej Jerozolimy była scenerią takich filmów biblijnych, jak m.in. „Ewangelia według Mateusza” Piera Paolo Pasoliniego, „Maryja” Abela Ferrary, „Boże Narodzenie” Catherine Hardwicke czy „Maria Magdalena” Gartha Davisa.

5. „BRAVEHEART. WALECZNE SERCE” (TRIM)

Innym głośnym dziełem Mela Gibsona, które przyniosło mu Oscara za film i reżyserię, było „Braveheart. Waleczne serce” z 1995 r. Choć opowiada ono historię bohatera narodowego Szkocji Williama Wallace’a, to zdjęcia były kręcone w Irlandii. Scenerią kluczowych była największa warownia w tym kraju, czyli pochodzący z początków XII w. zamek w Trim. Jego malownicze ruiny są dostępne dla zwiedzających.

Gdy wychyliłem się przez jedno z okien tej fortecy, przypomniałem sobie, że to właśnie z tego miejsca filmowy król Edward I wyrzucił na zamkowy bruk książęcego doradcę, który próbował udzielać mu wojennych rad.

6. „KONESER” (HAGENBERG)

Inny zamek, który może utkwić na długo w pamięci, to Hagenberg w Au-

stirii – miejsce akcji filmu „Koneser” z 2013 r. w reżyserii Giuseppe Tornatorego. Wnętrze tego XVII-wiecznego gmazyszka jest pełne zabytkowych mebli, obrazów i innych dzieł sztuki. Okazuje się, że wiele z nich zostało zagrabionych i wywiezionych z Polski przez Gruppenführera SS Otto von Wächtera – zbrodniarza wojennego, który podczas okupacji był gubernatorem dystryktu krakowskiego i Dystryktu Galicja, odpowiedzialnym za eksterminację ludności żydowskiej i polskiej.

W 1986 r. jego syn Horst nabył Hagenberg, dokąd przeniósł kolekcję ojca. Osobą, która zdobyła zaufanie właściciela zamku, a następnie ujawniła mroczne tajemnice austriackiej rodziny, była Magdalena Ogórek – autorka książki „Lista Wächtera. Generał SS, który ograł Kraków”.

7. „QUANTUM OF SOLACE” (BREGENCJA)

Kiedy w 1990 r. po raz pierwszy odwiedziłem Bregencję nad Jeziorem Bodeńskim, duże wrażenie zrobiła na mnie tamtejsza opera ze sceną na wodzie i widownią mogącą pomieścić 7 tys. osób. Stała się ona miejscem jednej z najciekawszych akcji w 22. części przygód Jamesa Bonda. Wystawiony tam spektakl Pucciniego „Tosca” okazał się przykrywką dla sekretnej spotkania członków przestępczej organizacji Quantum, którzy wtopieni w zasłu-



8

chane audytorium porozumiewali się między sobą podczas przedstawienia za pomocą miniaturowych nadajników. Choć wyglądali na zapatrzonych w sztukę melomanów, w rzeczywistości omawiali plany swych tajnych operacji. Bond zdobył jedno z ich urządzeń, dzięki czemu odkrył tożsamość wpływowych przestępców.

Tym, co przyciągnęło reżysera Marca Forstera do Bregencji, było olbrzymie oko o szerokości 50 m i długości 25 m, będące elementem scenografii „Toski”, którą podczas 26 spektakli obejrzało tam łącznie 180 tys. widzów. Dla Forstera stanowiło ono metaforę filmów o Bondzie, dlatego akcję „Quantum of Solace” postanowił umiejscowić nad Jeziorem Bodeńskim. W filmie poka-



7

Fot. Shutterstock



zono fragmenty oryginalnego przedstawienia, a na widowni zasiadło 1,5 tys. statystów.

8. „HARRY POTTER” (OKSFORD)

W Oksfordzie chciałem koniecznie zobaczyć kilka miejsc. Przez tydzień mieszkalem w tym samym domu w Littlemore, w którym z anglikanizmu na katolicyzm przeszedł św. Henry John Newman, wieczorami chodziłem do pubu The Eagle and Child, gdzie lubili przesiadywać i prowadzić ze sobą długie dyskusje Tolkien i C.S. Lewis, czasami udawałem się do kościoła uniwersyteckiego i siadałem w ławce pod amboną, z której głosił swe płomienne kazania bł. Jan Duns Szkot.

Moje upodobania różnią się jednak od preferencji większości turystów z całego świata, dla których główną atrakcją w Oksfordzie pozostają miejsca związane z ekranizacją książkowej sagi o Harrym Potterze. Najbardziej poціąga ich uczelniana jadalnia w Christ Church College, która była Wielką Salą w Szkole Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie. Jedno jest pewne: to naprawdę magiczne miejsce.

9. „TRZEJ MUSZKIETEROWIE” (LWÓW)

W Związku Sowieckim kręcono wiele filmów, których akcja rozgrywała się w Europie Zachodniej. Dlatego tamtejsi producenci musieli szukać

w swoim kraju plenerów, które przypominałyby oryginalne miejsca. W Rydze pokazywano mi konkretne lokalizacje, w których w latach 1971–1973 nagrywano serial „Siedemnaście mgnień wiosny”, znany jako przygody Stirlitza. Ze wszystkich miast w ZSRS stolica Łotwy była bowiem najbardziej podobna do Berlina.

Gdy w 1978 r. Gieorgij Jungwald-Chilkievicz nagrywał trzyczęściowy film płaszcza i szpady „D’Artagnan i trzech muszkietierów”, nie miał problemów z wytypowaniem miejsca. Jego wybór padł na Lwów, który najbardziej przypominał Paryż. Każdy, kto w miarę dobrze zna stolicę Galicji, bez problemu rozpozna scenerię poszczególnych akcji: pałac Potockich to Luwr, św. sobór Jura to kwatery muszkietierów, Kasyno Szlacheckie (obecnie Dom Uczonych) to pałac kard. Richelieu, zaś krużganki katedry ormiańskiej to miejsce pojedynku d’Artagnana z Atosem, Portosem i Aramisem.

10. „IGRZYSKA ŚMIERCI. BALLADA PTAKÓW I WĘŻY” (WROCŁAW)

Najnowsza część „Igrzysk śmierci” była kręcona m.in. na Dolnym Śląsku, np. w Boguszowie-Gorcach, nad zalewem w Grzędach czy na zboczach góry Chelmiec. Jednak miejscem kluczowych zdjęć była Hala Stulecia we Wrocławiu, wybudowana przez Niemców w 1913 r. z okazji 100. rocznicy bitwy



pod Lipskiem, w której wojska koalicji antynapoleońskiej (w tym pruskie) pokonały armię Bonapartego. Po II wojnie światowej, gdy Wrocław po sześciu wiekach powrócił do Polski, nazwę obiektu zmieniono na Halę Ludową. Budynek stał się centralnym punktem zorganizowanej w 1948 r. Wystawy Ziem Odzyskanych, którą w ciągu 100 dni zwiedziło ok. 2 mln ludzi. Przedsięwzięcie okazało się wielkim sukcesem propagandowym peerelowskich władz. Wynikało to z faktu, że większość mieszkańców Polski, nawet tych niechętnych wobec komunizmu, popierała granicę państwa na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Jedną z imprez towarzyszących wystawie był Światowy Kongres Inteligentów w Obronie Pokoju, na który przybyła rzesza lewicowych twórców z całego świata, m.in. Pablo Picasso, Julian Huxley, Bertolt Brecht czy Fernand Léger. Celem wydarzenia było promowanie na Zachodzie ruchu pacyfistycznego, który hamowałby amerykańskie prace nad bronią jądrową, ponieważ w tym czasie Związek Sowiecki nie wyprodukował jeszcze własnej. Podczas kongresu doszło do ideologicznego starcia, które omal nie zerwało obrad. Powodem było wystąpienie przewodniczącego sowieckiej delegacji Aleksandra Fadijewa, który zaatakował całą zachodnią kulturę, mówiąc m.in.: „Gdyby szakale mogły się nauczyć pisać na maszynie, gdyby hieny umiały władać piórem, to, co by tworzyły, z pewnością przypominałoby książki Millerów, Eliotów, Malraux i innych Sartre’ów”. Słowa godne dzisiejszych putinowskich propagandzistów.



Chińsko-amerykańska wojna pod białą-czerwoną flagą

150 m. Tyle dzieli Stany Zjednoczone od Chin. Jak to możliwe? W Gdyni przy Nabrzeżu Helkim, jednej z najpiękniej położonych przestrzeni industrialnych w Polsce, działają dwie firmy. Jedną z nich jest GCT, od 2005 r. kontrolowana przez Hutchison Port Holdings, firmę z Hongkongu. Druga to BCT – Bałtycki Terminal Kontenerowy, który w 2003 r. kupił filipińska korporacja ICTSI. Obie toczą wojnę handlową, w której niebagatelną rolę odgrywają media alarmujące o „zagrożeniach” dla Polski, NATO i naszego bezpieczeństwa



ARTUR CEYROWSKI

Ten tekst nie jest próbą analizy zagrożenia, czy chińska obecność w gdyńskim porcie jest realnym zagrożeniem dla polskiego i europejskiego bezpieczeństwa. To zadanie dla polityków, którzy muszą ocenić długofalowe skutki chińskiej obecności w polskiej gospodarce. Warto mieć jednak szerszy obraz tego, co naprawdę dzieje się w gdyńskim porcie. Zwłaszcza że sprawa wzbudza ogromne emocje w mediach.

LOKALNE ECHA GLOBALNEJ WOJNY

3 kwietnia 2024 r. serwis Politico opublikował artykuł, w którym alarmował, że „chińska firma w gdyńskim porcie budzi obawy związane z bezpieczeństwem”. Autorami tekstu byli Wojciech Kość, dziennikarz związany z OKO.press i holenderski reporter Jeremy Van der Haegen. Pochodzenie drugiego autora



jest o tyle ważne, że dużą częścią wspomnianego artykułu był raport sygnowany przez Toma Berendsena, holenderskiego posła do Parlamentu Europejskiego.

Za pośrednictwem Onetu i serwisu Polskiej Agencji Prasowej tekst Politico przedrukowano w większości portali internetowych. Jego autorzy, cytując raport niderlandzkiego euro-parlamentarzysty, alarmowali, że „firma z Hongkongu kontroluje terminal kontenerowy GCT, kluczową część portu w Gdyni, co budzi obawy dotyczące bezpieczeństwa narodowego”.

Dziennikarze przypominali, że w pobliżu doku, przy którym GCT dzierżawi nabrzeże, jest rozładowywane m.in. uzbrojenie dla Ukrainy. Faktycznie, ogromna większość płynącego do Polski lub Ukrainy uzbrojenia trafia przez Gdynię za pośrednictwem BCT – Bałtyckiego Terminala Kontenerowego. Wy-

ładowywany jest tu sprzęt pochodzący nie tylko ze Stanów Zjednoczonych. Dla przykładu 6 grudnia 2022 r. w tym samym miejscu odebrano pierwsze czołgi K2 i armatohaubice K9 w ramach umów zawartych z Koreą Południową.

Podobnych dostaw sprzętu w ramach NATO było w Gdyni więcej. Z oczywistych względów nie o wszystkich można napisać. Ważne jest jednak to, że nie byłyby one możliwe, gdyby nie fakt, że zarówno BCT, jak i leżący naprzeciwko GCT posiadają kod identyfikujący firmę w tzw. Systemie Kodyfikacyjnym NATO (NCAGE Code – NATO Commercial and Government Entity Code).

DZIÓB

GCT chwali się na swojej stronie, że „w lutym 2021 r. spółce Gdynia Container Terminal Sp. z o.o. został przydzielony kod 9A8LH” identyfikujący firmę we wspomnianym systemie. W skrócie – jest to informacja o tym, że dany podmiot został zaaprobowany przez armię i spełnia wszystkie standardy stawiane dostawcom przez NATO.

Skąd więc ten alarm podniesiony przez Politico? Zacytujmy jeszcze jeden fragment wspomnianego tekstu: „Obawy dotyczące bezpieczeństwa nie ograniczają się tylko do kwestii bliskości położenia obiektu Hutchison Port Holdings do kluczowych zasobów wojskowych NATO i Polski w porcie, ale także do możliwości ingerencji firmy w dostępność portu [...] W sierpniu w sąsiedztwie GCT miał zostać wyładowany sprzęt dla armii amerykańskiej. Jednak dziób statku wystawał na ok. 50 m w głąb strefy, którą dzierżawi Hutchison Port Holding i firma odmówiła zgody na rozładunek. Władze portu w Gdyni próbowały interweniować w celu znalezienia rozwiązania, jednak ostatecznie do przeładunku sprzętu wojskowego nie doszło”.

W mediach nie ma dokładnych komunikatów dotyczących tej sprawy. Są jedynie informacje ogólne oraz publikowane tu i ówdzie przecieki, które pokazują tę sytuację w nieco innym świetle. Tak np. relacjonował tę sprawę red. Wojciech Jakóbiak na portalu Biznes Alert: „Gdynia odbiera transporty wojskowe NATO i dostawy dóbr na Ukrainę, odpierając inwazję Rosji na Ukrainie. »Gazeta Polska«

ustaliła, że 7 sierpnia do portu w Gdyni zawinął okręt Cape Ducato mający zabrać sprzęt wojskowy. Jednak przed wejściem do portu miało dojść do incydentu. Spółka kontrolowana przez chiński Hutchinson nie zgodziła się na cumowanie przy jej terenie. Potem zgodziła się za opłatą, która według rozmówców »Gazety Polskiej« była stawką zaporową. Problem został rozwiązany przed wypłynięciem Cape Ducato”.

Fakty były takie, że Cape Ducato ostatecznie zacumował przy terminalu kontenerowym BCT w Gdyni i został tam przez pięć dni. W czasie jego pobytu w porcie widoczna była otwarta pochylnia, pozwalająca przemieszczać pojazdy na otwarty pokład górny. Być może istniały inne powody, dla których nie informowano o szczegółach tej misji.

W tekście Politico (i w późniejszych publikacjach w innych mediach) są cytowani przedstawiciele polskich władz, którzy wypowiadają się na ten temat. Pada kilka okragłych zdań o „bezpieczeństwie Polski” i parę słów o tym, że „wszystkie kwestie są analizowane”.

W tekście wypowiadał się także Tony Housh, przewodniczący rady dyrektorów Amerykańskiej Izby Handlowej, który wyraził opinię, że operator GCT za mało płaci za dzierżawę terenu. Narzekał, że niekorzystna dla Polski umowa chińskiego operatora z portem ma obowiązywać aż do 2089 r. Nie rzucił twardych oskarżeń, ale dość umiejętnie rozpałał wyobraźnię: „Wszystko wskazuje na to, że chiński podmiot płaci tylko 1 proc. tego, co inni z tytułu działalności w tak strategicznym obszarze”.

Warto się tu na chwilę zatrzymać, bo to nie pierwsza wypowiedź Housha w sprawie gdyńskiego portu. W czerwcu 2023 r. wysłał on nawet list do marszałka Senatu, w którym domagał się „większych regulacji prawnych w sprawie nieruchomości pozostających w granicach portów morskich”. Zwłaszcza w przypadku tych firm, które „nie dzielą z Polską demokratycznych wartości oraz oddania dla bezpieczeństwa narodowego”. Trudno o bardziej wyraźny przykład lobbingu, w którym kwestia bezpieczeństwa staje się po prostu kartą przetargową dla biznesu.

Bliska współpraca biznesowa Stanów Zjednoczonych z Filipinami nie jest tajemnicą. Oba państwa są sojusznikami od wielu lat, w 2014 r. podpisały

porozumienie o wzmożonej współpracy obronnej (EDCA). Na jego mocy USA uzyskały dostęp do części filipińskich baz wojskowych.

PORT

Przed tekstem opublikowanym przez Politico w mediach wielokrotnie pojawiały się materiały, w których przestrzegano przed chińskim biznesem w gdyńskim porcie. Wystarczy zacytować ich tytuły, żeby wiedzieć, co stanowiło ich istotę. Kwiecień 2022 r., Wirtualna Polska: „Gdynia w pazurach smoka. Chińskie oczy i uszy w porcie pod szczególnym nadzorem”. Grudzień 2023 r., Wirtualna Polska: „Małe Chiny w środku Gdyni. Port nadal na celowniku Pekinu”. Grudzień 2022 roku, o2: „»Gdynkong« się nie powtórzy. NATO pilnuje polskiego portu”.

Podobnych tekstów było więcej, wiele z nich miało tego samego autora. Niektóre zawarte w nich tezy i fragmenty były wprost przeniesione do tekstu w Politico. Publikacje w tej sprawie często pojawiały się w mediach przed ważnymi rozstrzygnięciami i przetargami, które zapadały na terenie gdyńskiego portu.

Dla wielu osób znających temat nie jest tajemnicą, że gdyńska wojna, choć jest odbiciem szerszego sporu toczącego się w całej Europie, ma też wymiar lokalny. Jest on oczywiście związany z budową portu zewnętrznego, arcyważnej inwestycji, której kluczowym i dominującym elementem będzie nowy terminal kontenerowy o wstępnie zakładanej przepustowości na poziomie 2,5 mln TEU rocznie (TEU to jednostka miary pojemności ładunkowej używana do opisu kontenerowców i terminali. Odpowiada kontenerowi o długości 20 stóp – 6 m i szerokości 8 stóp – 2,40 m). By zdać sobie sprawę z tego, o co toczy się gra, warto wspomnieć, że głębokowodny terminal kontenerowy w Gdańsku, czyli Baltic Hub, w 2022 r. obsługiwał nieco ponad 2 mln TEU. Tym samym stał się największym portem kontenerowym na Bałtyku. To właśnie z powodu gdańskiej konkurencji jeszcze w 2016 r. GCT i BCT planowały fuzję, aby lepiej i skuteczniej rywalizować z rozwijającym się portem w Gdańsku.

Kto będzie operatorem i budowniczym nowej gdyńskiej inwestycji? Tego nie wiadomo i o to toczy się gra, której echa słyszymy w mediach. Poza wymiarem lokalnym jest też znacznie szerszy, związany z obawami o ekspansję chińskiego kapitału w portach morskich w Europie.

Wróćmy do wspomnianego raportu niderlandzkiego posła Berendsen, na podstawie którego przygotowano tekst opublikowany przez serwis Politico. Podobne konkluzje zawarł on w raporcie sporządzonym dla Parlamentu Europejskiego, w którym wskazywał: „Musimy uznać nasze porty, zwłaszcza te wymienione w planach TEN-T, za infrastrukturę krytyczną, byśmy byli lepiej przygotowani do monito-

„Firma z Hongkongu kontroluje terminal kontenerowy GCT, kluczową część portu w Gdyni, co budzi obawy dotyczące bezpieczeństwa narodowego” – napisano w raporcie

rowania inwestycji i zapobiegania niepożądanym wpływom podmiotów zagranicznych”.

Zanim Berendsen został europarlamentarzystą z ramienia chadecji, pracował w Brukseli jako lobbysta dla władz jednego z regionów w Holandii. Później był także zatrudniony przez PricewaterhouseCoopers (PwC). Ta ostatnia jest firmą audytorsko-doradczą i formalnie nie zajmuje się lobbieniem. Nie ukrywa jednak, że usługi, które świadczy dla swoich klientów, mogą „wchodzić w zakres ustaw o lobbingu” w niektórych państwach. Zostawmy jednak na boku intencje holenderskiego europosła. Być może jego aktywność wynika z autentycznej i bezinteresownej troski o dobrostan biznesowych rywali Chińczyków.

DRUGIE DNO

Wszak gra toczy się o miliardy euro wymiany handlowej między Chinami a Unią Europejską. Tylko w 2021 r. było to 223 mld euro w eksporcie i 472 mld euro w imporcie. Dodatkowo Chiny nieustannie rywalizują ze Stanami Zjednoczonymi o status głównego partnera handlowego UE. Nie jest tajemnicą, że ogromna część eksportowanych do Unii towarów przechodzi przez porty morskie. Chińskie firmy operują nie tylko w Gdyni, lecz także w portach w Grecji, Niemczech, Holandii, Belgii, Hiszpanii, Szwecji i we Włoszech.

Warto przytoczyć fragment tekstu Mirosława Ogrodniczuka, komandora rezerwy, byłego szefa Oddziału Analiz i Użycia MW i Oddziału Operacyjnego w DG RSZ, który na portalu Polon.pl odniósł się do opisywanej tu „wojny handlowej” w jednym z wspomnianych wyżej tekstów publikowanych przez Wirtualną Polskę.

„Niestety, w tej całej »awanturze« zachodzi uzasadnione podejrzenie, że sprawa ma drugie, ukryte przed oczami opinii publicznej, znaczenie. Trudno bowiem traktować poważnie niektóre z przedstawianych zarzutów. »Teren chińskiej firmy może posłużyć do prowadzenia nasłuchów i działalności szpiegowskiej«. Owszem, może posłużyć, ale przypomnijmy, że Gdynia Container Terminal (GCT) został oddany do użytku w czerwcu 2006 r., czyli ponad 17 lat temu i jakoś nikt wcześniej tej kwestii nie podnosił i sam terminal nie stanowił zagrożenia. »W bezpośrednim sąsiedztwie znajduje się największa baza Marynarki Wojennej i Stocznia Wojenna PGZ«. Owszem, znajdują się. Ale przecież one tam są od dziesięcioleci i przez te dziesięciolecia przepływały obok statki wszelkich bander, w tym rosyjskie czy chińskie i nikt jakoś nie zgłaszał pretensji. [...] Stąd też oczekiwanie, że działalność biznesowa Portu Gdynia ma się dostosować do działalności operacyjnej MW jest oderwane od ekonomicznej rzeczywistości. O ile Chińczycy zachowują bardzo chłodną głowę i starają się nie angażować medialnie w kwestiach wysięgu o zarządzanie Portem Zewnętrznym, o tyle Amerykanie wytoczyli najcięższe działa, łącznie z NATO i relacjami sojuszniczymi” – napisał kmrdr Ogrodniczuk.



Historia projektu PFNteam100

Prezentujemy państwu jeden z najważniejszych projektów Polskiej Fundacji Narodowej. Poprzez program stypendialny PFNteam100 mamy realną możliwość wsparcia młodych sportowców reprezentujących kil-

kadziesiąt dyscyplin olimpijskich i paraolimpijskich. Każdy medal zdobyty przez beneficjenta programu PFNteam100 to odrębna historia sukcesu osiągniętego dzięki samodyscyplinie i poświęceniu, pasji, ciężkiej pracy i nieustannemu rozwojowi.

Jako zespół Polskiej Fundacji Narodowej jesteśmy dumni, że możemy wspierać polskich olimpijczyków i paraolimpijczyków, którzy reprezentując nasz kraj na arenie międzynarodowej, stają się sportowymi ambasadorami Polski.

Autorski program stypendialny



PFNteam100 to autorski program stypendialny dla sportowców rozwijających swoje zdolności. Jego zamierzeniem jest bezpośrednie i pozazwiązkowe wsparcie rozwoju kariery młodych zawodników oraz realizacji ich sportowych marzeń. W ramach projektu team100, a następnie PFNteam100 Polska Fundacja Narodowa wsparła aż 433 sportowców reprezentujących 49 dyscyplin olimpijskich i paraolimpijskich, przyczyniając się do zdobycia przez nich 582 medali na mistrzostwach Europy oraz świata. W tej liczbie mieści się

także dziewięć medali olimpijskich i siedem paraolimpijskich, wywalczonych przez beneficjentów Fundacji. Z realizowanego przez PFN programu stypendialnego skorzystały gwiazdy światowego sportu, takie jak tenisistka Iga Świątek, lekkoatletka i lekkoatleci Sofia Ennaoui, Ewa Swoboda, Pia Skrzyszowska, Natalia Kaczmarek, Joanna Mazur, Konrad Bukowiecki, Patryk Dobek, Maciej Lepiato, reprezentująca łyżwiarstwo szybkie Natalia Maliszewska czy skoczkowie narciarscy Aleksander Zniszczoł, Andrzej Stękała i Klemens Murańka.

Profesjonalna kariera sportowa wiąże się na ogół z olbrzymimi nakładami finansowymi. Zarówno koszty sprzętu oraz treningów, jak i pomocy specjalistów czy samego udziału w zawodach często przekraczają możliwości finansowe wielu sportowców, niejednokrotnie stając się przyczyną spowolnienia lub wręcz całkowitego wyhamowania ich kariery. PFNteam100 był pierwszym programem w Polsce, którego celem było uruchomienie stypendiów dla utalentowanych, polskich sportowców – członków kadry narodowej. Nasz program pozwolił na łączenie sportowej kariery z nauką, podnoszenie swych kwalifikacji, a zarazem godne reprezentowanie kraju na arenie międzynarodowej. O unikalności projektu decydowało to, że jego beneficjenci sami decydowali o przeznaczeniu otrzymanych środków. W zależności od potrzeb mógł to być zatem zakup sprzętu, treningi, suplementacja, wsparcie medyczne, wynajem mieszkania czy udział w zawodach.

Elementem programu były także istotne dla biorących w nim udział sportowców zasady, które potwierdzali swoim podpisem pod Kodeksem Etycznym, zobowiązującym zawodników do kierowania się zasadami fair play podczas rywalizacji, godnego reprezentowania Polski w kraju i poza jego granicami oraz dbania o dobre imię naszej ojczyzny. Tym samym nasi sportowcy stawali się ambasadorami Polski, którzy swoimi osiągnięciami i postawą promowali nasz kraj na świecie.

W związku z sukcesem programu w 2022 r. projekt PFNteam100 został przekazany do Ministerstwa Sportu i Turystyki.





Fot. Materiały prasowe

Nowa formuła projektu

Początkowo program PFNteam100 zakładał pomoc jedynie zawodnikom reprezentującym dyscypliny olimpijskie, jednak w 2022 r., po przekazaniu jego głównego trzonu do ministerstwa, postanowiono rozszerzyć projekt o zawodników innych dyscyplin sportowych. Jednym z pierwszych beneficjentów nowej formuły programu został kierownik rajdowy Mikołaj Marczyk, uchodzący za jednego z najlepszych polskich rajdowców młodego pokolenia. W 2019 r. „Miko” jako najmłodszy zawodnik w historii zdobył tytuł mistrza Polski w rajdach samochodowych. Wraz ze swym pilotem Szymonem Gospodarczykiem należy do zespołu PFNteam100. Panowie wygrywali wielokrotnie, choćby Rajd Barbórka – najważniejszą z imprez rajdowych w Polsce.

Mikołaj Marczyk podsumował naszą wspólną działalność następującymi słowami: „Podjęcie współpracy z Polską Fundacją Narodową to dla mnie zaszczyt i bardzo ważne wsparcie przy organizacji debiutanckiego sezonu startów w Rajdowych Mistrzostwach Świata WRC2. Narodowe wsparcie wpisuje się także w moją misję osiągnięcia jak najlepszych wyników i reprezentowania Polski na arenie międzynarodowej wśród zawodników z całego świata. Jako Polak jestem dumny z reprezentowania biało-czerwonych

barw za granicą, dlatego cieszę się, że dzięki wsparciu Polskiej Fundacji Narodowej będę mógł osiągać lepsze wyniki”.

W 2023 r. do grona beneficjentów programu dołączyła dwójka nowych sportowców – Maja Dziarnowska, brązowa medalistka windsurfingowych Mistrzostw Europy 2022 w klasie iQFoil, oraz Wiktor Przyjemski, drużynowy mistrz świata juniorów na żużlu w 2022 r. Warto zaznaczyć, że Maja Dziarnowska, od 2009 r. w polskiej kadry narodowej, wystartuje na XXXIII Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu w 2024 r., z kolei Wiktorowi Przyjemskiemu przypisuje się talent na miarę Tomasza Golloba czy Bartosza Zmarzlika. Już korzystając z nowej odsłony programu stypendialnego PFNteam100, żuźlowiec sięgnął po tytuł Indywidualnego Mistrza Europy Juniorów do lat 19, wraz z kolegami triumfował także w finale Drużynowych Mistrzostwach Świata Juniorów. Nasz żuźlowiec ma na swoim koncie także triumfy w Drużynowych Mistrzostwach Europy Juniorów oraz Mistrzostwach Europy par juniorów.

Te przykłady pokazują, że mimo zmiany formuły program stypendialny Polskiej Fundacji Narodowej nie traci znaczenia, stanowiąc dla polskich sportowców trampolinę w drodze do zawodowego sukcesu, zaś dla kibiców szansę na radość ze sportowych sukcesów naszych biało-czerwonych reprezentantów.

Realizacja projektu PFNteam100 nie byłaby możliwa bez naszych darczyńców. Dlatego składamy serdeczne podziękowania fundatorom Polskiej Fundacji Narodowej: PKO BP S.A., Enei S.A., Enerdze S.A., GPW S.A., Grupie Azoty S.A., KGHM Polska Miedź S.A., Grupie LOTOS S.A., PKN ORLEN S.A., PGE S.A., PGNiG S.A., PGZ S.A., PHN S.A., PKP S.A., PWPW S.A., PZU S.A., Tauronowi Polska Energia S.A. oraz Totalizatorowi Sportowemu Sp. z o.o.

CODZIENNIE CZYTAJ WIĘCEJ NIŻ INNI



WYBIERZ SUBSKRYPCJĘ 50% TANIEJ!

- **wszystkie zamknięte artykuły na wpolityce.pl**, również te w sekcji Premium+ – to ok. 1 300 tekstów rocznie!
- **pełne e-wydanie tygodnika [SIECI](#)** wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 20:00 – to kolejne ok. 1 700 tekstów rocznie!
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na

www.siec.wpolityce.pl/oferta



ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

Tryptyk o utopiach



Obietnice składane w imię postępu nie mają szans na spełnienie. Przynoszą najwyżej degradację kultury, wiarę w zbarwienie przez technologie, a chrześcijaństwo zamieniają w jego własną parodię. Bronisław Wildstein przestrzega przed utopiami, bo ofiarami ich iluzji jesteśmy wszyscy



MACIEJ WALASZCZYK

Publikacja pierwszych sztuk teatralnych Bronisława Wildsteina wzbudziła irytację lewicowo-liberalnej krytyki. Tym większą, że TVP ośmieliła się wystawić jedną z nich, czyli „Komediantów”. Wyrażano pretensje, że w ogóle je tworzy, że są przewidywalne, postaci zbyt ostro rysowane, no i polityczne. Krytyczne teksty oczywiście nie były motywowane politycznie. W posłowie do najnowszego wydania swoistej trylogii zawierającej „Komediantów, czyli Konrad nie żyje”, „Adwent” i „Cyrograf” Wojciech Kudyba przypomina, że Wildsteina się nie czyta, tylko zwalcza. Powrót do łask salonów, którymi cieszył się jeszcze 30 lat

temu, prowadzi przecież wyłącznie drogą, którą przeszedł Szczepan Twardoch, a kroczy Tomasz Terlikowski choćby swoimi wynurzeniami o dylematach Judasza. Na szczęście Bronisław Wildstein podąża w przeciwnym kierunku, z pasją uprawiając swój literacki ogród.

Mamy więc w jednym miejscu trzy dystopijne reportaże z przyszłości, w części jednak odbijające w krzywym zwierciadle to, czego doświadczamy już teraz. Z założenia farsy, ale zabawne tylko do pewnego stopnia. To raczej przynębiająca wizja, która od dekad wkracza do naszego życia, szczególnie po upadku PRL. Niewielu to dostrzegало, ale na szczęście dziś jest inaczej, czego dowodzą choćby te trzy sztuki teatralne. „Komedianci” już teraz są uniwersalną opowieścią o upadku teatru pod ciosami jego reformatorów, często zwykłych grafomanów lub koniunkturalistów, sówicie opłacanych z publicznych środków, wspieranych przez środowiskowe układy. Ich istnienie

jest uzależnione wyłącznie od tego, czy mają jeszcze kogo obrażać, co zdewastować i postawić na głowie.

Wildstein wymyślił sobie bunt w teatrze, w „Komediantach” padają granice estetyki i kultury, ale cyrki w Teatrze Dramatycznym w Warszawie pod wodzą dyrektora Strzępki przekroczyły jego filozoficzno-artystyczną wizję, pełną literackich odniesień i planów interpretacyjnych. W tej farsie, która działa się naprawdę, brali udział wszyscy: aktorzy i dyrekcja, media, politycy i publiczność. „Tygodnik Powszechny” z dumą obwieszczał, że Teatr Dramatyczny znów jest zwiastunem zmian zachodzących w społeczeństwie, „Wysokie obcasy” apelowały, by zbadać, co się wydarzyło i „nie sztydzić z idei”. Oczywiście pod jej płaszczykiem ukryła się przemoc, chamstwo i zwykła głupota, w dodatku na koszt tych, których się obraża.

Trzy lata temu rozpoczęły się szturm na wschodnią granicę naszego państwa.

Wieszczona przez specjalistów wojna hybrydowa, będąca intermezzo agresji na Ukrainę i jednym z elementów podboju Europy przez imigrację o charakterze kolonizacyjnym, stała się faktem. Imigrację wspiera polityka i wielki biznes, ale toruje ona sobie drogę rozbudzeniem w nas poczucia winy, przewrotnie odwołuje się do chrześcijańskich powinności. Kościół posoborowy, skupiony na człowieku, szczególnie w czasach papieża Franciszka jest obezwładniany ideą tolerancji przebranej w kostium miłosierdzia. Autor porusza ten temat w „Adwencie”. To przypowieść o tytułowym czasie oczekiwania na narodziny Jezusa, którego kulminacją następuje w wigilię jego narodzenia i wolnym miejscu przy stole przeznaczonym dla samotnych bez domu. Kościół, którego autorytet został osłabiony aferami, rozkładany doktrynalnie od wewnątrz, skupiony na doczesności i kuszony wizją pogodzenia się ze światem, który oferuje mu znów miejsce na panteonie, symbolizuje zagubioną na Podlasiu parafia kierowana przez księdza zesłanego tam w wyniku afery obyczajowej. Prowokacją, wzmocnioną medialną nagonką i ludzką słabością. Pod presją przewrotnego Feliksa Pielgrzyma parafia godzi się na samobójczy krok. Miejsce przy stole mają zająć przemyczone przez granicę imigranckie dzieci, a faktycznie są nimi dorośli muzułmańscy najeźdźcy. Kościół idzie z dymem, parafie zajmują organizacje humanitarne, miasto terroryzują lewicowe bojówki, wszędzie przemoc, a okielznanie kryzysu wywołanego ideą świata bez granic przynosi jeszcze większą despotę. Jedyna nadzieja w odbudowie wiary, nawet na gruzach świątyni i z garstką wiernych. Nadzieja w Zmartwychwstaniu.

Wildstein w swoich sztukach wprawia w ruch figury już skądś znane. Raz jest to Konrad w postaci nieszczęsnego dyrektora teatru, bohaterowie szekspirowskiej „Burzy” czy Gombrowicza, a w „Cyrografie” wkraczają na scenę filozofowie. Przenosimy się nawet do paryskiej kawiarni Les Deux Magots, w której przesiadywali Camus czy Sartre, ale spotykamy też Freuda, Trockiego i nazistów w imitacji wiedeńskiej Café Central. Skoro tam przy kawie i torciku dojrzewała rewolucja, to i w niej podpisany jest dziś cyrograf

mający przypieczętować losy ludzkości. „Cyrograf” jest najciekawszy z całej trójki, jego fabułę wypełnia sporo filozoficznych aluzji i kontekstów, a bohaterowie spierają się na argumenty przechowywane w zbójniach teologów i metafizyków, ateistów, sceptyków i materialistów.

Tajna policja śladem Woltera ściga Boga za to, że dopuszcza w świecie zło, poszukuje go w doświadczeniach mistyków, dogmatów, a nawet tajemnicy transsubstancjacji. Światem manipuluje demoniczny Serpens, którego „wirtualną agencją jest świat”, a więc zaczerpnięta niczym z „Matriksa” braci Wachowskich (dziś siostr po korekcie płci.) Wirtualna Wieża Eden (WWE) – kolejny doczesny raj, w którym ludźmi rządzą cyfrowe algorytmy. Aseptyczny, zimny, racjonalny i cyniczny inwestor przy pomocy zapa-

Mamy więc w jednym miejscu trzy dystopijne reportaże z przyszłości, w części jednak odbijające w krzywym zwierciadle to, czego doświadczamy już teraz

lonego do tego pomysłu Adama Człowieka pragnie uporządkować „chaos” życia. Złapać w pułapkę sztucznego raju, grupując ludzkość w przyjaznych kosmosach towarzyskich, erotycznych, wraz z religiami zamkniętymi w swoich niegroźnych i oswojonych bańkach. Pomysł demoniczny, więc środki na jego realizację udostępnia wyłącznie za cyrograf pieczętowany kroplą krwi. Ceną jest odsprzedaż mu „cienia dawnych lęków” i przesądów, a więc duszy Adama. Wirtualne raje szybko się wyczerpują, nudzą, stają więzieniem, uzależnieniem i po prostu zdehumanizowanym piekłem. WWE to przecież domena antagonisty Boga.

Wildstein wplata do „Adwentu” i „Cyrografu” wątek transhumanizmu. Utopii, przed której obietnicą dopiero stajemy. Zanim nas do niej doprowadzą, musimy przejść przez organizowaną przez Kome-

diantów dekonstrukcję naszej kulturowej tożsamości, także biologicznej, fizycznie pozbawić się bezpieczeństwa (imigracja) i własnych domów, zneutralizować chrześcijaństwo, w końcu wymusić zgodę na bezpieczeństwo za cenę wolności w ramach systemów totalnej cyfrowej kontroli. Przez nie bowiem prowadzi droga do kolejnej utopii, będącej spełnieniem najbardziej demonicznych rojeń o hodowli człowieka, bo przecież „postęp technologiczny zdaje się nie mieć granic”.

W każdej z esztek pojawia się też motyw systemowego uwikłania i destrukcji. To wymierzone w dyrektora teatru i prowadzące do jego samobójstwa intrygi, świat kulturowego establishmentu z artystami, pisarzami, dziennikarzami i filozofami, nad którymi czuwają macherzy od marketingu oraz agentka tajnej policji, której udało się przeniknąć do świata Serpensa, uwodzącego i eleganckiego niczym z przypowieści Solowiowa o antychryście. Ten, demaskując ją, składa nawet propozycję podwójnej gry, gdyż prawda jest złożona i opalizuje różnymi barwami. „Pokażę ci to” – zapewnia. Takim demonom jest także Laki Blus, obiecujący aktorom „życie w formie twórczego eksperymentu”, czy Feliks Pielgrzym, od pewnego momentu prorok nowej, globalnej i transhumanistycznej wiary, głoszący, że we wszystkich religiach zawiera się prawda.

Czy więc wszystko jest stracone? Utopia manipuluje, okalecza, w końcu zabija. Cyfrowa Wieża Babel upada pod ciężarem kłamstwa, na którym została zbudowana. Tylko przewrotny Serpens od początku wie, że poniesie klęskę, a wraz z nim wciągnięta w jego intrygi ludzkość. Społeczna inżynieria nie jest jednak w stanie okiełznać życia i ostatecznie go zniewolić. Adam, stworzony na boskie podobieństwo Człowiek, potrzebuje prawdy i ostatecznie dociera do punktu, gdy z letargu budzi go prawdziwe życie. Złudzenia i pragnienia prowadzą nas od pułapki do pułapki, ale – jak stwierdza Adam Człowiek – „świat mimo całego postępu wymyka się nam z rąk”. Postęp też napotka więc granice, a w końcu popadnie w kryzys, którego nie będzie w stanie przezwyciężyć własnymi środkami. I całe szczęście.

Bronisław Wildstein, „Komedianci, Advent, Cyrograf”, PIW 2024.

Jo sem twoj tatinek

Gdy wrzucimy do słoika najpierw sól, a potem zmielony pieprz i będziemy potrząsać, wymieszają się w sposób nieodwracalny. Oczywiście istnieje prawdopodobieństwo, że po miliardowym wstrząśnięciu drobin pieprzu i soli się rozdzielią i ułożą w dwie jednorodne warstwy. Jednak następne potrząśnięcie znów zburzy ten układ. Entropia jest nieunikniona. Nieporządek w świecie natury jest bardziej prawdopodobny niż porządek. Życie to struktura zasadniczo trwała i bardzo uporządkowana, za powstaniem życia musi stać zatem celowe działanie.

100 lat temu materialści wymyślili, że „pierwotna zupa bulgotała wystarczająco długo, by powstało życie”. Iludzie zaczęli im wierzyć, zakładając, że mają do czynienia nie z wiarą, a z wiedzą. Jednak biorąc pod uwagę choćby argument z entropii, istnienie Stwórcy jest o wiele bardziej prawdopodobne niż jego nieistnienie.

Od czasów Objawienia wiemy, że nie jesteśmy dziećmi przypadku. Pierwszą lepszą kombinacją aminokwasów. Ale i tak chrześcijańska koncepcja Boga jako czulego ojca, wszechmogącego, ale zainteresowanego człowiekiem, była wizją rewolucyjną. Chrześcijaństwo dało człowiekowi nadzieję, umożliwiło ludziom ufającym Bogu życie w wewnętrznym pokoju, niezależnie od zewnętrznych okoliczności. Ludzkość została wyrwana z pułapki fatum, życie każdego człowieka stało się wartością samą w sobie. Godność przyrodniego brata Boga-Człowieka to wyniesienie ludzkiej natury na najwyższe szczyty. W królestwo przypadku po raz kolejny została zaaplikowana celowość, uporządkowanie i sens.

Oczywiście życie chrześcijanina nie jest wolne od dramatów, lecz gdy jak Abraham trwa on w zaufaniu, nie zamienia się w tragedię. Mierząc się z cierpieniem,

łękiem, niesprawiedliwością, mogą nie dostrzegać sensu zdarzeń, postrzegając je jako przypadkowe. Ale ostatecznie liczy się tylko to, czy ufam, czy wierzę, że Bóg pisze prosto po krzywych liniach życia.

Człowiek Zachodu w swej masie odrzucił Ojca i powrócił do świata przypadku i fatum. Pytana, jak Bóg mógł pozwolić na tragedię 11 września, córka słynnego pastora Billy Grahama odpowiedziała: „Jestem przekonana, że Bóg jest do głębi zasmucony z tego powodu, ale od wielu już lat mówimy Bogu, żeby wyniósł się z naszych szkół, z naszego życia, więc szanując naszą wolną wolę, w milczeniu wycofał się. Jak możemy się spodziewać, że Bóg udzieli nam swojego błogosławieństwa i ochroni nas, skoro my żądamy, aby On zostawił nas w spokoju? Nasz przemysł rozrywkowy rozpoczął produkcję widowisk TV i filmów promujących przemoc, profanację, krzywdzący seks. Rozpoczął nagrania muzyki zachęcającej do gwałtu, narkotyków, zabójstwa, samobójstwa oraz satanizmu. Powiedzieliśmy, że to tylko rozrywka. Teraz nasze dzieci nie mają sumienia. Nie wiedzą, co jest dobre, a co złe. Potem ktoś powiedział: pozwólmy naszym córkom na aborcję, jeśli chcą. Nawet nie muszą o tym mówić swoim rodzicom. A my powiedzieliśmy – OK. Powiedziano nam: drukujmy czasopisma ze zdjęciami nagich kobiet i nazwijmy to zdrowym, trzeźwym podziwem dla piękna kobiecego ciała. A my powiedzieliśmy – OK. Po czym ktoś inny poszedł o krok dalej z tym podziwem i opublikował zdjęcia nagich dzieci, a następnie jeszcze jeden krok dalej i udostępnił je w Internecie. A my powiedzieliśmy – OK, oni mają prawo do swobodnego wyrażania swoich preferencji. Zbieramy to, co zasialiśmy. To śmieszne, jak łatwo jest ludziom wyrzucić Boga, a potem dziwić się, dlaczego świat zmierza do piekła”.



ROBERT TEKIELI

Bawi mnie, że lewicowo-liberalne elity nazywają Kościół ciemnogrodem, ale posyłają dzieci do katolickich szkół. Bawi mnie kamizelka kuloodporna z napisem: I love Paris. Bawi mnie czeskie tłumaczenie kultowego dialogu z „Gwiezdnych Wojen”: „Luk! Jo sem twoj tatinek!”. Nie bawi mnie zbywanie na zasadzie – to zbyt absurdałne, by miało nas czekać – takich wydarzeń jak czytanie dzieciom w Poznaniu przez drag queen Lolę książki o Adasiu, któremu wyrosły skrzydła. Nie jest śmieszna opisana przez „New York Post” 45-letnia Sonja Semyonova, która mówi: „jestem ekoseksualistką, zakochałam się w dębie”. Ani polska aktywistka klimatyczna Dominika Lasota, która nie pracuje, ale „żyje z ciężko wywalczonych grantów”.

„Jaś” Kapela, pisarz, poeta, zapowiada: „Już czas na obowiązkowy weganizm, mniejsze mieszkania i zakaz latania”. Minister polskiego rządu dodaje: teraz kolej na legalną sterylizację. To nie są żarty. To nigdy nie były żarty.

W ciągu ostatnich 300 lat przez 250 w Polsce stacjonowały moskiewskie wojska. Byliśmy germanizowani, rusyfikowani, próbowano z nas zrobić kosmopolityczną, oświeceniową masę. Dziś trwa neomarksistowski Kulturkampf 2.0. Jak wiele trzeba zabrać narodowi, nim sam zacznie odrzucać siebie? Czy weszliśmy już na strome zbocze upadku religii i kultury? Karty historii są pełne imion narodów, które się rozplynęły w nicość.

Warte

Widzieliśmy wiele podobnych historii. Oldskulowa mafia, stary wilk, młode wilki, dla których nieważne są jakiegokolwiek zasady. Więc konflikt. „Pora odkupienia” to historia bezwzględniego egzekutora długów. Cudem wychodzi z więzienia i próbuje nawiązać relację z 16-letnią córką, w życiu której dotąd nie uczestniczył. Przypadkiem pomaga 15-latkę na gigancie. Dziewczynkę porywają i zmuszają do prostytucji młode wilki od darknetu. Nowy pieniądz, cyberoszustwa, waluty cyfrowe i stare jak świat żądze – opuszczona fabryka, boksy z uwięzionymi kobietami i dziećmi plus kamerki obsługujące zboczeńców z całego świata. Kombinat cierpienia, przy którym wymuszający haracze mafiosi wychodzą na skautów. Wszystko jest narysowane grubą kreską, co ujawnia choćby polska wersja tytułu, ale nie ma cienia obciachu. To, co trzeba, w tym filmie się zgadza, choć wiadomo, jak rzecz się skończy. Antonio Banderas tworzy przyzwoitą kreację, jest napięcie, dobro, z którym można się utożsamić, zło, którego można się obawiać.



„Cena strachu”

trii w budowaniu napięcia – nuda, zamiast studium postaw moralnych – prymitywne klisze, do tego słabe aktorstwo, wyjątkiem jest tylko Alban Lenoir. Rzecz zbędna. Zupełnie.

Może być

To, w jaki sposób zostanie odebrany thriller „Road house”, zależy w dużej mierze od tego, czy i jakie emocje wyzwala w widzu Jake Gyllenhaal („Tajemnica Brokeback Mountain”). Film jest zbudowany wokół granej przez niego postaci zabijaki, byłego zawodnika UFC, który życiowo dryfuje z tak wielkim poczuciem winy, że realnie bierze pod uwagę samobójstwo. Dalton podejmuje w końcu decyzję i zaczyna bronić jakiegos dobra, ale nie ma tu mowy o odkupieniu, mimo że w pewnym momencie deklaruje on wprost, nie pozwalając użyć znieczulenia przy zszywaniu rany: „To moja wina i muszę odpokutować” – bo karanie siebie nie ma nic wspólnego z oczyszczeniem. W tej historii gra toczy się o to, czy Dalton jest jeszcze człowiekiem, bo może zostać chodzącym złem, jak grany przez Conora McGregora morderca zawiadaka Knox, będący Daltonem, który przekroczył cienką czerwoną linię, wzdłuż której ten snuje się od lat, nie czerpiąc z tego przyjemności.

Jak mówi już sam tytuł, „Road house” obsługuje dwa najważniejsze amerykańskie mity. Mit drogi i mit domu. Film wyreżyserował Doug Liman („Tożsamość Bourne’a”) z pełną świadomością, że przynajmniej od 70 lat dobrzy chłopcy nie sprzedają filmów – ludzie chętniej oglądają to, co, komu i jak zrobią źli chłopcy. Jednym z najważniejszych przepisów na dobry kryminał, antywestern, thriller czy film akcji nie przez przypadek jest wiedza, jak wymieszać w głównym bohaterze dobro i zło.

W antycznej tragedii chór uniwersalizował perypetie, w Hollywood podobną rolę odgrywają dzieci, niepełnosprawni intelektualnie czy stare Murzynki. Tu moralnej oceny Daltona (bo chyba nie rozgrzeszenia?) dokonuje na koniec niewinna, 16-letnia współwłaścicielka księgarni mieszczącej się przy tętniącej życiem florydzkiej plaży, jedyna postać w filmie, która odnosi się do jakichkolwiek wyższych wartości.

Robert Tekieli, Polskie Radio



„Pora odkupienia”



„Serce łowcy”

Może być „Serce łowcy”

to thriller produkcji RPA. Jest ekranizacją powieści południowoafrykańskiego pisarza Deona Meyera. Byłby zupełnie niezły, jednak skomplikowana intryga wokół spisku wewnątrz miejscowego rządu w pewnym momencie zbyt się gmatwa, a nieprawdopodobieństwo niektórych scen odbiera przyjemność z oglądania. Jednocześnie giną bohaterowie, których hollywoodzki scenarzysta nie ośmieliłby się uśmiercić, a emerytowany zabójca w scenach walki daje radę.

Niewarte

W trakcie oglądania długo docierał do mnie fakt, iż netfliksowa „Cena strachu” to remake genialnego francuskiego filmu z 1953 r., którego reżyserem jest Henri-Georges Clouzot. Niech to starczy za recenzję. W miejsce maes-



„Road house”



Cock Sparrer, „Hand On Heart”,
Cherry Red Records 2024

Z ręką na sercu

*Punkowy rock'n'roll z nutą boogie
i kibicowskich hymnów, raptem osiem
płyt w ciągu 50 lat, popularność,
ale na marginesie muzycznego rynku*

Nie ma tu przypadku. Okładka ich pierwszego singla z początku lat 80. przedstawiała wjazd na murawę fanów londyńskiego West Ham i Manchester United. Choć grali melodyjną i zadziorną mieszankę punka i rock'n'rolla w stylu Stonesów, Sweet czy Slade, prasie muzycznej przeszkadzało, że wyglądali jak chuligani, mówili z akcentem cockney, nie narzekali na rządy premier Thatcher, a gdy kazano im potępić skrajną prawicę, odcinali się też od lewicy, mówiąc, że każdy ma prawo do swojego patriotyzmu. Śpiewali, czasem z przy-mrużeniem oka, raczej o blaskach i cieniach życia w East Endzie, dorastając w cieniu stadionu Boleyn Ground. Szybko okazało się więc, że nie pasują do marketingowych pomysłów Malcolma McLarena, który wykreował punkową modę. „Nigdy nie mieliśmy zamiaru nosić spodni typu bondage i chodzić do szkoły plastycznej” – żartowali.

Cock Sparrer powstał jako kapela pubowa, zanim w 1972 r. narodził się punk. Ich hymniczne kawałki, będące skrzyżowaniem kibicowskich pieśni z harmoniami rodem z glam rocka, do dziś wyśpiewuje publika w różnych częściach świata („England Belongs to Me”, „Take 'Em All”). Czas biegnie nieubłaganie, więc płyty i koncerty zapowiedziano jako pożegnalne. „Hand On Heart” to zbiór 10 kapitalnych piosenek, jeszcze lepiej brzmiących, będących jakby kontynuacją znakomitej płyty „Forever”. Podobno tym razem budżet poszedł na opłacenie dobrego studia, a nie rachunków w pubie. Wyprodukowana przez Jamesa Bragga i Kevina Tuffya'ego, zdobywcę nagrody Grammy, brzmi soczyście i dynamicznie. A że mamy tutaj również nutę melancholii, pojawia się nawet Simon Dobson, aranżer smyczkowy znany z płyt Mike'a Oldfielda. Echa znanej z pierwszej płyty „Where Are They Now?”, wyśmiewającej aktorów anarchistycznej maskarady, jaką był punk, nie przypadkiem powraca w ostatniej piosence na tym krążku („Here We Stand”). „Uciekałeś z absolwentami szkół artystycznych, gdy oni potrzebowali kogoś, na kogo mogliby patrzeć z góry / A my wciąż tu stoimy, bo jesteśmy tu dla ciebie”. Lojalność i przyjaźń w czasach, gdy wszystko jest na sprzedaż. Tego się trzymajmy!

Państwo Środka chce powrócić do miejsca, które utraciło pod koniec XVIII w. Ze swoją monstrualną gospodarką i globalnymi „hamami produkcyjnymi” stało się jednym z głównych graczy w światowej polityce. Choćby zapleczem dla Rosji w prowadzonej przez nią wojnie na Ukrainie i wyzwaniem dla Stanów Zjednoczonych. Książka Leszka Ślęzyka należy do publikacji kompetentnych i przystępnych, a także wyrozumiałych wobec Chin. Jego zdaniem wiemy o nich coraz mniej, gdyż podstawowe pojęcia etyczne, stosunek do wolności, władzy czy prawdy są tam rozumiane zupełnie inaczej. Przeprowadza więc czytelnika przez labirynt chińskiej mentalności oraz ostatnie 100 lat historii z rewolucją, która pochłonęła miliony ofiar. Nie poświęca jej wiele uwagi – najwięcej miejsca rezerwuje na utwierdzenie w przekonaniu, że Chiny kroczą do nieuchronnego sukcesu i właściwie nie mają żadnych słabości.

Chiny „rozpychają się w naszej współczesności” w ramach trwającej od ponad 40 lat technologiczno-kapitalistycznej pogoni za Zachodem. By temu sprostać, przyjęły model państwa korporacji o zasięgu globalnym. To jednak cywilizacja głęboko zanurzona w starożytności, więc wszystko odbywa się pod

Bezkrytyczny przewodnik po chińskim uniwersum

czujnym okiem partyjnych mandarynów – urzędniczej merytokracji. Konfucjańska filozofia cementuje hierarchie, wymusza społeczną dyscyplinę i ład, łagodzi sprzeczności. Częściej podejmuje się decyzje korzystne dla wspólnoty, a jednostka rozstrzyga swe dylematy raczej w zależności od tego, jak będą odebrane przez daną społeczność. Kategoryczny duch Dekalogu ginie w konfucjańskim relatywizmie. To także przekonanie o wyższości dyplomacji, sztuki zjednywania sojuszników i skłócania wrogów, praktyka odwzajemniania doświadczonego przysług, której produktem ubocznym jest korupcja. Dowiadujemy się też o naturalnym wręcz materializmie Chińczyków – na ten grunt padła ideologia marksistowska, ewoluując we wszechobecny kult dorabiania się.

Chiny to państwo, którego namacalnym symbolem jest mur – atrybut tytułowej „twierdzy Chin”, manifestuje ich wolę separacji od świata i nowinek, ujawnia się np. w cenzurze internetu (Great Firewall). Chińska „twierdza”, o czym autor nie wspomina, to też totalitarne metody walki z pandemią koronawirusa i orwellowski systemem zaufania społecznego. Warto o tym pamiętać.

Leszek Ślęzyk, „Twierdza Chin. Dlaczego nie rozumiemy Chin”, Fronda 2024



Maciej Walaszczyk

W poszukiwaniu polskiej inteligencji

Polskiego inteligenta zastąpił mieszczanin półinteligent z kapitalistycznego awansu. Żywi fanatyczną nienawiść i kompleksy wobec swojej chłopskiej przeszłości

Podobno historii polskiej filozofii niewiele się wyklada. Jak pisze prof. Wawrzyniec Rymkiewicz, redaktor naczelny „Kronosa”, „nie uczy się jej także na wydziałach polonistyki i historii – uznając zapewne, że można pojąć Krasińskiego bez wiedzy o Augustie Cieszkowskim i zrozumieć powstanie listopadowe bez lektury Maurycego Mochnackiego”. Dookoła niemal wszyscy naśladują wzorce anglosaskie, mówią i coraz częściej myślą po angielsku. Podobna sytuacja miała już miejsce w XIX w. Karol Libelt, twórca pojęcia „inteligencja”, był doktorantem Hegla, Cieszkowski napisał swoje pierwsze dzieło po niemiecku, a Bronisław Trentowski miał niemiecką żonę. W pewnym momencie wszyscy oni zrozumieli, że muszą być Polakami. Z powodów filozoficznych. W środku więc znajdujemy teksty Libelta, Wincentego Pola czy Trentowskiego.

Skąd więc dzisiaj nasze narodowe problemy z tożsamością? W brawurowym eseju pt. „Apologia Andrzeja Leppera” prof. Rymkiewicz próbuje to wyjaśnić. Kapitalistyczna ponowoczesność – jak pisze – objęła władzę na wszystkich poziomach życia. Już w 1989 r. zlikwidowała inteligencję. Ujednolicając społeczeństwo i kulturę, ukończyła dzieło totalitaryzmów. Globalizacja okazuje się też nowym imperializmem, który właściwie podważa prawo państwa do istnienia. Wywróciła również na opak sens wolności. Liberalne wyzwianie – jak w komunizmie – stało się zniewalaniem, a emancypacja prowadzi do zbydlenia.

„Powstała dziwaczna hybryda: mówiący językami postępu świat wyzysku i dominacji, powszechnego kłamstwa i zbiorowych iluzji” – pisze autor. Wyjaśnia ostry, kulturowy antagonizm mieszkańców miast i prowincji, trwającą od lat zimną wojnę domową, będącą, jak przekonuje, echem dawnego konfliktu między dworem a wsią. Miejsce inteligencji, której powołaniem było łagodzenie tego antagonizmu i misja przewodzenia narodowi, zajęła miejska „burżuazja”. Wyrosła ona z Polski chłopskiej i prowincjonalnej przeprowadzonej do miast. Nie tworzą jej jednak ludzie wolni. Utknęli w kredytowych pułapkach, a jako potomkowie chłopów dostali możliwość pracy w wielkim mieście pod warunkiem regularnych opłat wnoszonych do banków.



„Kronos”, nr 4 (67), 2023

Nie mają poważnego kapitału własnego, są niesamodzielni i bezплоdni kulturowo, czego dowodem jest twórczość literacka np. Olgi Tokarczuk. Ich niechęć do tożsamości, przeszłości, chłopskich wzorców obyczajowych przejawia się w fanatycznej i wścieklej nienawiści. Tym uczuciom towarzyszy lęk przed demaskacją i niewiara we własną przemianę. W politycznych wyborach są więc fanatycznymi zwolennikami partii wielkiego kapitału, bo głosowanie na stronnictwo ludowe oznaczałoby dla nich symboliczną deklasację.

Symbolami konieczności przecięcia własnej prowincjonalności i zacofania są Balcerowicz i Wałęsa. Ten pierwszy jako syn czeladnika masarskiego, który pasł krowy, nie potrafi afirmować swojego pochodzenia. Jest inteligentem z PRL-owskiego awansu. „Lepper stanowi jego część wypartą, mroczny element, wewnętrzznego wroga” – pisze prof. Rymkiewicz. Balcerowicz należy do nowej kapita-

listycznej arystokracji, planetarnej kasty panów, ucieleśniając najgorsze cechy chłopstwa: chciwość, pogardę dla nieporadnych życiowo, brak instynktu wspólnotowego. Według tej samej metody autor „dekonstruuje” też Wałęsę – postać z polskiego horroru, który trwa. Lepper, podobny do swych antagonistów, był symbolem skazanego na porażkę buntu przeciw temu porządkowi, stroną konfliktu między wielkimi miastami, w których koncentrują się władza i prestiż, a pogardzaną wiejską prowincją.

Zdaniem prof. Rymkiewicza prawica popełniła błąd już po 2005 r., próbując być wyłącznie rodzajem „Samoobrony”. Sprowadzając naród do ludu i rezygnując z reanimacji polskiej inteligencji, poddała się tej samej logice, która włączyła partię liberalną. Ustępstwo na rzecz ludu okazało się pułapką, ponieważ nie sprawuje nad nią władzy kulturowej. Popkultura produkowana przez przemysł rozrywkowy jest narzędziem walki o władzę. To ona organizuje zbiorową wyobraźnię, w niej migoczą uroki konsumpcji, blichtr i niedające się spełnić pragnienia. To pod jej wpływem, jak zauważa prof. Rymkiewicz, biedni, kiedy się trochę wzbogacą dzięki programom socjalnym i pomocy państwa, albo ich dzieci w kolejnych wyborach głosują na międzynarodowych liberałów. Ten mechanizm zadziałał w październiku 2023 r. By przetrwać, potrzebujemy polskiej inteligencji, kultury i tożsamości. ▀

PIOTR CIEMNY*

Leśny piknik czas zacząć

Na pikniku stołu nie ma, nie-rzadko siedzi się na ziemi, zajada gołymi rękoma. Pobudza się wszystkie zmysły. Ręce ubrudzone lekko węglonym ziemniakiem, roślinne potrawy, żywy ogień. I rozmowa. Na takich spotkaniach ludzie koncentrują się na sobie nawzajem. Nikt nie spogląda na telefon; sięga się po niego chyba tylko po to, żeby zrobić pamiątkowe zdjęcie” – zauważa Piotr Ciemny we wstępie do książki „Leśne gotowanie. Chwasty od kuchni” (wyd. Znak Koncept).

Na okładce znajdziemy też dopisek: „O czym warto pamiętać, co zabrać ze sobą na wyprawę i jak przyrządzić roślinne potrawy z dziką naturą w tle”. A wewnątrz – w ramach zapowiedzianego przez autora, a niezwykle ważnego praktycznego wątku – pojawiają się też informacje o zasadach biwa-



kowania oraz nocowania w lesie (wraz z odnośnikiem do pełnego regulaminu, dostępnego na stronie: <https://www.lasy.gov.pl/turystyka/program-zanocuj-w-lesie/regulamin-korzystania-z-obszarow-objetych-programem>).

Jest również dopełniony rysunkami rozdział, który

pomoże nam rozpoznać leśne rośliny, zwracając uwagę zarówno na liście, korę, igły, kwiatostany, szyszki... Wszystko to, jak się okazuje, można wykorzystać podczas leśnego pikniku, by przygotować np. owsiankę z fermentowanymi jagodami i pędami świerku, stek z grzyba w sosie śliwkowym, kaszotto z czarką i bukietem świeżych ziół, smażone pędy chmielu z rzodkiewką, grillowaną sałatę z kwiatami lipy czy biwakową szarlotkę z pieczonym jabłkiem.

Dla mniej wytrawnych kucharzy odkryciem mogą się stać ogniskowe



wersje pospolitych warzyw. Seler, jak podpowiada autor, warto wcześniej przygotować w domu. Dobrym wyjściem jest też kupienie rusztu i przyrządzenie bulw niczym kurczaka – nad ogniskiem, posmarowanych masłem lub marynatą na bazie dzikich ziół. Orzechowy i lekko słodki seler, nawet jeśli będzie twardawy, pokrojony w plastry świetnie sprawdzi się jako biwakowa przystawka. Pieczona w żarze kapusta z powodu delikatniejszej struktury wymaga trochę więcej uwagi, ale – jak zapewnia autor – gdy nabierze lekko dymnego smaku i aromatu smakuje wybornie z odrobiną soli, wynagradzając poświęcony jej czas.

„Chrupki i smaczny powiew wiosny na talerzu”, który „zaskoczy smakiem i teksturą” pozwolą stworzyć młode pędy chmielu doprawione odrobiną oliwy, czosnkiem i kawałkiem cytryny do skropienia. Znakomicie będą się komponować z sadzonym jajkiem i rzodkiewką. I tu uwaga od autora: to danie można przygotować zarówno nad żywym ogniem, jak i na kuchence gazowej (także w domu). Podobnie kukurydzę, jeśli tylko będziemy mieć pod ręką bluszcz kurdybanek. ▮

Jolanta Gajda-Zadworna

* Autor książki „Leśne gotowanie. Chwasty od kuchni”



Kukurydza z ogniska

Składniki: kolba kukurydzy – 6 szt., sól – do smaku, masło – 100 g, cytryna – 1 szt., bluszcz kurdybanek – 4 gałązki.

Sposób przygotowania: obierz kukurydzę, ale nie odrywaj liści, bo po usunięciu włosków z powrotem naciągniesz je na kolbę. Oczyszczone kolby zawiń w folię aluminiową i postaw je blisko ogniska albo na kratce od grilla. Zamknięte w podwójnej osłonie zachowają soczystość i słodycz, ponieważ wszystko, co najlepsze, zostanie w kukurydzy, zamiast znaleźć się w wodzie (jak przy gotowaniu). Masło wymieszaj z posiekanym wcześniej kurdybankiem, dodaj odrobinę soku z cytryny i przypraw solą. ▮

Pierwsze listki

ANNA MONICKA

Już był w ogródku, już witał się z gąską. Ja też, jak bajkowy lisek, miałam wielkie plany, które spaliły na panewce. Nie chodziło mi wprawdzie o gąskę, ale też musiałam obejść się smakiem, bo jednak za wcześnie odtrąbiono zwycięstwo wiosny. Zachęcona zdjęciami prosto z pola sprzed ledwie kilku dni, wybierałam się do mojego ulubionego gospodarstwa rolnego na Żeraniu po młode szparagi, które powylazły z ziemi do słońca, a tu klops. Nadszedł przymrozek, pędy znów się przyczały. No cóż, trzeba się zaprzyjaźnić z nowalijkami rosnącymi w tunelach. Jest już rukola, znacznie bardziej intensywna niż kupowana w doniczkach czy plastikowych pojemnikach, bo zimująca u nas w gruncie, jej listki są twardsze, można je szatkować w drobne paski i dodawać lekko podsmażone na oliwie do makaronów czy ziemniaków albo surowe do pomidorów lub ogórków. Podobnie robię z młodymi liśćmi musztardowca – są niezastąpione w surówkach.

Pak choi i tatsoi – azjatyckie kapusty – radzą sobie w naszym klimacie doskonale i warto je wysiewać w ogródkach. Tatsoi smakuje nawet lepiej, gdy ciut podmarźnie. Nasiona, również ekologiczne, można bez problemu kupić w sklepach internetowych. Kolejna dobra wiadomość jest taka, że obie pięknie wyglądają na grządkach. Tatsoi to wielka rozeta błyszczących liści – zrywa się je pojedynczo, można więc dokładnie dawkować sobie witaminy, a roślina długo zdobi rabatę. Pak choi jest równie ładna – białą gruszkowatą główką z zielonym pióropuszem.

Obie można smażyć na oliwie z czosnkiem (jak naszą młodą kapustę), doprawiać odrobiną chili, sosu sojowego i ziaren sezamu – wystarczy kilka minut i są gotowe. Nie warto długo ich maltretować na patelni, bo tracą cenne witaminy. Przekrojoną na połówki pak choi posmarowaną oliwą i oprószoną przyprawami można zapiec w piekarniku i podawać z sosem czosnkowym albo zgrillować i zajądać jako dodatek do mięsa lub samodzielne danie. Wreszcie – doskonale nadaje się na kiszonki. Nie trzeba jej szatkować i ubijać, wystarczy przekrojone wzdłuż na ćwiartki lebkę pak choi ułożyć w słoju z 3-4 ząbkami czosnku, plasterkiem imbiru, nasionami kolendry, pieprzu, pokrojoną chili (wedle uznania) i listkiem laurowym. Zalewamy let-

nią solanką (mniej więcej 4 łyżeczki soli na 1 l wody z kieliszkiem octu jabłkowego), obciążamy, żeby liście nie wystawały, nakrywamy i czekamy kilka dni. //



Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Pijawka lekarska

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pijawka lekarska (*Hirudo medicinalis*) jest bezkręgowcem należącym do typu pierścienice. Dorasta do 15 cm długości, jest więc sporym zwierzęciem; jest również długowieczna i może żyć aż 30 lat. Potrafi przetrwać bez jedzenia ponad dwa lata. Występuje w Europie, części Azji i Afryki. W Polsce jej zasięg jest duży, lecz nigdzie nie jest liczna. Podlega ochronie gatunkowej. Zakazy ochronne, w tym przetrzymywania i posiadania, nie dotyczą osobników legalnie przywiezionych z zagranicy na podstawie stosownego zezwolenia. Leczenie pijawką lekarską schwytaną w oczku wodnym albo zakolu Neru, Biebrzy czy Liwca byłoby więc naruszeniem prawa. Byłoby również ryzykowne, ponieważ dzikie pijawki, które mogły pić wcześniej krew wielu żywicieli, mogą przenosić bakterie i wirusy. W dawnych czasach takie praktyki nie raz kończyły się posocznicą, zapaleniem opon mózgowych albo mięśnia sercowego czy wstrząsem anafilaktycznym. Pijawki muszą być więc legalne i sterylne – dla ochrony przyrody i własnego zdrowia. Ze względów zdrowotnych nie można też przystawiać pijawek, które wcześniej były użyte do terapii innej osoby.

Dawniej pijawki lecarskie stosowano do upuszczania krwi. Później okazało się, że wydzielina ich gruczołów ślinowych zawiera kilkadziesiąt substancji o różnym działaniu. Najbardziej znana jest przeciwzakrzepowa hirudyna, wachlarz substancji i ich działania jest jednak bardzo szeroki oraz zapewne wciąż nie do końca poznany: wydzieliny pijawki hamują agregację płytek krwi, rozpuszczają zakrzepy, działają przeciwbakteryjnie, przeciwzapalnie, pobudzają wzrost komórek nerwowych, zawierają endorfiny i neuroprzekazniki, takie jak dopamina czy serotonina, oraz substancje znieczulające pozwalające im niepostrzeżenie przysysać się do żywicieli. Ich stosowanie przynosi znakomite efekty w mikrochirurgii, ułatwiając gojenie i odbudowę zakończeń nerwowych przy rekonstrukcjach chirurgicznych czy ratowaniu obciętych palców.

Stosowane już wieki przed Chrystusem pijawki, które szczyt popularności osiągnęły w XIX w., a następnie stały się symbolem medycznej ignorancji i zacofania (jak wspomniano, bywały używane bez przestrzegania zasad higieny), okazują się skomplikowanym, wciąż czekającym na poznanie laboratorium. //

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Tylko zemsta

Czy ktoś pamięta jeszcze książkę pt. „Raport o stanie państwa. Podsumowanie 8 lat rządów PO-PSL”? Zawiera ona sejmowe przemówienia członków nowego gabinetu po zwycięstwie wyborczym PiS w 2015 r. Desygnowana na premiera Beata Szydło podsumowała rządy PO i PSL trzema słowami: egoizm, marnotrawstwo, pogarda. Według jej szacunku Polacy przez osiem lat tej koalicji stracili ok. 340 mld zł. Komisja śledcza do spraw afery Amber Gold nie wyjaśniła najważniejszego: kto stał za małżeństwem Katarzyny i Marcina P., którzy oszukali 18 tys. osób na sumę 850 mln zł, jakich mieli protektorów. Pieniądzy nie odzyskano. Przy okazji wyszły na jaw plany likwidacji przedsiębiorstwa LOT, w którym pracował syn Donalda Tuska. Dziś Michał Tusk rozpoczyna pracę jako główny specjalista w departamencie infrastruktury Urzędu Marszałkowskiego na Pomorzu.

Minister finansów Paweł Szałamacha przypomniał, że gdy w 2007 r. PiS oddawało władzę, luka VAT-owska wynosiła 8,8 proc., a pod koniec 2015 r. już 26 proc. Co charakterystyczne, w grudniu ub.r. okazała się ona wyższa w stosunku do grudniowej z roku 2022 już o 36 proc. Oczywiście ekonomiści z koalicji 13 grudnia obwiniają o to rząd PiS. Mnie się zaś wydaje, że powraca przyzwolenie na kombinacje z VAT-owskimi fakturami, powrót do kradzieży.

Minister infrastruktury i budownictwa Andrzej Adamczyk przypomniał „sukcesy” rządów Tuska w budownictwie. Na koniec 2012 r. koszt 1 km autostrady i drogi ekspresowej wynosił 10 mln euro, gdy w Niemczech ok. 8,2 mln euro, a w Słowenii 7,3 mln euro. Po siłowym i bezprawnym przejęciu Telewizji Polskiej przez ppłk. Bartłomieja Sienkiewicza temat ten nie pojawił się już w mediach. Ale trudno nie pamiętać krzyku zrozpaczonego polskiego budowlanca, którego okradły zagraniczne centra. Wysokość roszczeń małych i średnich polskich firm drogowych realizujących inwestycje w latach 2008–2015 wyniosła 10 mld zł, a zaprezentowana w Sejmie lista tych firm mieściła się na 5 m papieru.

Minister skarbu państwa Dawid Jackiewicz wyliczył najważniejsze grzechy ekipy PO-PSL: pazerność, niegospodarność, rozrzutność, prywatę, wykorzystywanie państwowych spółek do celów politycznych oraz zdrada interesów państwa. Np. kopalnię węgla brunatnego Adamów sprzedano za cenę o ponad 100 mln zł mniejszą niż pierwotna wycena. Wszystko wyprzedawano za bezcen, a potem chwalono się tym w czasie biesiad w knajpie „Sowa i przyjaciele”.

Trzeba przyznać, że od rozliczania ekipa Tuska jest lepsza. Po pierwsze, ma swoje za-

przyjaźnione i nielegalnie przejęte media, po drugie, woli się zajmować igrzyskami niż pracą dla Polski. To prawda, że PiS, przejmując władzę, nie rozliczyło poprzedniej ekipy, dlatego mówiło się obrazowo „PiS szczeka, ale nie gryzie”. Ale jest też faktem, że PiS znacznie poprawiło kondycję finansową i gospodarczą państwa.

Kto pamięta, że zwolnienie z funkcji szefa CBA Mariusza Kamińskiego przez Tuska w 2009 r. było karą za ujawnienie afery hazardowej oraz rozmów polityków PO na cmentarzach i stacjach benzynowych? Został on oskarżony o przekroczenie uprawnień w związku z tzw. aferą gruntową i skazany na 3 lata więzienia, następnie ulaskawiony przez prezydenta Andrzeja Dudę. Po zwycięstwie Tuska w ostatnich wyborach parlamentarnych znalazł się w więzieniu, a prezydent został zmuszony ponownie skorzystać z prawa łaski. Kamińskiego wzywa teraz prokuratura oraz komisja ds. Pegasusa. Wszystko zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią Tuska: „Sprawa Kamińskiego i Wąsika się nie skończyła. Ich sprawa się zaczęła”. Dlatego zadbano o odebranie im mandatów poselskich wraz z immunitetami.

W 2015 r. Mariusz Kamiński przypomniał w Sejmie fakty dotyczące inwigilacji organizatorów i uczestników legalnych zgromadzeń publicznych za rządów koalicji PO-PSL. ABW rozpracowywała operacyjnie środowiska NSZZ „Solidarność”, Radia Maryja, środowiska narodowe czczące Narodowy Dzień Żołnierzy Wyklętych, ruchy obrońców życia, blogerów forum internetowego Salon 24, środowiska Obrońców Krzyża, członków Związku Strzeleckiego „Strzelec”. Inwigilowano też 52 dziennikarzy (bilingi telefonów, podsłuchy, obserwacje, dokumentację fotograficzną i filmową).

Przypomniał rewizję w redakcji tygodnika „Wprost” i inwigilację byłego kierownictwa CBA. Równocześnie służby podległe Tuskiowi zaniechały wyjaśniania przyczyn katastrofy smoleńskiej, a po deklaracji obywatela Rosji gotowego przekazać nowe informacje w tej sprawie jego dane osobowe ujawniono Federalnej Służbie Bezpieczeństwa Rosji. Służby Tuska nie zrobiły nic, aby zahamować złodziejską prywatyzację. Raporty w tej sprawie wstrzymywano albo fałszowano.

Dziś jak w 2015 r. Mariusz Kamiński powtarza, że za rządów PiS nikt nie był inwigilowany tylko dlatego, że miał inne poglądy polityczne niż rządzący. Jest pewne, że ta deklaracja nie powstrzyma żądzy zemsty na Prawie i Sprawiedliwości, a szczególnie na najbardziej niezłomnym z tego grona – Mariuszu Kamińskim.

www.wojciechreszczyński.pl



OGNIEM NA WPROST

Krym spokoju nie zazna

URuska z powodu wiosennych roztopów tamy trzeszczą w szwach, by w końcu pęknąć. 5 kwietnia w Orsku, mieście w obwodzie orenburskim, pękła tama. Woda zalała tysiące domów na lewym brzegu rzeki Ural, rozpoczęto ewakuację mieszkańców. Następnego dnia tama puściła także na prawym brzegu rzeki. Woda dotarła do Orenburga, ucierpiały także inne regiony Rosji. Według Ministerstwa ds. Sytuacji Nadzwyczajnych z powodu powodzi zostało zalanych ponad 10 tys. domów w 39 regionach Rosji. Najtrudniejsza sytuacja jest w Orsku. Tamtejsza tama została zbudowana w 2014 r., miała „na zawsze zniwelować problem podtopień podczas powodzi”. Tak przynajmniej zapewniał przed rozpoczęciem jej budowy, czyli w 2010 r., mer miasta Wiktor Franc. „Tegoroczna powódź to pierwszy poważny sprawdzian dla tamy, czy będzie mocna” – mówił z kolei aktualny mer Wasilij Kozupica dwa dni przed pęknięciem zapory. Mieszkańcy Orska już wcześniej przewidywali, co się wydarzy i rozpoczęli szturm sklepów, wykupując wodę i żywność. Ewakuowano także mieszkańców okolicznych wiosek. Wiadomo, że jest tam teraz dowożona woda pitna i chleb. Nad ranem fala powodziowa dotarła do Orenburga. Mer miasta nakazał ewakuację mieszkańców z dzielnic południowych i przedmieść w pobliżu rzeki (nie było ewakuacji zorganizowanej, tylko „dobrowolna”). Władze obwodu orenburskiego informują, że straty z powodu powodzi stanowią równowartość 21 mld rubli, czyli 227,2 mln dol. Leje się jak z cebra również w innych regionach Federacji Moskiewskiej. W obwodzie kurhańskim ewakuowało się ponad 500 osób. Tam może zostać zatopionych ponad

50 miejscowości oraz dziesiątki podmiejskich działek. W Samarze ewakuowano już ponad 800 osób. W regionie zalanych zostało ponad 300 budynków mieszkalnych. „Pan Bóg nie jest frajerem i wszystko widzi” – to znane ruskie porzekadło jak nic pasuje do dzisiejszych wydarzeń w kraju „mlekiem, miodem” oraz wodą płynącym, jakim jest Kacapia.

Według portalu Defence24.pl w nocy z 16 na 17 kwietnia Ukraińcy przeprowadzili uderzenie na bazę lotniczą Dżankoj na północy Półwyspu Krymskiego. Nagrane przez świadków filmy zarejestrowały wiele potężnych eksplozji. Wskazuje to, że po raz pierwszy od jesieni mogły zostać użyte pociski ziemia-ziemia MGM-140 ATACMS wyrzuczone przez wyrzutnie M142 HIMARS. Zdaniem Moskale na bazę miało spaść 7-8 rakiet (niektóre źródła rosyjskie podają, że było ich nawet 12). Do uderzeń miało dojść w ciągu godziny. Wybuchom pocisków towarzyszyły eksplozje wtórne, które wskazywałyby na trafienie w magazyn amunicji lotniczej. Do tej pory pocisków tego typu (odległość od celu 145 km) użyto co najmniej dwukrotnie. Najgłośniejszy był ukraiński debiut systemu ATACMS, gdy uderzono na dwie rosyjskie bazy śmigłowców: w Berdiańsku i Ługańsku. Łącznie zniszczono lub uszkodzono co najmniej kilkanaście wroplatów. Nie wiadomo, czy użyte ATACMS to ostatnie pociski z niewielkiej puli przekazanej Ukrainie jesienią, czy już nowa partia, którą dostarczyły Stany Zjednoczone. Kilka tygodni temu pre-



Andrzej Rafał Potocki

zydent Joe Biden mówił, że rozważane jest przekazanie do Kijowa kolejnej transzy tych pocisków balistycznych krótkiego zasięgu. Może kończy się smutny czas, kiedy na Ukrainę przestały docierać pociski dalekiego zasięgu? Efekt będzie gwarantowany, a Dżankoj jest tego przykładem.

Tymczasem Moskalę już irytują się na samą myśl o przekazaniu Ukrainie 60 mld dol. z nowego pakietu pomocowego USA. Choć głosowanie nad nim w Kongresie miało się odbyć 20 kwietnia (pisząc te słowa, nie znam jeszcze jego wyniku), to sekretarz prasowy rosyjskiego dyktatora Dmitrij Pieskow, komentując ruchy w sprawie zatwierdzenia pakietu pomocowego dla Ukrainy, już stwierdził, że jest to „prowokowanie Kijowa do działań wojennych aż do ostatniego Ukraińca”. Uznał, że pakiet „nie jest w stanie w żaden sposób wpłynąć na wynik sytuacji na frontach”. „Wszyscy specjaliści, a nawet półspecjaliści obserwują teraz gołym okiem sytuację na froncie, która jest dla nich daleka od korzystnej dla strony ukraińskiej” – stwierdził. Słuchajcie no, Sobakow, czy jak wam tam, Pieskow, „wszyscy specjaliści i półspecjaliści” oraz jeszcze inni wiedzą doskonale, że 60 mld dolców nie wygra wojny, ale ich brak mógłby was doprowadzić do przelamania frontu. A akurat tego, Sobakow, nie chcemy. Więc nie mądraluj.

Współpraca: „Skipper”

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Ci najmniejsi

Tryan, dla niepoznaki nazwany większością parlamentarną, wzorem Heroda wydał wyrok na najmniejszych z najmniejszych dzieci. I to najbezpieczniejsze, święte łono matki ma się stać szafotem egzekucyjnym. Wyrok zapadł. Ludzie bez winy mogą być bezkarnie zamordowani, zanim jeszcze rozejrzą się po świecie. Teoretycznie chroni ich prawo. Bardzo teoretycznie. Bo kto by się przejmował jakąś konstytucją, gdy w grę wchodzi komfort i widzimy się? Kto by chciał bachora, gdy mieszkanie za ciasne, trzeba jeździć na wczasy do Egiptu, trzeba awansować w pracy i kupić nowy samochód. Szybka skrobanka (najpierw wyrwa się rączki, potem główkę, potem resztę) i po kłopotcie. Można żyć dalej. A ile przy tym eufemizmów: aborcja, terminacja, przerwanie ciąży. Byłe nie użyć słów zbrodnia, morderstwo, dzieciobójstwo. Ofiary też należy odhumanizować. To tylko płód, zlepek komórek albo ledwie zygota. Stąd już niedaleko do potraktowania człowieka w łonie matki jak wrzodu, nowotworu, tętniaka, z którymi walka jest na wskroś uzasadniona i słusza.

Mieliśmy Sejm Czteroletni, sejm niemy, sejm kontraktowy, a teraz mamy sejm krwawy, zbroczony krwią współobywateli.

Matka umocowana nieludzkim prawem może wydać wyrok na własne dziecko, które nie może się bronić, nie może poprosić o pomoc adwokata. Ten sąd jest doraźny, niecywilizowany i zna tylko jeden wyrok: śmierć.

Ale ten sąd ma mieć swoich katów, wykonawców wyroków, których będzie opłacać Rzeczpospolita. To lekarze. Ilu z nich podejmie się zabicia człowieka? Ilu z nich da się administracyjnie zmusić do popełnienia zbrodni? Zbrodni wielokrotnej. Bo aby zabić dziecko, trzeba złamać konstytucję (art. 38) i złożoną przysięgę Hipokratesa: „Nie podam nikomu śmiertelnego leku, nawet jeśli będzie mnie prosił, ani nie udzielę nikomu takiej porady, jako też nie podam kobiecie środka poronnego”. Ilu medyków wejdzie w otwarty konflikt z prawem, ilu naruszy konstytucję Rzeczypospolitej i sprzeniewierzy się złożonej przysiędze? Ilu da się zastraszyć hunwejbimem Tuska? Ilu podniesie głowę wysoko i powie: nie? Modłę się, aby to byli wszyscy.

Obejrzałem całość transmisji debaty sejmowej nad ustawami o mordowaniu dzieci. Ilość zła, czystego zła, takiego diabolicznego, obłąkańczego, bezmózgowego jest porażająca. Ilość zwykłej podłości, przysypanej prymitywną elo-



**Aleksander
Nalaskowski**

*Dość tej dyplomacji!
Czas spleść bicz z powrozów
i wysmagać przekupniów
w świątyni!*

kwencją, jest niezmierzalna. Tym wszystkim orędownikom zabijania najmłodszych z całego serca życzę złych snów i głębokiej depresji. Życzę im, aby każda sztuka mięsa na talerzu zmieniała im się w zwłoki wyskrobanego dziecka, aby sztucce w szufladach zmieniały im się w narzędzia używane do zabijania nie-narodzonych. Aby prześladowały ich omamy najgorsze z możliwych. Aby nikt im nie wybaczył. A zwłaszcza te dzieci, które wprost z łona matki poszły do nieba.

A gdzie jest w tym wszystkim mój Kościół? No gdzie jest?! Gdzie ekskomunika dla piewców zabijania? Gdzie głośny krzyk kapłanów, wszystkich biskupów, kardynałów? Dlaczego tylko popiskują, zamiast wrzeszczeć? Dość tej dyplomacji! Czas spleść bicz z powrozów i wysmagać przekupniów w świątyni!

To wszystko układa się w logiczny zamysł. Tak logiczny, że aż przerażający. Najpierw w ramach edukacji seksualnej nauczymy dzieci, że seks to przyjemna zabawa, a masturbacja to zwykła czynność fizjologiczna, jak gimnastyka czy picie coca-coli. Potem damy za darmo pigułkę „dzień po”, a jeśli ona nie zadziała, to się nie

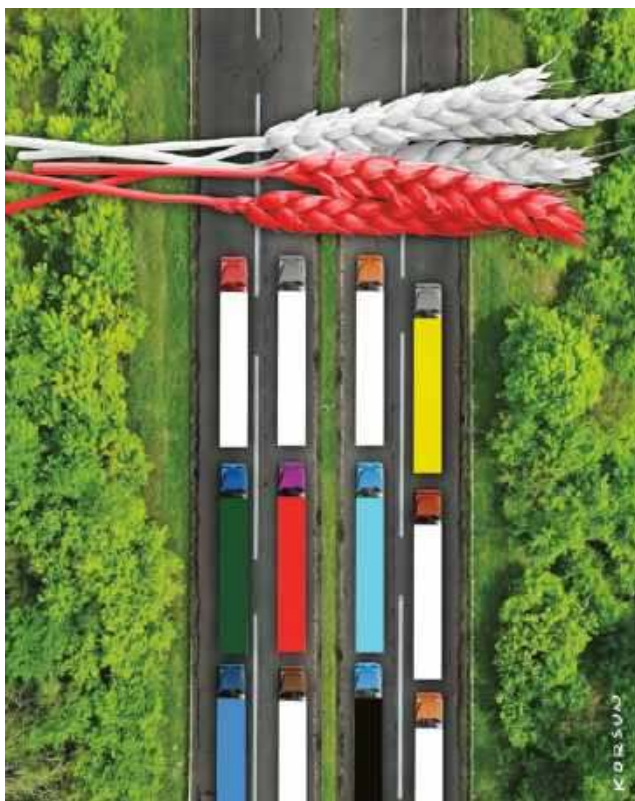
martwicie, zrobicie sobie skrobankę i będzie po kłopotcie.

Bodaj większość dzisiejszych parlamentarzystów, składając ślubowanie poselskie, wzywała na pomoc Boga. Jak dziś się mają ich głosowania nad krwawymi ustawami do owego: „Tak mi dopomóż Bóg”? Czyż sami nie unieważnili własnego wołania o Bożą pomoc?

Często używa się argumentu, że w obecnym kryzysie demograficznym nielogiczne jest legalizowanie zabijania nie-narodzonych. Ale nie w tym rzecz. Nawet gdybyśmy mieli najwyższy na świecie przyrost naturalny, tak samo należałoby zakazywać tej zbrodni. Bo to dwie różne sprawy. Każde życie jest święte bez względu na sposób poczęcia, bez względu na tzw. przesłanki eugeniczne. Nie można przeprowadzać jakiegos tam referendum na ten temat, jak chce tego niewydarzony chłystek marszałek, bo świętości się nie licytuje, nad świętością prawa naturalnego się nie deliberuje, to bezdyskusyjny aksjomat.

Wbrew niewinnemu brzmieniu („ustawa aborcyjna”) cały ten ciąg wydarzeń jest ciągiem okrutnym, dehumanizującym ludzkie życie i zwyczajnym zbydlęceniem obyczajów. To próba wprowadzenia prawa o „częściowym Holokauście”, a wspomniane posiedzenie Sejmu to mała powtórka z konferencji w Wannsee.

Michał Korsun prezentuje: **Zboże kontra zboże**



Wycinki z **przeszłości**



Ta atrakcyjna okładka pisma „Na Szerokim Świecie” z początku maja 1935 r. dobrze oddaje tęsknotę, z jaką i nasi przodkowie oczekiwali prawdziwej, pełnej wiosny. A pamiętajmy, że zimy były wtedy na serio, nie takie nie wiadomo co jak teraz. Ale marzenia o podróżach w ciepłe kraje pozostają, jak się wydaje, niezmienne.

(mk)

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Z WOLEJA

Siatkarze, koszykarze, „ręczni” mogą – piłkarze nie?



**Ryszard
Czarnecki**

Kiedy pod koniec pierwszej połowy ćwierćfinału Ligi Mistrzów między FC Barceloną a PSG zerknąłem w telewizor, był remis 1:1. Dawało to awans zespołowi najbardziej bramkostrzelnego napastnika w historii polskiej reprezentacji – Roberta Lewandowskiego. Tylko że potem gole strzelali wyłącznie zawodnicy z Paryża, z klubu, którego właścicielem jest szejek z Kataru. Byłem za „dumą Katalonii”, bo jak wielu polskich kibiców mam świętą zasadę: kibicuję tym klubom, w których grają Polacy. Przed przyjściem do Barcy „Lewego” kibicowałem Atletico Madryt, ale odkąd w Barcelonie pojawiła się nasza reprezentacyjna „dziewiątka”, oczywiście jestem za tym „polskim” klubem.

Przed ćwierćfinałami LM mówiło się, że wśród czterech półfinałistów mogą być aż trzy drużyny z Hiszpanii. Tyle że dwie odpadły, mimo że pierwsze mecze rozstrzygały na swoją korzyść.

Swoją drogą ciężko jest wytłumaczyć mojemu 14-letniemu synowi fakt, że przez ostatnie trzy lata polski klub Zakłady Azotowe ZAKSA Kędzierzyn-Koźle wygrywał klubowe mistrzostwa Europy (przed rokiem mieliśmy nawet polski finał, bo grał w nim jeszcze Jastrzębski Węgiel). W tym sezonie dwa inne polskie kluby – Projekt Warszawa i Asseco Resovia Rzeszów – zdobyły europejskie puchary. Przed nami jeszcze finał Ligi Mistrzów, znów z Jastrzębskim Węglem, wreszcie w koszykówce męskiej Anwil Włocławek przed rokiem zdobył jeden z europejskich pucharów, a przed dwoma laty Stal Ostrów grała w finale. Zatem dlaczego mając takie kolosalne sukcesy w siatkówce i koszykówce mężczyzn, nie jesteśmy w stanie niczego osiągnąć w klubowej piłce nożnej? Skoro nasi leją resztę Europy w trzech dyscyplinach drużynowych – dodajmy jeszcze piłkę ręczną mężczyzn, w której Kielce raz wygrały Ligę Mistrzów, a parokrotnie doszły do finału – to dlaczego dla piłkarzy jest to „mission impossible”? W takim razie pozostaje się cieszyć z sukcesów klubów z Polakami w składzie, którzy wygrali futbolową Ligę Mistrzów. Tak było ze Zbigniewem Bońkiem i Juventusem Turyn, Józefem Młynarczykiem i FC Porto, Robertem Lewandowskim i Bayernem Monachium.

Pod tym względem nasi kibice stali się minimalistami, bo cieszą się ogromnie, jak polski klub – a to Lech Poznań, a to Legia Warszawa – dotrze w europucharach do rundy rozgrywanej w lutym.

Kto przełamie to fatum?



OD A DO ZYBERTOWICZA

Symulacja czy Pan Jezus?

*Przyznam, że podobnie jak na wyobraźnię niemałej części
żywych intelektualnie młodych ludzi, hipoteza symulacji
działa inspirująco i na moją. Ale...*

Czy słyszeliście o tym, że żyjemy w symulacji komputerowej? Jeśli nie, to pewnie należycie do grona starszych czytelników tygodnika „Sieci”. Jeśli zaś słyszeliście, gdyż jesteście studentami, to może zaciekał was powiązanie hipotezy symulacji z Jezusem Chrystusem.

CO MÓWI HIPOTEZA SYMULACJI?

Jest ona rozważana przez uznanych badaczy, analizowana na poważnych seminariach i mówi, że być może całe nasze życie rozgrywa się w jakimś potężnym komputerze zbudowanym przez wyższą cywilizację. Np. ktoś tam prowadzi eksperyment naukowy lub jakiś uczeń bawi się modelowaniem cywilizacyjnym w ramach szkolnego zadania domowego.

Wszystko, co nam się przydarza w życiu wewnętrznym (np. zazdrościmy właściciela właśnie przejeżdżającego ulicą modelu Bugatti Veyron), czy też to, co naukowcy ustalili na temat czarnych kosmicznych dziur, jest jakoś wyrenderowane w ramach toczonej przez kogoś gry. Zamieszkujemy coś w rodzaju matriksa.

Czy hipotezę symulacji można obalić lub potwierdzić? Otóż nie. Tak jak nie można obalić odpowiedzi na pytanie, czy owa wyższa cywilizacja, która wytworzyła nasze uniwersum, jest ostateczna i autonomiczna, czy może też ona sama

znajduje się w jakiejś większej symulacji, w jeszcze pojemniejszej komputerze, np. w jeszcze rozleglejszej sztucznej inteligencji, którą zbudował ktoś inny. Ile pięter mogą liczyć te symulacje? Czy rozciągają się w nieskończoność, czy gdzieś tam „wyżej” jest rzeczywistość ostateczna, ta prawdziwa, fundamentalna?

OSOŁOMIENIE...

Pytania tego typu mogą bardzo działać na wyobraźnię, inspirować, dodawać skrzydeł, zachęcać do nowych kierunków dociekań. Prowadzi je np. David Chalmers, często cytowany przez innych wybitnych badaczy, profesor filozofii od dawna eksplorujący tajemnice świadomości. W wydanej dwa lata temu książce „Reality+: Virtual Worlds and the Problems of Philosophy” („Rzeczywistość+: światy wirtualne i problemy filozofii”) rozważając kwestie takie, twierdzi, iż rzeczywistość wirtualna wcale nie jest światem drugiej kategorii, ale także jest rzeczywista, czyli prawdziwa.

Jednak hipoteza symulacji potrafi też podciąć skrzydła. Stąpawszy w obliczu problemu symulacji – naprzeciw świata, którego trudno ogarnąć naszymi rozumkami, można ulec poczuciu absurdu, bezsensu, głębokiego nihilizmu. Można zanurzyć się w depresję, apatię albo obsesyjną agresję. Ale można też inaczej.

SKAZANI NA UWIERZENIE?

Hipoteza symulacji, jak dodają jej uczniowi zwolennicy lub eksploratorzy, jest niczym więcej niż hipotezą, w do-

datku niesprawdzalną. W niektórych kręgach modną, ale jest tylko tym – niesprawdzalną hipotezą. Stosunek do niej to kwestia wiary. Nie napiszę „po prostu kwestia wiary”, gdyż rzecz wcale nie jest prosta ani błaha.

Ludzkość nie raz i nie dwa miała do czynienia z niesprawdzalnymi hipotezami. Chyba wszystkie znane nam religie zawierają takie hipotezy.

Przyznam, że podobnie jak na wyobraźnię niemałej części żywych intelektualnie młodych ludzi, hipoteza symulacji działa inspirująco i na moją. Ale intuicja oraz namysł podpowiadają, że jeśli moje zakotwiczenie w świecie ma bazować na jakiejś wierze, to raczej wolalbym skłonić się ku wierze tej wspólnoty, której częścią uczynił mnie los. Wspólnoty określającej się mianem: naród polski. Kościołem kulturowym, czyli też psychicznym tej wspólnoty była i pozostaje wiara w Jezusa Chrystusa. W Syna Bożego.

Nowy Testament zawiera przekaz zdarzeń, które zainicjowały rozwój wiary chrześcijańskiej na całą Ziemię. Przekaz, który jest dla mnie nie mniej poznawczo oszłamiający aniżeli hipoteza symulacji.

Dziś wielu uczonych przyznaje, że cywilizacja naukowo-techniczna doprowadziła samą siebie do głębokiego sceptycyzmu w najważniejszych sprawach: jak odróżnić rzeczywiste/nierzeczywiste, prawdziwe/fałszywe, ważne/nieważne – wreszcie i przede wszystkim dobre/złe. Jeśli w obliczu tego sceptycyzmu jesteśmy skazani jedynie na jakąś wiarę, to wybieram wiarę w nauczanie Jezusa Chrystusa.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 30/02/24/F

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

SALON

DZIENNIKARSKI

W POLSCE PL

SOBOTA 9:15

OGLĄDAJ NAS 

NA POZYCJI
polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat **196**

NA POZYCJI
N E T I A **192**

NA POZYCJI
 **32**

NA POZYCJI
 **vectra** **825**

NA POZYCJACH
 **PLAY** **339** dekodery
dawniej UPC Mediabox

121 dekodery
KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 992232599d

GOTOWI NA WSPANIAŁE...
WSPOMNIENIA-WESTCHNIENIA-WRAŻENIA?

©NBC UNIVERSAL

COLUMBO, PON.-CZW. 20:00, WEEKENDY 14:50

Sprawdź!
antena^{HD}

AUSTRALIJCY POSZUKIWACZE ZŁOTA, PON.-PIĄT. 18:00

77TV, PIĄTEK 22:00, PON.-PIĄT. 12:00

OGLĄDAJ NAS U OPERATORÓW

DVB-T	CANAL+	VECTRA	UPC	PLAY	INEA	TOYA	ORANGE
15	58	161	167/126	42	72/247	112	248